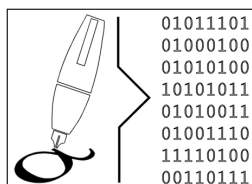


ASIMOV ISAAC

FUNDACJA

Przełożył: Andrzej Jankowski



Tytuł oryginału:

Foundation

Data wydania polskiego: 1987 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1951 r.

CZEŚĆ I
PSYCHOHISTORYCY

1

»Hari Seldon — [...] urodzony w 11988 roku ery galaktycznej, zmarł w roku 12069. Licząc w latach obecnej ery fundacyjnej, życie jego przypada na okres od 76 do 1 roku e.f. Pochodził ze średniozamożnej rodziny osiadłej na Helikonie w sektorze Arktura (gdzie — według legendy niejasnego pochodzenia — jego ojciec uprawiał tytoń na plantacjach hydroponicznych). Wcześniej zaczął wykazywać zdumiewające zdolności matematyczne. Zachowało się wiele anegdot na ten temat; niektóre z nich przeczą sobie nawzajem. Powiada się, że w wieku dwu lat [...]

Niewątpliwie największy wkład wniósł do psychohistorii. Został niewiele więcej niż luźny zbiór aksjomatów; gdy odchodził, pozostawiał rozwiniętą naukę statystyczną [...]

Z zachowanych do naszych czasów źródeł dostarczających szczegółów z jego życia najbardziej wiarygodną jest biografia pióra Gaala Dornicka, który poznał Seldona w latach swej młodości. Było to na dwa lata przed śmiercią wielkiego matematyka. Historia tego spotkania... «

*Encyklopedia Galaktyczna*¹

Gaal Dornick był chłopcem z prowincji, który nigdy jeszcze nie widział Trantora. To znaczy, nie widział go na żywo. Widywał go bowiem wiele razy w hiper-video, a niekiedy także w ogromnych, trójwymiarowych wydaniach dziennika z okazji koronacji lub otwarcia posiedzenia Rady Galaktycznej. Tak więc, mimo że dotychczas nie wychylił nosa poza Synnax, odległą planetę krążącą wokół jednej z gwiazd na krańcach Niebieskiego Dryfu, nie był bynajmniej odcięty od cywilizacji. W tamtych czasach nie było takiego miejsca w całej Galaktyce.

Było wówczas w Galaktyce prawie 25 milionów zamieszkałych planet, a wśród nich ani jednej niezależnej od Imperium, którego stolicą był Trantor. Było to ostatnie półwiecze jego potęgi.

Podróż ta była punktem przełomowym w życiu młodego naukowca. Gaal był już w przestrzeni i sam fakt ponownego znalezienia się w niej nie miał dla niego większego znaczenia. Po prawdzie nie zapuszczał się dotychczas dalej niż na jedyne satelitę Synnaxa, gdzie zbierał dane dotyczące mechaniki meteorów, potrzebne mu do rozprawy naukowej, ale wszystkie podróże kosmiczne były do siebie podobne, bez względu na to, czy prowadziły do miejsc oddalonych o pół miliona mil czy o pół miliona lat świetlnych. Przygotował się tylko nieco na skok przez nadprzestrzeń — manewr nie stosowany w zwykłych lotach międzyplane-

¹Wszystkie zamieszczone tutaj cytaty z *Encyklopedii Galaktycznej* zaczerpnięte zostały za zgodą wydawcy z jej 116 wydania (1020 e.f. *Encyklopedia Galactica Publishing Co.*, Terminus)

tarnych. Skok był i prawdopodobnie na zawsze pozostanie jedyną praktyczną metodą komunikacji międzygwiazdnych. Podróż przez zwykłą przestrzeń nie mogła się w żadnym razie odbywać z prędkością wyższą niż prędkość światła (była to jedna z niewielu prawd naukowych poznanych już u zarania ludzkich dziejów), a to oznaczało, że nawet podróż między sąsiednimi zamieszkanymi systemami musiałaby trwać długie lata. W nadprzestrzeni, tym niewyobrażalnym obszarze, który nie był przestrzenią ani czasem, materią ani energią, można było przemierzyć całą Galaktykę między dwoma ułamkami czasu.

Gaal czekał na pierwszy skok z lekkim uczuciem niepokoju czającym się gdzieś na dnie żołądka. Wszystko odbyło się jednak tak szybko, że zaledwie zdążył to sobie uświadomić. Był to nieznaczny wstrząs, jakby ledwo wyczuwalne wewnętrzne szarpnięcie. I nic więcej.

A potem był już tylko statek, potężny i lśniący — wytwór 12000 lat rozwoju Imperium, i on sam, Gaal, ze świeżo uzyskanym doktoratem z matematyki i zaproszeniem od wielkiego Hari Seldona w kieszeni. Leciał na Trantora, aby wziąć udział w wielkim i zasnutym mgłą tajemnicy planie Seldona.

Rozczarowany skokiem, po którym obiecywał sobie przecież niezwykłych wrażeń, Gaal czekał już tylko na widok Trantora. Zachodził często do sali widowkowej. Stalowe osłony okien rozsuwały się we wcześniej zapowiedzianych momentach i Gaal zawsze był wtedy na miejscu, patrząc na zimne lśnienie planet i podziwiając niewiarygodny, mglisty rój gwiazd unoszący się w przestrzeni niczym wielka, zastygła w ruchu chmura świetlików. W pewnej chwili pojawiła się za oknem, niby struga mleka, gazowa mgławica odległa o pięć lat świetlnych od statku, napełniając pomieszczenie lodowatym blaskiem i znikając dwie godziny później, podczas następnego skoku.

Kiedy słońce Trantora znalazło się po raz pierwszy w polu widzenia, było zaledwie małym białym punkcikiem zagubionym pośród miliona innych. Gdyby nie wskazał go ktoś z załogi statku, nikt nie zdołałby go rozpoznać. W centrum galaktyki było aż gęsto od gwiazd. Ale z każdym skokiem ów punkt świecił coraz silniej, gasząc swym blaskiem inne i usuwając je w cień. Przechodzący oficer powiedział:

— Pokój widowkowy będzie zamknięty już do końca podróży. Proszę przygotować się do lądowania.

Gaal ruszył za nim i chwyciwszy go za rękaw białego munduru z emblematem Imperium — słońcem i statkiem kosmicznym, zapytał:

— Czy nie mógłbym tu zostać? Chciałbym zobaczyć Trantora.

Oficer uśmiechnął się i Gaal poczuł, że się rumieni. Uświadomił sobie, że mówi z prowincjonalnym akcentem.

— Rano będziemy już na Trantorze — rzekł oficer.

— Chodzi o to, że chciałbym go zobaczyć z przestrzeni.

— Ach, tak. Niestety, mój chłopcze. Gdyby to był jacht kosmiczny, mogliby-

śmy to załatwić. Ale opuszczamy się korkociągiem w stronę słońca. Nie chcesz chyba zostać w jednej chwili oślepiony, poparzony i napromieniowany, co?

Gaal odwrócił się, aby odejść. Oficer krzyknął za nim:

— Poza tym, chłopcze, Trantor wydałby ci się tylko szarą, bezkształtną plamą. Możesz sobie zafundować wycieczkę w przestrzeń, kiedy już znajdziemy się na miejscu. Są tanie.

Gaal obejrzał się. — Bardzo dziękuję — odrzekł.

Czuł się zawiedziony jak dziecko, ale w końcu uczucia takie są równie naturalne u dorosłych jak u dzieci i Gaal czuł, że coś go dławi w gardle. Nigdy dotąd nie widział Trantora w całej okazałości i nie przypuszczał, że przyjdzie mu jeszcze na to poczekać.

2

Statek lądował wśród kakofonii dźwięków. Z zewnątrz dobiegał gwizd atmosfery trącej o metal wrzynającego się w nią statku. Słysząc było nieustanny warkot aparatury klimatyzacyjnej neutralizującej żar wywołany tarciami i miarowe dudnienie silników hamujących pęd statku. W gwar rozmów ludzi zbierających się przy wyjściu wciskał się zgrzyt wind zwożących bagaże, pocztę i pozostały ładunek do pomieszczeń położonych wzdłuż osi statku, skąd to wszystko zostanie później zabrane do luku towarowego.

Gaal poczuł lekkie szarpnięcie, które świadczyło o tym, że statek przestał poruszać się mocą swych maszyn. Już od wielu godzin poddawał się sile przyciągania planety. Tysiące pasażerów siedziało cierpliwie w pomieszczeniach przy wyjściu, które obracając się łagodnie na wytworzonych pod nimi polach siłowych dostosowywały swoje położenie do ciągle zmieniającego się układu sił grawitacji. Teraz wszyscy tłoczyli się na pochylniach prowadzących do ziejącego w oddali otworu luku.

Gaal nie miał dużego bagażu. Stał przy biurku, podczas gdy jego rzeczy zostały szybko i fachowo przejrane i ponownie złożone do kupy. Obejrzano i podstemplowano jego wizę. Na niego samego nikt nie zwrócił w ogóle uwagi.

To był Trantor! Powietrze wydawało się tu nieco gęściejsze, a przyciąganie silniejsze niż na jego ojczystej planecie, ale przyzwyczai się do tego. Zastanawiał się jednak, czy zdoła przywyknąć do widocznej na każdym kroku potęgi Imperium.

Budynek Odpraw był olbrzymi. Gaal ledwie mógł dostrzec jego sklepienie. Oczyma wyobraźni widział tworzące się pod nim obłoki. Nie mógł dojrzeć końca sali, w której się znalazł — jak okiem sięgnąć nic, tylko ludzie i biurka ciągnące się szeregiem aż po zamglony horyzont.

Człowiek przy biurku odezwał się ponownie. W jego głosie brzmiała irytacja:

— Proszę się przesunąć, Dornick. — Musiał raz jeszcze spojrzeć w wizę, aby przypomnieć sobie nazwisko.

Gaal wyjąkał:

— Gdzie... gdzie... Urzędnik wskazał kciukiem:

— Do postoju taksówek w prawo, a potem trzecia w lewo.

Gaal ruszył wpatrując się w jarzące się, zawieszane na niebosiężnej wysokości litery układające się w napis „Taksówki we wszystkich kierunkach”.

Jakaś postać oderwała się od tłumu i zatrzymała się przy biurku, przed którym przed chwilą stał Gaal. Urzędnik podniósł wzrok i nieznacznie skinął głową. Nieznajomy odpowiedział takim samym ruchem i podążył za młodym przybyszem.

Zdążył akurat na czas, aby usłyszeć, jaki jest cel podróży Gaala.

Gaal oprzytomniał, gdy na jego drodze wyrosła barierka.

Napis na tabliczce głosił „Dyspozytor”. Człowiek, do którego odnosił się napis, nie uniósł nawet głowy nad papierów. — Dokąd? — spytał.

Gaal nie wiedział, co odpowiedzieć, ale wystarczyło kilka sekund wahania, aby za Jego plecami utworzyła się długa kolejka.

Dyspozytor podniósł wzrok. — Dokąd? — spytał ponownie.

Zasoby finansowe Gaala były skromne, ale już nazajutrz miał dostać pracę. Starając się nadać głosowi nonszalancki ton powiedział:

— Do dobrego hotelu.

Na dyspozytorze nie wywarło to żadnego wrażenia.

— Wszystkie są dobre. No więc, do którego?

— Do najbliższego — odparł zdesperowany Gaal.

Dyspozytor nacisnął guzik. Na podłodze pojawiła się cienka strużka światła, wijąc się wśród mnóstwa innych, które mieniły się wszelkimi możliwymi kolorami w różnych odcieniach. Gaal poczuł, że wciśnięto mu do ręki bilet. Bilet jarzył się słabym światełkiem.

— Jeden dwadzieścia — powiedział dyspozytor.

Gaal zaczął szperać po kieszeniach w poszukiwaniu monet. — Gdzie mam iść? — spytał.

— Za światłem. Bilet będzie świecił tak długo, jak długo będzie pan szedł we właściwym kierunku.

Gaal ruszył. Mijały go setki ludzi. Każdy podążał swym własnym szlakiem, przeciskając się przez tłum w miejscach, gdzie przecinały się świetliste ścieżki, aby dotrzeć w pożądane miejsce.

Ścieżka Gaala urwała się. Człowiek w jaskrawym niebiesko-żółtym uniformie z plastotkaniny, jakby wprost spod igły, sięgnął po jego dwie walizki.

— Bezpośrednie połączenie z Luxorem — powiedział.

Słyszał to mężczyzna, który podążał za Gaalem. Usłyszał również jego odpowiedź; — Doskonale — i patrzył, jak Gaal wsiada do pojazdu o tępo ściętym przedzie.

Taksówka uniosła się pionowo w górę. Gaal wyglądał przez wypukłe okno. Nie potrafił opanować dziwnego uczucia, jakim napełniała go ta niezwykła podróż wewnątrz budynku i trzymał się kurczowo oparcia fotela kierowcy. Ogromna przestrzeń pod nim ścieśniała się, a ludzie zamienili się w biegające bez celu mrówki. Po chwili obraz ten skurczył się jeszcze bardziej i zaczął uciekać do tyłu. Przed nimi wyrosła ściana. Zaczynała się wysoko w powietrzu i ciągnęła w górę ginąc z pola widzenia. Podziurawiona była jak rzeszoto. Gdy zbliżyli się, dziury okazały się wlotami tuneli. Taksówka skierowała się ku jednemu z nich i wkrótce znaleźli się wewnątrz. Gaal przez chwilę zastanawiał się, w jaki sposób Jego kierowca odnalazł właściwy otwór.

Wokół panowała ciemność. Raz tylko mignęło za oknem kolorowe światło sygnalizacyjne, które na moment rozproszyło mrok. Świst mknącego pojazdu szczelnie wypełniał tunel. Zwolnili. Gaal pochylił się do przodu, walcząc z siłą, która wciskała go w siedzenie i wtedy taksówka gwałtownie wystrzeliła z tunelu i osiadła na ziemi.

— Hotel Luxor — oznajmił kierowca. Pomógł Gaalowi wyjąć bagaż, przyjął z poważną miną napiwek w wysokości jednej dziesiątej kredytu, zabrał nowego pasażera i znowu wzniósł się w powietrze.

Przez cały ten czas, który upłynął od jego przylotu. Gaal ani przez ułamek sekundy nie widział nieba.

3

»Trantor — [...] Na początku trzynastego tysiąclecia tendencja ta osiągnęła apogeum. Będąc nieprzerwanie, od setek pokoleń, siedzibą rządu Imperium, położony ponadto w centralnym rejonie Galaktyki, pośród gęsto zaludnionych i uprzemysłowionych światów systemu, musiał siłą rzeczy stać się największym i najbogatszym w historii skupiskiem ludzkości.

Stale postępująca urbanizacja osiągnęła w końcu granice rozwoju. Cała powierzchnia Trantora, obejmująca 75.000.000 mil kwadratowych, stała się jednym wielkim miastem. W szczytowym okresie liczba ludności przekroczyła znacznie czterdzieści miliardów. Niemal całe to gigantyczne skupisko ludzi zajmowało się prawie wyłącznie sprawami administracyjnymi Imperium, a jednak okazało się, że jest to liczba niewspółmiernie mała w stosunku do potrzeb (należy pamiętać, że niemożliwość właściwego zarządzania Imperium Galaktycznym za czasów ostatnich imperatorów stała się jedną z przyczyn Upadku). Dzień w dzień powietrzne floty liczące dziesiątki tysięcy statków dostarczały całą produkcję dwudziestu rol-

niczych światów na stoły mieszkańców Trantora [...]

Uzależnienie od dostaw żywności, a właściwie od dostaw wszelkich niezbędnych produktów, z innych światów sprawiło, że w wypadku blokady Trantor musiałby nieuchronnie upaść. W ostatnim tysiącleciu istnienia Imperium niezliczone rebelie coraz bardziej uświadamiały kolejnym władcom tę smutną prawdę. Skutkiem tego działalność policji imperialnej została prawie całkowicie ograniczona do ochrony tego czułego miejsca Trantora... «

Encyklopedia Galaktyczna

Gaal nie był pewien, czy świeci słońce, a nawet — prawdę mówiąc — czy jest dzień, czy noc. Wstydził się pytać. Cała planeta wydawała się pokryta metalową skorupą. Posiłek, który właśnie spożył, nosił co prawda nazwę obiadu, ale było przecież wiele planet, na których układając rytm dnia według tradycyjnych określeń czasowych nie przywiązywano żadnej wagi do, niewygodnego być może, następstwa dnia i nocy. Czasy obrotów poszczególnych planet różniły się między sobą, a Gaal nie znał czasu obrotu Trantora.

Na początku swego pobytu odkrył napisy wskazujące drogę do „Pokoju słonecznego”, ale ów pokój okazał się salą przeznaczoną do sztucznego opalania się. Posiedział tam chwilę, po czym wrócił do głównego hallu hotelu.

— Gdzie mogę kupić bilet na wycieczkę w przestrzeń? — spytał recepcjonistę.

— Właśnie tu.

— Kiedy się zaczyna?

— Akurat się zaczęła. Następną jutro. Proszę od razu kupić bilet, zarezerwujemy miejsce.

— Och! — westchnął. Jutro będzie już za późno. Jutro musi już być na uniwersytecie. — Nie ma tu jakiejś wieży widokowej albo czegoś w tym rodzaju? — spytał. — Chodzi mi o coś na otwartym powietrzu.

— Ależ oczywiście! Jeśli pan chce, mogę zaraz sprzedać panu bilet. Może lepiej sprawdzę, czy nie pada. — Przekreślił kontakt znajdujący się obok jego łokcia i popatrzył na litery pojawiające się na matowym ekranie. Gaal czytał razem z nim.

— Pogoda jest dobra — powiedział recepcjonista. — Proszę się zastanowić. Mamy chyba teraz porę suchą. Osobiście nie interesuję się tym, co się dzieje na zewnątrz — dodał. — Ostatni raz byłem tam trzy lata temu. Zobaczysz się, wie się jak jest i nie ma po co znowu tam wyjeżdżać.

— Oto pański bilet. Z tyłu budynku jest specjalna winda. Jest tam tabliczka „Na wieżę”. Wystarczy wsiąść.

Była to winda nowego typu. Poruszała się na zasadzie odpychania grawitacyj-

nego. Gaal wszedł, za nim wsunęli się inni. Dźwigowy przekreślił kontakt. Przez chwilę, gdy siła przyciągania spadła do zera, Gaal tkwił zawieszony w powietrzu, a potem, w miarę jak winda przyspieszała wznosząc się do góry, odzyskiwał stopniowo wagę. Winda ponownie zaczęła hamować i podłoga umknęła Gaalowi spod stóp. Bezwiednie krzyknął.

— Stopy pod poręcz! — wrzasnął dźwigowy. — Nie umiesz czytać?

Inni tak właśnie zrobili. Uśmiechali się teraz z wyższością, gdy miotał się, usiłując bezskutecznie zsunąć się w dół po ścianie. Ich stopy tkwiły pewnie pod chromowanymi prętami biegnącymi w równych dwustopowych odstępach w poprzek podłogi. Zauważył te pręty wchodząc, ale nie zainteresował się nimi.

W końcu wysunęła się w jego stronę jakaś ręka i ściągnęła go na dół.

Gdy winda zatrzymała się, wykrztusił słowa podziękowania.

Wyszedł na otwarty taras skąpany w białym ostrym świetle, które poraziło jego wzrok. Człowiek, który przed chwilą wyciągnął do niego pomocną dłoń, znalazł się natychmiast za nim.

— Dużo wolnych miejsc — powiedział zachęcającym tonem.

Gaal zawstydział się. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że cały czas gapił się z otwartymi ustami. W końcu odrzekł:

— Na to wygląda.

Ruszył automatycznie w kierunku ławek, ale zatrzymał się w pół drogi:

— Pozwoli pan, że postoję chwilę przy balustradzie? Chcę... chcę trochę popatrzeć.

W odpowiedzi nieznajomy skinął ze zrozumieniem ręką i Gaal przechylił się przez sięgającą mu do ramion balustradę i pogрузzył się w kontemplacji.

W gmatwaninie rozpościerających się wszędzie konstrukcji będących dziełem ludzkich rąk nie mógł dojrzeć ziemi. Jak okiem sięgnąć, nic tylko metal i niebo zlewające się na horyzoncie w niemal jednolitą szarość. Wiedział, że tak wygląda cała powierzchnia planety. Wszystko wokół było jak martwe, zastygłe w bezruchu, jedynie w górze, na tle nieba widać było kilka wolno poruszających się statków spacerowych pod tą metalową skorupą wrzało życie, uwijały się miliardy ludzi.

Oko próżno szukało choćby plamki zieleni. Nie widać było nie tylko zieleni, ale nawet choćby skrawka gołej ziemi. Nigdzie ani śladu życia, oprócz widomych oznak ludzkiej działalności. Gdzieś na tym świecie — mignęła mi niejasna myśl — otoczony setką mil kwadratowych prawdziwej ziemi, pośród drzew i różnobarwnych kwiatów, wznosi się pałac imperatora, mała wysepka wśród oceanu stali. Nie było go jednak widać z miejsca, gdzie stał Gaal. Mógł się przecież znajdować o dziesięć tysięcy mi stąd.

— Trzeba się będzie wkrótce wybrać na wycieczkę w przestrzeń! — postanowił.

Westchnął głęboko i uświadomił sobie ostatecznie z całą wyrazistością, że znalazł się w końcu na Trantorze, planecie, która była centrum całej Galaktyki i najważniejszym ośrodkiem rodzaju ludzkiego. Nie uświadamiał sobie jej słabości. Nie widział lądujących statków z żywnością. Nie przeczuwał istnienia tej delikatnej żyłki łączącej czterdzieści miliardów Trantorczyków z resztą Galaktyki. Zdawał sobie sprawę tylko z tego, że zobaczył największe dzieło człowieka — całkowity i niemal pogardliwy w swej ostateczności podbój świata.

Gdy odchodził od bariery, jego oczy miały trochę nieobecny wyraz. Znajomy z windy wskazał miejsce obok siebie. Gaal usiadł.

Mężczyzna uśmiechnął się:

— Jestem Jerril. Pierwszy raz na Trantorze?

— Tak, panie Jerril.

— Tak myślałem. Jerril to moje imię. Trantor dziwnie wpływa na ludzi o poetycznym usposobieniu. Jednak Trantorczycy nigdy tu nie przychodzą. Nie lubią tego. Działa to im na nerwy.

— Działa na nerwy? Aha, mam na imię Gaal. Dlaczego miałoby to działać im na nerwy? To jest wspaniałe!

— To rzecz względna, Gaal. Jeśli rodzisz się w ciasnej klitce, dzieciństwo spędzasz na korytarzu, pracujesz w małej komórce, a na wakacje udajesz się do zatłoczonego pokoju słonecznego, to taki wypad na otwarte powietrze, gdzie widzisz tylko niebo nad głową, może się skończyć dla ciebie załamaniem nerwowym. Wysyła się tu dzieci, raz na rok, od kiedy skończą pięć lat. Nie wiem, czy to ma jakiś sens. To naprawdę nie wystarcza dzieciom, a w czasie kilku pierwszych pobytów tutaj zawsze wpadają w histerię. Trzeba by zaczynać, jak tylko odstawi się dziecko od piersi i taka wycieczka powinna się odbywać co tydzień.

... Oczywiście, prawdę mówiąc, to nie ma znaczenia — ciągnął. — Czy coś by się stało gdyby w ogóle tu nie przychodziły? Są szczęśliwi tam, na dole i kierują całym imperium... Jak myślisz, na jakiej jesteśmy wysokości?

— Pół mili? — powiedział Gaal, zastanawiając się, czy nie brzmi to naiwnie. Chyba tak było, bo Jerril zachichotał.

— Nie. Tylko pięćset stóp

— Co? Przecież winda wiozła nas...

— Tak. Ale większą część tej podróży zajęło nam wydobycie się na powierzchnię ziemi. Budowle Trantora sięgają na milę w głąb planety. Są jak góry lodowe. Dziewięć dziesiątych jest niewidoczne. Na wybrzeżu miasto rozciąga się nawet na kilka mil pod powierzchnią oceanu. Prawdę mówiąc, dotarliśmy tak głęboko, że wykorzystujemy różnicę temperatur między powierzchnią a warstwami położonymi kilka mil niżej dla produkcji całej zużywanej przez nas energii. Nie wiedziałeś o tym?

— Nie, myślałem, że korzystacie z elektrowni atomowych.

— Kiedyś korzystaliśmy. Ale tak jest taniej.

— Wyobrażam sobie.
— Co myślisz o tym wszystkim? — spytał Jerril. Znikła gdzieś jego jowialność. Spoglądał podejrzliwie na Gaala, jakby czyhając tylko na jego potknięcie. Gaal szukał odpowiednich słów. — To jest wspaniałe — powiedział w końcu.
— Spędzasz tu wakacje? Podróżujesz? Zwiedzasz?
— Niezupełnie. Prawdę mówiąc, zawsze chciałem znaleźć się na Trantorze, ale przyjechałem tu do pracy.
— Ach, tak.
Gaal uważał, że powinien powiedzieć coś więcej.
— Będę pracował na uniwersytecie, w zespole profesora Seldona.
— Seldona Kruka?
— Ależ skąd! Ten, o którym mówię, to Hari Seldon, Psychohistoryk. Nie sły-
szałem o żadnym Seldonie Kruku.
— To właśnie ten. Nazywają go Krukiem, bo cały czas przepowiada katastro-
fę. Żargon, rozumiesz...
— Naprawdę? — Gaal był szczerze zdziwiony.
— Przecież musisz o tym wiedzieć — Jerril już się nie uśmiechał. — Przyje-
chałeś, żeby pracować dla niego, tak?
— No, tak. Jestem matematykiem. Dlaczego przepowiada katastrofę? Jaka
katastrofę?
— No, a jak myślisz?
— Nie mam najmniejszego pojęcia. Czytałem artykuły Seldona i jego współ-
pracowników. Wszystkie dotyczą teorii matematycznych.
— Tak, te, które ogłaszają drukiem.
Gaal wyraźnie się stropił. Powiedział:
— Chyba wrócę już do pokoju. Bardzo się cieszę, że cię poznałem.
Jerril machnął obojętnie ręką na pożegnanie.

W pokoju zastał Gaal oczekującego na niego mężczyznę. Był zbyt zaskoczony, aby wykrztusić „Co pan tutaj robi?”, choć słowa te same cisnęły się na usta. Stał tak dobrą chwilę. Wreszcie mężczyzna podniósł się. Był stary, prawie zupeł-
nie łysy i lekko utykał, ale jego błękitne oczy patrzyły bystro.

— Jestem Hari Seldon — rzekł.

W tej samej chwili Gaal otrząsnął się i skojarzył twarz mężczyzny ze zdjęciami, które widział już tyle razy.

4

»Psychohistoria — [...] Gaal Dornick, używając niematematycznych pojęć, określił psychohistorię jako gałąź matematyki zajmującą się reakcjami zbiorowisk ludzkich na stałe bodźce ekonomiczne i społeczne [...]

Wszystkie te definicje opierają się na ukrytym założeniu, że zbiorowisko ludzkie będące przedmiotem obserwacji jest na tyle duże, że można w odniesieniu do niego skutecznie stosować metody statystyczne. Konieczną dla spełnienia tego wymogu liczbę członków zbiorowiska można ustalić przy pomocy Pierwszego Twierdzenia Seldona. . . Inny niezbędny warunek wymaga, aby dane zbiorowisko nie zdawało sobie sprawy z tego, że jest obiektem analizy psychohistorycznej, gdyż świadomość tego mogłaby zniekształcić jego reakcje [...]

Wszystkie wartościowe osiągnięcia psychohistorii opierają się na rozwinięciu funkcji Seldona, których właściwości odpowiadają takim siłom społecznym i ekonomicznym jak [...]

Encyklopedia Galaktyczna

— Dzień dobry — powiedział Gaal. — Ja. . . ja. . .

— Chcesz powiedzieć, że mieliśmy się spotkać dopiero jutro? W normalnych warunkach tak właśnie by się stało. Jeśli mamy jednak skorzystać z twoich usług, to musimy się spieszyć. Coraz trudniej jest znaleźć nowych pracowników.

— Nie rozumiem pana.

— Rozmawiałeś z kimś na wieży obserwacyjnej, prawda?

— Tak, Ten człowiek ma na imię Jerril. Nic więcej o nim nie wiem.

— Nieważne, jak ma na imię. Jest agentem Komisji Bezpieczeństwa Publicznego. Śledził cię od lotniska.

— Ale dlaczego? Nic z tego nie rozumiem.

— Czy mówił ci coś o mnie? Gaal zawahał się:

— Nazywał pana Seldonem Krukiem.

— Powiedział, skąd ten przydomek?

— Mówił, że pan przepowiada katastrofę.

— Bo robię to istotnie. Co myślisz o Trantorze?

Wydawało się, że każdy chce znać jego opinię o planecie. Gaal nie potrafił powiedzieć niczego poza jednym słowem:

— Wspaniały.

— Mówisz to bez zastanowienia. A psychohistoria?

— Nie pomyślałem o tym, żeby ją zastosować w tym wypadku.

— Zanim się ze mną rozstaniesz, młody człowieku, stosowanie psychohistorii do analizy wszystkich problemów stanie się dla ciebie rzeczą oczywistą i natural-

nę. Patrz — Seldon wydobyl z sakiewki przy pasie kalkulator. Mówiono, że trzyma go nawet pod poduszką, aby w razie potrzeby był pod ręką. Szara, polerowana obudowa nosiła ślady częstego używania. Zwinne palce Seldona, poznaczone już starymi plamkami, poruszały się szybko po plastikowej powierzchni. Na szarym tle zapłonęły czerwone symbole. — To jest obraz stanu Imperium w chwili obecnej — powiedział. Zamilkł. Czekał.

Wreszcie Gaal przerwał milczenie:

— Oczywiście to nie kompletny obraz.

— Nie, nie kompletny — odrzekł Seldon. — Cieszę się, że nie wierzysz ślepo moim słowom. Jednakże jest to przybliżenie, które wystarczy, aby wyciągnąć odpowiedni wniosek. Zgadzasz się?

— Pod warunkiem, że będę mógł później sprawdzić wyprowadzenie funkcji.

Gaal miał się na baczności, aby nie nadziać się na jakiś haczyk.

— Dobrze. Dodaj do tego znany procent prawdopodobieństwa zabójstwa imperatora, rebelii wznieconej przez wicekróla, okresy kryzysu gospodarczego, stale zmniejszający się stopień badań planetarnych. . .

Seldon wymieniał wciąż nowe czynniki, a ich matematyczne obrazy pojawiały się za kolejnymi naciśnięciami guzika na ekranie kalkulatora, wzbogacając i zmieniając pierwotną funkcję.

Gaal przerwał mu tylko raz:

— Nie widzę uzasadnienia dla tego przekształcenia zbioru.

Seldon powtórzył działanie, tym razem wolniej.

— Ależ takie operacje są niedopuszczalne w rachunku socjo-matematycznym!
— zdumiał się Gaal.

— W porządku. Jesteś bystry, ale sporo ci jeszcze brakuje. Akurat w tym przypadku jest to zupełnie dopuszczalne. Zaraz ci to udowodnię.

Zajął to trochę czasu, ale przy końcu obliczeń Gaal wyznał ze skruchą:

— Tak, teraz rozumiem. Wreszcie Seldon skończył.

— To jest Trantor za pięćset lat — powiedział. — No i co ty na to? He? — przechylił głowę na bok i czekał.

— Całkowita zagłada! — krzyknął Gaal, nie wierząc własnym oczom. — Ależ.. ależ to niemożliwe. Trantor nigdy. . .

— Powoli, powoli — Seldon ożywił się, jakby ubyło mu lat. — Widziałeś, w jaki sposób doszedłem do tych wyników. A teraz postaraj się zapomnieć na moment o funkcjach i równaniach i przełóż to na zwykły język.

— W miarę tego jak Trantor coraz bardziej specjalizuje się, staje się coraz bardziej bezbronny — mówił Gaal. — Ponadto, w miarę jak rośnie jego znaczenie jako centrum administracyjnego Imperium, staje się coraz bardziej łakomym kąskiem. I wreszcie, w miarę jak sprawa następstwa tronu staje się coraz bardziej niepewna, a spory i walki między wielkimi rodami przybierają na sile, znika poczucie odpowiedzialności w społeczeństwie.

— Wystarczy. A jaki jest procent prawdopodobieństwa całkowitej zagłady w ciągu tych pięciu stuleci?

— Nie potrafię powiedzieć.

— Na pewno potrafisz zróżniczkować pole prawdopodobieństwa.

Gaal zakłopotał się. Seldon nie zaoferował mu do pomocy swego kalkulatora. Trzymał go z dala od jego oczu. Nie pozostało mu nic innego, jak dokonać obliczeń w pamięci. Liczył tak intensywnie, że aż pot wystąpił mu na czoło.

— Około 85%? — powiedział w końcu.

— Nieźle — stwierdził Seldon, wysuwając dolną wargę — ale niezupełnie dobrze. W rzeczywistości wynosi ono 92,5%.

— I dlatego właśnie nazywają pana Seldonem Krukiem? Nie czytałem nic o tych obliczeniach w gazetach.

— Oczywiście. Tego przecież nie można drukować. Chyba nie przypuszczasz, że Imperium przyznałoby się otwarcie do swojej słabości. Jest to zupełnie oczywiste w świetle psychohistorii. Ale część naszych wyników przeciekła z pracowni i jest znana arystokracji.

— To niedobrze.

— Niekoniecznie. W rachunku uwzględnione jest wszystko.

— I dlatego jestem śledzony?

— Tak. Wszystko, co ma związek z moją pracą jest pod obserwacją.

— Czy coś panu grozi?

— O, tak. Prawdopodobieństwo tego, że zostanę stracony wynosi 1,7%, ale to oczywiście nie wstrzyma prac. To również wzięliśmy pod uwagę. No, ale dajmy temu spokój. Przypuszczam, że jutro spotkamy się na uniwersytecie?

— Tak — odparł Gaal.

5

»Komisja Bezpieczeństwa Publicznego — [...] Stronnictwo arystokratyczne doszło do władzy po zabójstwie Cleona I, ostatniego z Entunów. Ogółem biorąc, stanowiło ono element porządku podczas stuleci chaosu i niepokoju. Pozostając pod kontrolą wielkich rodów Chenów i Divartów, stało się jednak w końcu ślepyim narzędziem w ich rękach, służącym utrzymaniu status quo [...] Stronnictwo zostało ostatecznie odsunięte od władzy dopiero po wstąpieniu na tron ostatniego silnego imperatora, Cleona II. Pierwszym głównym Komisarzem [...]

W pewnym sensie początku upadku Komisji, można dopatrywać się w procesie Hariego Seldona, który miał miejsce dwa lata przed początkiem ery fundacyjnej. Przebieg tego procesu opisany jest w biografii Hariego Seldona napisanej

przez Gaala Dornicka. . . «

Encyklopedia Galaktyczna

Gaal nie dotrzymał słowa. Następnego ranka obudził go głos dzwonka. Podniósł słuchawkę i usłyszał recepcjonistę, który grzecznym, acz wyrażającym dezaprobatę głosem poinformował go, że z polecenia Komisji Bezpieczeństwa Publicznego znajduje się od tej chwili w areszcie domowym.

Gaal skoczył do drzwi, ale były zamknięte. Nie pozostało mu nic innego, niż ubrać się i czekać.

Przyszli i zabrali go gdzieś, ale areszt trwał nadal. Przesłuchiowano go grzecznie. Wszystko odbyło się bardzo kulturalnie. Wyjaśnił, że jest prowincjuszem z Synnaxa, że uczęszczał do takich to a takich szkół i uzyskał stopień doktora z matematyki tego a tego dnia. Napisał podanie do profesora Seldona z prośbą o przyjęcie do jego zespołu i został przyjęty. Powtarzał wielokrotnie te wszystkie szczegóły, a oni wciąż wracali do sprawy planu Seldona. Interesowało ich jak się o tym dowiedział, na czym miały polegać jego obowiązki, jakie otrzymał instrukcje, o co chodziło w tym wszystkim. . .

Cały czas odpowiadał, że nic nie wie. Nie dostał żadnych tajnych instrukcji. Jest naukowcem, matematykiem. Nie interesuje się polityką.

W końcu miły sędzia śledczy zapytał znienacka:

— A kiedy Trantor ulegnie zagładzie? Gaal zawahał się. Rzekł:

— Nie dysponuję wiedzą, która pozwoliłaby mi odpowiedzieć na to pytanie.

— A inni mają taką wiedzę?

— Czy mogę mówić za kogoś? — Gaalowi zrobiło się gorąco.

— Czy ktoś mówił panu o takiej zagładzie? Czy podał jakąś datę? — spytał sędzia. A kiedy Gaal zastanawiał się co powiedzieć, dodał: — Śledziliśmy pana, doktorze. Byliśmy na lotnisku, kiedy pan przyleciał, na wieży obserwacyjnej, kiedy czekał pan na spotkanie i, oczywiście, nic nie stało na przeszkodzie, żeby podsłuchać pana rozmowę z profesorem Seldonem.

— No więc znacie jego pogląd w tej kwestii — rzekł Gaal.

— Być może. Ale chcielibyśmy usłyszeć o tym od pana.

— Jego zdaniem Trantor ulegnie zagładzie nim upłynie pięćset lat.

— Udowodnił to, hmm, matematycznie?

— Tak, udowodnił — odrzekł Gaal prowokacyjnie.

— Przypuszczam, że pan uważa te, hm, obliczenia za rzetelne?

— Jeśli ręczy za nie profesor Seldon, to muszą być rzetelne.

— Wobec tego wrócimy tu jeszcze.

— Chwileczkę, mam prawo wynająć adwokata. Żądam respektowania praw, które przysługują mi jako obywatelowi Imperium.

— Pana żądanie zostanie spełnione.

I rzeczywiście zostało.

Mężczyzna, który w końcu przyszedł, był wysokiego wzrostu. Jego twarz zdawała się składać z samych pionowych bruzd i była tak chuda, że patrząc na nią, każdy musiał zadawać sobie pytanie, czy jest w niej choć trochę miejsca na uśmiech.

Gaal podniósł głowę. Był rozbity i zmęczony. Tyle się wydarzyło, a przecież był na Trantorze dopiero od trzydziestu godzin.

— Jestem Lors Avakim — powiedział chudzielec. — Przysłał mnie profesor Seldon, żebym zajął się pana sprawą.

— Ach tak? No więc dobrze. Proszę słuchać. Domagam się natychmiastowej apelacji do imperatora. Zostałem zatrzymany zupełnie bez powodu. Nie popełniłem żadnego przestępstwa. Żadnego — dodał z naciskiem, wyrzucając ręce do góry. — Musi mi pan natychmiast załatwić posłuchanie u imperatora.

Tymczasem Avakim, nie zwracając uwagi na wybuch Gaala, starannie opróżniał płaską teczkę, składając jej zawartość na podłogę. Gdyby Gaal był w innym nastroju, mógłby tam rozpoznać prawnicze formularze z celometu, cienkie jak papier i zwinięte jak taśma, przystosowane do maleńkich rozmiarów kapsułki osobistej.

W końcu Avakim spojrzał na Gaala. Powiedział:

— Komisja, oczywiście, ma nas na podsłuchu. Jest to sprzeczne z prawem, ale to im nie przeszkadza.

Gaal zacisnął zęby.

— Wszakże — Avakim usadowił się starannie na krześle — ten oto przedmiot, który widzi pan na stole, a który wedle wszelkich oznak jest najzwyklejszym magnetofonem — nawiasem mówiąc, doskonale spełnia swoje zadania — ma tę dodatkową właściwość, że całkowicie udaremnia podsłuch. Minie trochę czasu zanim się w tym połapią.

— Więc mogę mówić?

— Naturalnie.

— Wobec tego żądam, żeby wysłuchał mnie imperator.

Avakim uśmiechnął się chłodno, co dowiodło, że jednak uśmiech może gościć na jego twarzy. Powiedział:

— Pochodzi pan z prowincji.

— A jednak jestem obywatelem Imperium. Równie dobrym jak pan czy ktokolwiek z Komisji Bezpieczeństwa Publicznego.

— Bez wątpienia, bez wątpienia. Mam na myśli tylko to, że jako człowiek z prowincji nie ma pan absolutnie pojęcia o tym, jak wygląda życie na Trantorze. Imperator nie udziela nikomu audiencji.

— Do kogo więc można się odwołać od postanowień Komisji? Czy jest jakaś inna procedura?

— Nie. Praktycznie nie ma możliwości odwołania. W myśl prawa, może się pan odwołać do imperatora, ale nie otrzyma pan posłuchania. Obecny imperator to nie imperator z dynastii Entunów, rozumie pan. Wygląda na to, że Trantor jest w rękach arystokratycznych rodów, których członkowie tworzą Komisję Bezpieczeństwa Publicznego. Jest to stadium, które zostało przewidziane przez psychohistorię.

— Naprawdę? — rzekł Gaal. — W takim razie, jeśli profesor Seldon potrafi przewidzieć, co się stanie na Trantorze za pięćset lat. . .

— Potrafi przewidzieć, co się stanie za półtora tysiąca lat.

— Niech będzie. Dlaczego nie przewidział wypadków dzisiejszego ranka i nie ostrzegł mnie. Nie, przepraszam — Gaal usiadł i oparł czoło na spoczonej dłoni — wiem dobrze, że psychohistoria jest nauką statystyczną i absolutnie nie jest w stanie przewidzieć losów poszczególnych ludzi. Proszę zrozumieć — jestem wytracony z równowagi.

— Jest pan w błędzie. Profesor przewidywał, że zostanie pan aresztowany dziś rano.

— Co?!

— Przykre to, ale prawdziwe. Komisja odnosi się z coraz większą niechęcią do jego prac. Jego nowym współpracownikom stwarza się coraz więcej trudności. Wykresy wykazały, że byłoby dla nas najkorzystniej, gdyby sprawy rozstrzygnęły się właśnie teraz. Komisja działa nieco opieszale, więc profesor Seldon odwiedził pana wczoraj, aby przyspieszyć bieg wypadków. Nie miał żadnego innego zamiaru.

Gaal zaczerpnął powietrza:

— Czuję się dotknięty. . .

— To zrozumiałe. Ale takie postępowanie było konieczne. Wybór pana nie był spowodowany innymi osobistymi względami. Musi pan sobie uświadomić, że plany profesora Seldona, które opierają się na obliczeniach prowadzonych przez przeszło osiemnaście lat, uwzględniają wszelkie możliwe wydarzenia o znacznym stopniu prawdopodobieństwa. Mamy teraz do czynienia z jednym z takich wydarzeń. Przysłano mi tu tylko po to, abym zapewnił, że nie grozi panu żadne niebezpieczeństwo. Wszystko dobrze się skończy — prawie na pewno, jeśli chodzi o plan, i z dużym prawdopodobieństwem, jeśli chodzi o pana osobę.

— Jak to wygląda w liczbach?

— Ponad 99,9% w przypadku planu.

— A jeśli chodzi o mnie?

— Powiedziano mi, że w tym przypadku prawdopodobieństwo równa się 77,2%.

— A więc szansę, że zostanę skazany na więzienie lub śmierć wyglądają jak jeden do pięciu.

— Prawdopodobieństwo wyroku śmierci nie wynosi nawet jednego procenta.

— Istotnie. Rachunki dotyczące jednostki nie są ważne. Proszę skontaktować mnie z profesorem Seldonem.

— Niestety to niemożliwe. Profesor Seldon sam jest w areszcie.

Drzwi otworzyły się tak nagle, że Gaal nie zdążył nawet krzyknąć. Wszedł strażnik, podszedł do stołu, podniósł magnetofon, obejrzał ze wszystkich stron i wsadził do kieszeni.

Avakim rzekł spokojnie:

— Ten przyrząd jest mi potrzebny.

— Dostarczymy panu taki, który nie wytwarza pola statycznego.

— W takim razie skończyłem rozmowę. Gaal odprowadził go wzrokiem do wyjścia i został sam.

6

Proces (Gaal przypuszczał, że to jest proces, chociaż nie mógł się w nim dopatrzeć zbyt wielu podobieństw do zawilej procedury sądowej, o której niegdyś czytał) niedawno się zaczął. Trwał dopiero od trzech dni. Mimo to Gaal nie był w stanie ogarnąć pamięcią jego początku.

Jego samego potraktowano raczej łagodnie. Głównym obiektem ataku był profesor Seldon. Hari Seldon siedział jednak nieporuszony.

Publiczność była nieliczna, wybrana spośród parów Imperium. Prasa i zwykli zjadacze chleba nie mieli wstępu. Było zresztą wątpliwe, czy znalazłoby się więcej niż kilka osób spoza elity władzy, które w ogóle wiedziały o tym, że odbywa się proces Seldona. W sali panowała atmosfera nieskrywanej wrogości wobec oskarżonych.

Za stojącym na podwyższeniu stołem siedziało pięciu ludzi z Komisji Bezpieczeństwa Publicznego. Odziani byli w szkarłatno-złote mundury i błyszczące, ciasno przylegające do głów czapki, które były oznaką ich godności sędziowskiej. W środku siedział Linge Chen. Gaal po raz pierwszy widział tak ważną osobistość z bliska, toteż przyglądał mu się z zaciekawieniem. Podczas procesu Chen raczył rzucić zaledwie kilka słów. Było aż nadto oczywiste, że dłuższa przemowa uwłaczałaby jego godności.

Prokurator przejrzał notatki i przesłuchanie potoczyło się dalej. Cały czas odpowiadał Seldon.

P: A więc, profesorze Seldon, ilu ludzi bierze obecnie udział w pracach nad pańskim planem?

O: Pięćdziesięciu matematyków.

P: Wliczając w to doktora Gaala Dornicka?

O: Doktor Dornick jest pięćdziesiątym pierwszym.

P: Ach, zatem mamy pięćdziesięciu jeden? Niech się pan dobrze zastanowi, profesorze Seldon. może pięćdziesięciu dwóch lub trzech? A może jeszcze więcej?

O: Formalnie doktor Dornick nie jest jeszcze członkiem mojego zespołu. Kiedy zostanie przyjęty, będzie nas pięćdziesiąt jeden osób. Teraz, jak już mówiłem, jest pięćdziesięciu.

P: A nie około stu tysięcy?

O: Matematyków? Nie.

P: Nie powiedziałem, że matematyków. Weźmy wszystkich pod uwagę. Nie będzie ich sto tysięcy?

O: Jeśli wziąć pod uwagę wszystkich, to liczba podana przez pana może być prawdziwa.

P: **Może?** Ja twierdzę, że **jest**. Twierdzę, że w pana pracach uczestniczą dziewięćdziesiąt osiem tysięcy pięćset siedemdziesiąt dwie osoby.

O: Myślę, że wliczył pan w to również kobiety i dzieci.

P: (podnosząc głos): Stwierdzam fakt — dziewięćdziesiąt osiem tysięcy pięćset siedemdziesiąt dwie osoby. Wykręty na nic się nie zdadzą.

O: Zgadzam się co do liczby.

P: (zaglądając do notatek) Wobec tego zostawmy to na razie i wróćmy do sprawy, o której już mówiliśmy. Profesorze Seldon, czy może pan powtórzyć swoją opinię na temat przyszłości Trantorze?

O: Mówiłem już i powiem raz jeszcze — za pięćset lat po Trantorze zostanie tylko kupa gruzów.

P: Nie uważa pan, że głoszenie takich poglądów pachnie zdradą?

O: Nie, panie prokuratorze. Prawda naukowa nie ma nic wspólnego ani ze zdradą, ani z wiernością.

P: Jest pan pewien, że to, co pan głosi, to prawda naukowa?

O: Tak.

P: Na jakiej podstawie?

O: Na podstawie obliczeń psychohistorycznych.

P: Czy może pan udowodnić, że nie ma w nich błędu?

O: Tylko matematykowi.

P (Z uśmiechem): Utrzymuje pan zatem, że pańska prawda jest tak dziwnej natury, że przekracza zdolność pojmowania zwykłych ludzi. Mnie się wydaje, że prawda powinna być mniej tajemnicza, bardziej zrozumiała i oczywista.

O: Dla niektórych ludzi zrozumienie jej nie przedstawia żadnych trudności. Fizyka przekazu energii, którą znamy pod nazwą termodynamiki, była zawsze oczywista — znano ją już w czasach mitycznych, a mimo to znajdują się być może na tej sali osoby, które nie potrafiłyby zaprojektować zwykłej maszyny parowej. I to osoby o wysokiej inteligencji. Wątpię, czy członkowie Komisji...

W tym momencie jeden z komisarzy nachylił się do prokuratora. Nie było słycać słów, ale jego głos brzmiał ostro. Prokurator poczerwieniał i natychmiast przerwał Seldonowi.

P: Nie jesteśmy tu po to, aby słycać przemówień, profesorze Seldon. Przypuścimy, że uda się panu przekonać ludzi. Pozwoli pan zauważyć, że może kryć się za tym zamiar poderwania zaufania do rządu, co mógłby pan wykorzystać dla swoich celów.

O: Nie mam takiego zamiaru.

P: Pozwoli pan zauważyć, że głosi pan, jakoby okres poprzedzający rzekomy upadek Trantora wypełniony był różnego rodzaju zamieszkami.

O: Zgadza się.

P: I że przez samo zapowiadanie takich wydarzeń ma pan nadzieję je sprowokować, a wówczas będzie pan rozporządzał stutysięczną armią.

O: Przede wszystkim stan faktyczny różni się od tego, co pan przedstawia. Można zresztą łatwo sprawdzić, że najwyżej dziesięć tysięcy spośród tych ludzi zdolnych jest do służby wojskowej, a do tego żaden z nich nie ma pojęcia o władaniu bronią.

P: Jest pan obcym agentem?

O: Nie jestem na niczym żoździe, panie prokuratorze.

P: Działa pan zupełnie bezinteresownie? W służbie nauce?

O: Tak.

P: Zobaczymy, jak pan to robi. Profesorze Seldon, czy można zmienić przyszłość?

O: Oczywiście. Na przykład ta sala może za kilka godzin wylecieć w powietrze. Oczywiście to mało prawdopodobne. Gdyby jednak wyleciała, to niewątpliwie przyszłość zmieniałaby się w kilku drobnych szczegółach.

P: Pan się wykręca od odpowiedzi, profesorze Seldon. Czy można zmienić historię rodzaju ludzkiego?

O: Tak.

P: Bez trudu?

O: Przeciwnie — z wielkim trudem.

P: Dlaczego?

O: Psychohistoryczny bieg wydarzeń na gęsto zaludnionej planecie ma wysoką inercję. Aby go zmienić, trzeba mu przeciwstawić coś, co charakteryzowałoby się podobną inercją. Musiałaby być to albo taka sama liczba ludzi, albo — w przypadku gdyby liczba ta była stosunkowo niewielka — musiałoby upływać bardzo wiele czasu, zanim nastąpiłaby pożądana zmiana. Czy pan mnie rozumie?

P: Myślę, że rozumiem. Trantor nie ulegnie zagładzie, jeśli znajdzie się dostateczna liczba ludzi zdecydowanych nie dopuścić do tego.

O: Tak jest.

P: Czy sto tysięcy jest wystarczającą liczbą?

O: Nie, proszę pana. To o wiele za mało.

P: Jest pan pewien?

O: Proszę zważyć, że ludność Trantora liczy ponad czterdzieści miliardów. Proszę także wziąć pod uwagę, że wydarzenia prowadzące do zagłady rozgrywają się nie tylko na Trantorze, lecz w całym Imperium, a liczy ono ponad trylion ludzkich istnień.

P: Rozumiem. Zatem być może stu tysiącom ludzi uda się zmienić bieg wydarzeń, jeśli oni i ich potomkowie będą się o to starali przez pięćset lat?

O: Obawiam się, że to niemożliwe. Pięćset lat to zbyt krótki okres.

P: Aha. W takim razie, profesorze Seldon, pozostaje nam tylko wyciągnąć następujący wniosek z pana twierdzeń. Zebrał pan sto tysięcy osób na potrzeby swego projektu. Nie jest to liczba wystarczająca, aby zmienić historię Trantora, w czasie pięciuset lat. Innymi słowy, nie mogą zapobiec katastrofie, choćby nie wiem jak się starali.

O: Niestety, ma pan rację.

P: A z drugiej strony nie wiąże pan z tymi stoma tysiącami żadnych niecnych planów.

O: Istotnie.

P (wolno i z satysfakcją): W takim razie profesorze Seldon... Proszę pilnie słuchać, gdyż oczekujemy rzeczowej odpowiedzi... W jakim celu zebrał pan tych ludzi?

W głosie prokuratora zabrzmiała nuta triumfu. Zapędził Seldona w kozi róg, schwytał go w sprytnie zastawione sidła, odebrał mu wszelką możliwość obrony.

W sali podniósł się szmer rozmów, który przybierając na sile, przebiegł przez ławki parów i dotarł aż do miejsc członków Komisji. Odziani w swój szkarłat i złoto, nachylali się ku sobie, wymieniając szeptem uwagi. Jedyne Główny Komisarz siedział bez ruchu.

Na Harim Seldonie nie zrobiło to żadnego wrażenia. Czekał spokojnie, aż sala ucichnie.

O: Aby ograniczyć do minimum skutki zagłady.

P: Co pan przez to rozumie?

O: Wyjaśnienie jest proste. Nadciągająca zagłada Trantora nie jest sama w sobie niczym niezwykłym. Takich wydarzeń było już wiele w historii ludzkości. Będzie ona wszakże punktem kulminacyjnym dramatu, który zaczął się setki lat temu, i którego zawikłana akcja toczy się coraz szybciej. Mówię, panowie, o następującym upadku i nieuchronnej zagładzie Imperium Galaktycznego.

Na sali zawrzało. W ogólnym zgiełku i zamęcie zginęły słowa prokuratora, który krzyknął:

— Pan otwarcie przyznaje, że... — i zamilkł, gdyż okrzyki „Zdrada, zdrada!”, rozlegające się wśród publiczności świadczyły wymownie, — że cel został osiągnięty bez zbytecznego wysiłku z jego strony.

Przewodniczący Komisji wolno wzniosł młotek do góry i, jakby od niechcenia, uderzył w stół. Rozległ się łagodny dźwięk, który do złudzenia przypominał wibrujący głos gongu. Kiedy przebrzmiało jego echo, na sali było cicho jak matkiem zasiał. Prokurator głęboko zaczerpnął powietrza.

P (teatralnie): Profesorze Seldon, czy zdaje pan sobie sprawę, że mówi pan o Imperium, które istnieje od przeszło dwunastu tysięcy lat, które oparło się wszelkim przeciwnościom losu, które ma oparcie w tysiącu bilionów wiernych obywateli?

O: Znam zarówno stan obecny, jak i historię Imperium. Bez niczyjej obrazy mogę stwierdzić, że znam te sprawy lepiej niż ktokolwiek z obecnych na tej sali.

P: I mimo to przepowiada pan jego upadek?

O: Nie ja, lecz matematyka. Powstrzymuję się od jakichkolwiek ocen moralnych. Osobiście, boleję nad tym, że czeka nas taki koniec. Bo nawet gdyby uznać Imperium za twór zły i nieudany, czego bynajmniej nie twierdzę, to i tak stan anarchii, który nastąpi po upadku, będzie stokroć gorszy. Właśnie tej anarchii ma przeciwdziałać mój plan. Niestety, panowie, upadek Imperium to proces o tak potężnych rozmiarach, że niełatwo mu się przeciwstawić. Na ten proces składa się rozrost biurokracji, zamieranie inicjatywy, tępienie oryginalności i setki innych czynników, których nie ma potrzeby wymieniać. To wszystko narasta i kumuluje się od wieków i jest w swej masie, jak już powiedziałem, procesem zbyt potężnym i złożonym, aby można było go zatrzymać.

P: Jest chyba oczywiste dla każdego, że Imperium jest teraz równie potężne jak niegdyś.

O: Pozory potęgi widać na każdym kroku. Mogłoby się wydawać, że Imperium będzie trwać wiecznie. Jednakże, panie prokuratorze, spróchniałe drzewo też wydaje się potężne — do chwili, kiedy podmuch wichru złamie je na dwoje. Świsł tego wichru słychać nawet teraz. Niech pan wyostrzy swój słuch środkami, które oferuje psychohistoria, a usłyszysz pan

skrzypienie drzewa.

P (niepewnie): Nie jesteśmy tu po, żeby słu... .

O (stanowczo): Przemienie Imperium, a razem z nim jego bogactwo. Wiedza gromadzona przez tysiąclecia ulegnie zapomnieniu, a po narzuconym przez nią porządku nie pozostanie śladu. Nastąpi okres nie kończących się wojen gwiazdnych, handel międzyplanetarny upadnie, ludzkość zmarnieje, światy stracą kontakt z centrum Galaktyki... I tak już pozostanie.

P (cichym głosem wśród powszechnego milczenia): Na zawsze?

O: Psychohistoria, która potrafi przewidzieć upadek, jest również w stanie wypowiedzieć się na temat mrocznych wieków, które nastąpią potem. Imperium,

panowie, jak już tu powiedziano, przetrwało dwanaście tysięcy lat. Ciemności, które spowiją Galaktykę po upadku Imperium, (trwać będą nie dwanaście, lecz trzydzieści tysiącleci. Powstanie Drugie Imperium, ale od naszej cywilizacji dzielić je będzie tysiąc pokoleń cierpiącej ludzkości. Musimy temu zapobiec.

P (doszedłszy do siebie): Sam pan sobie zaprzecza. Powiedział pan wcześniej, że nie jest pan w stanie zapobiec zagładzie Trantora, a więc również rzekomemu upadkowi Imperium.

O: Toteż nie mówię, że możemy zapobiec upadkowi, Ale nie jest jeszcze za późno, żeby skrócić okres anarchii, który nastąpi potem. Można, panowie, ograniczyć czas chaosu do jednego tysiąclecia — jeśli moi ludzie będą mogli spokojnie pracować. Znajdujemy się w krytycznym momencie historii. Trzeba tylko..., tylko trochę zmienić bieg przyszłych wydarzeń nadciągających ogromną, niezmierną masą... Niewiele da się zrobić, ale być może wystarczy to do wykreślenia dwudziestu dziewięciu tysięcy lat z ludzkiej historii.

P: Co pan proponuje?

O: Należy ocalić wiedzę naszego rodzaju. Sumy ludzkiej wiedzy nie jest w stanie opanować jeden człowiek ani nawet tysiąc ludzi. Wraz ze zniszczeniem naszej struktury społecznej nauka rozpadnie się na milion części. Owszem, jednostki zachowają fragmenty wiedzy z wąsko wyspecjalizowanych dziedzin nauki, ale — rozproszone i niepowiązane ze sobą — będą one zupełnie bezużyteczne. Pozbawione praktycznego znaczenia, te okruchy wiedzy zostaną szybko zapomniane. Ale jeśli teraz sporządzimy kompendium całej wiedzy, to wiedza ta nigdy nie zaginie. Przyszłe pokolenia będą mogły z niej korzystać, nie będą zmuszone do odkrywania starych prawd na nowo. W ciągu jednego tysiąclecia zostanie wykonane to, co w innych warunkach wymagałoby trzydziestu tysięcy lat.

P: Całe to...

O: Cały mój projekt, cała ta armia ludzi, trzydzieści tysięcy pracowników, wraz z żonami i dziećmi, ma tylko jeden cel — przygotowanie *Encyklopedii Galaktycznej*. Nie starczy na to całego ich życia. Ja nie doczekam nawet początku tej pracy. Ale kiedy nadejdzie chwila upadku Trantora, dzieło będzie już gotowe, a jego egzemplarze znajdą się we wszystkich większych bibliotekach Galaktyki.

Młotek Głównego Komisarza wzniósł się i opadł. Hari Seldon skończył i spokojnie zajął miejsce obok Gaala.

Uśmiechnął się i spytał:

— Jak ci się podobało to widowisko?

— Był pan znakomity. Ale co będzie dalej?

— Odroczą proces i będą się starali dojść ze mną po cichu do porozumienia.

— Skąd pan to wie?

— Będę z tobą szczery — odparł Seldon. — Nie jestem tego pewien. Wszyst-

ko zależy od Głównego Komisarza. Całe lata poświęciłem na to, żeby rozgryźć jego osobowość. Analizowałem wszystkie jego posunięcia, ale na pewno wiesz, ryzykowne jest uwzględnianie kaprysów jednostki w równaniach psychohistorycznych. Mimo wszystko nie tracę nadziei.

7

Podszedł do nich Avakim. Ukłonił się Gaalowi i nachylił się do Seldona, aby szepnąć mu coś do ucha. Rozległ się głos oznajmiający odroczenie rozprawy i rozdzielili ich strażę. Gaala odprowadzono.

Następnego dnia przesłuchanie miało zupełnie inny charakter. Hari Seldon i Gaal Dornick byli sam na sam z Komisją. Siedzieli przy jednym stole, oddzieleni od sędziów tylko jego szerokością. Poczęstowano ich nawet cygarami z pudełka wykonanego z opalizującego tworzywa sztucznego, które do złudzenia przypominało falującą powierzchnię wody. Złudzenie było tak doskonałe, że chociaż palce wyczuwały tylko twardą i suchą powierzchnię, w oczach ciągle trwał obraz falującej i mieniającej się wody. Seldon przyjął cygaro, Gaal odmówił.

— Nie widzę tu swojego adwokata — powiedział Seldon.

— Proces się skończył, profesorze Seldon — odparł jeden z Komisarzy. — Jesteśmy tu po to, aby omówić sprawę bezpieczeństwa państwa.

— **Ja** będę mówił — rzekł Linge Chen i pozostali Komisarze wyprostowali się na krzesłach, zamieniając się w słuch. Zapanowała cisza, w którą Chen mógł sączyć słowa.

Gaal wstrzymał oddech. Chen, szczupły i suchy, wyglądający starzej niż można się było spodziewać, był faktycznym władcą całej Galaktyki. Dziecko, które nosiło tytuł imperatora, było marionetką podstawioną przez Chena, nie pierwszą zresztą.

— Profesorze Seldon, zakłóca pan spokój Imperium — powiedział Chen. — Za sto lat nikogo z obecnych mieszkańców Galaktyki nie będzie wśród żywych. Dlaczego więc mielibyśmy się przejmować wypadkami, które rozegrają się za lat pięćset?

— Mnie nie będzie wśród żywych już za pięć lat — odparł Seldon — a mimo to jest to dla mnie sprawa najwyższej wagi. Może pan to nazwać idealizmem. Może pan to nazwać identyfikowaniem się z tym mistycznym uogólnieniem, które określamy terminem „człowiek”.

— Nie mam ochoty tracić czasu na próby zrozumienia mistycyzmu. Może mi pan powie, dlaczego nie miałbym jeszcze dzisiaj zgładzić pana, pozbywając się w ten sposób za jednym zamachem i pana, i tych wszystkich nieprzyjemnych i niepotrzebnych, odległych o pięćset lat wydarzeń, których nigdy nie będę oglądać?

— Gdyby pan to zrobił tydzień temu — rzekł niedbale Seldon — to szanse, że dożyje pan końca tego roku byłyby jak jeden do dziesięciu. Dzisiaj ma pan już tylko jedną szansę na dziesięć tysięcy.

Wśród zebranych zapanowało poruszenie. Gaal poczuł, że cierpnie mu skóra. Powieki Chena lekko drgnęły.

— A to dlaczego? — spytał.

— Upadku Trantora — rzekł Seldon — nie da się powstrzymać w żaden sposób. Można go jednak łatwo przyspieszyć. Sprawa mojego nagle przerwane i niedokończonego procesu stanie się głośna w całej Galaktyce. Udaremnienie moich planów złagodzenia skutków katastrofy wytworzy w ludziach przekonanie, że przyszłość nie wróży im nic dobrego. Już teraz wspominają z zazdrością czasy swoich dziadków. Psioczą, że handel zamiera, a zamieszki i przewroty stają się chlebem powszednim. W całej galaktyce zapanuje przekonanie, że to tylko ma jakąś wartość, co człowiek w porę zdoła zagarnąć dla siebie. Ludzie żądni sławy i władzy nie będą zwlekać. Nie będą też siedzieć beczynnymi ludźmi pozbawieni skrupułów. Samym swoim działaniem przyspieszą zagładę światów. Jeżeli mnie pan zgładzi, to Trantor upadnie nie za pięćset, lecz za pięćdziesiąt lat, a pan nie doczeka nawet przyszłego roku.

— To strachy dobre dla dzieci. Mimo to pana śmierć nie byłaby dla nas odpowiednim rozwiązaniem.

Uniósł wąską dłoń znad papierów, na których spoczywała, zaledwie muskając je dwoma palcami.

— Niech mi pan powie — rzekł — czy pana działalność ograniczy się do przygotowania tej encyklopedii?

— Tak.

— A czy koniecznie trzeba to robić na Trantorze?

— Trantor, proszę pana, posiada Bibliotekę Imperialną, jak również zbiory naukowe uniwersytetu.

— A gdyby mimo to został pan umieszczony gdzie indziej — powiedzmy na planecie, gdzie pośpiech i inne niedogodności, jakie pociąga za sobą życie w metropolii, nie przeszkadzają w rozmyślaniach, gdzie pańscy ludzie mogliby się poświęcić całkowicie i bez reszty swojej pracy — czy nie miałoby to swoich dobrych stron?

— Być może w drobnych sprawach.

— No więc, taki świat został już wybrany. Będzie pan mógł, profesorze, pracować wedle własnego uznania, otoczony swoimi stu tysiącami pracowników. Galaktyka dowie się, że pan pracuje nad sposobami zapobieżenia upadkowi. Powie się nawet, że mu pan zapobiegnie. — Uśmiechnął się. — Skoro nie wierzę w tyle różnych rzeczy, nietrudno mi również nie dawać wiary pańskim słowom i nie wierzyć w upadek, tak że jestem zupełnie pewien, że powiem ludziom prawdę. A tymczasem, profesorze, pan nie będzie miał niepokojów na Trantorze i nic nie

będzie zakłócać spokoju imperatora.

Alternatywą jest śmierć pana i tylu spośród pana współpracowników, ilu będzie konieczne. Pana wcześniejsze groźby puszczam w niepamięć. Niech pan wybiera — śmierć albo wygnanie. Ma pan pięć minut na zastanowienie się.

— Jaki świat dla nas wybrano?

— Nazywa, zdaje się, Terminus — powiedział Chen. Koniuszkami palców odwrócił niedbale leżące przed nim papiery i przesunął w stronę Seldona. — Nie jest zamieszkały, ale ma do tego odpowiednie warunki i może być z powodzeniem przystosowany do potrzeb naukowców. Jest nieco na uboczu. . .

— Na skraju Galaktyki — przerwał Seldon.

— Jak powiedziałem, trochę na uboczu. Przyda się to wam dla lepszej koncentracji. Zostały dwie minuty.

— Potrzebujemy czasu, aby przygotować się do tej przeprowadzki. W grę wchodzi dwadzieścia tysięcy rodzin.

— Damy wam czas.

Seldon zastanawiał się przez chwilę i kiedy ostatnia minuta dobiegła końca, powiedział:

— Wybieram wygnanie.

Na te słowa serce Gaala zabiło żywiej. Radość jego była ogromna, bo — jakby nie było — uniknął śmierci. Mimo wielkiej ulgi, odczuwał jednak pewien smutek z powodu porażki Seldona.

8

Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu. Taksówka mknęła ze świstem poprzez ciągnące się setkami mil, jakby wydrążone przez gigantyczne dżdżownice, tunele. Jechali na uniwersytet. Wreszcie Gaal poruszył się.

— Czy to, co powiedział pan Komisarzowi, to prawda? Naprawdę stracenie pana przyspieszyłoby upadek? — zapytał.

— Nigdy nie zmyślam, gdy mówię o wynikach badań psychohistorycznych — odparł Seldon. — Zresztą w tym przypadku nic by to nie dało. Chen wiedział, że mówię prawdę. To sprytny polityk, a politycy, ze względu na charakter ich pracy, muszą instynktownie wyczuwać prawdę psychohistoryczną.

— Czy zatem musiał pan wybierać wygnanie? — zdziwił się Gaal, ale Seldon nic na to nie odpowiedział.

Kiedy wylądowali na terenie uniwersytetu, nogi odmówiły Gaalowi posłuszeństwa. Musiano go prawie wynosić z taksówki.

Uniwersytet skąpany był w strumieniach światła. Gaal zdążył już niemal zapomnieć, że istnieje słońce. Nie znaczy to, że uniwersytet znajdował się pod gołym niebem. Budynki przykryte były ogromną kopułą z tworzywa przypominającego

szkło. Rozpraszała ona światło, tak że Gaal mógł spoglądać na płonącą gwiazdę nad głową bez obawy, że oślepnie. Światło nie było jednak bynajmniej przytłumione i jak okiem sięgnąć, odbijało się od metalowych konstrukcji.

Gmachy uniwersytetu różniły się barwą od stalowoszarych budowli reszty Trantora. Były raczej srebrzyste. Metaliczny połysk przypominał kolorem kość słoniową.

— Zdaje się, że są tu żołnierze — powiedział Seldon.

— Co? — Gaal oderwał wzrok od budynków i zobaczył, że zbliża się do nich wartownik.

Zatrzymali się przed nim. W drzwiach obok nich pojawił się człowiek w mundurze kapitana.

— Profesor Seldon? — zapytał grzecznie.

— Tak.

— Czekamy na pana. Od tej chwili obowiązuje tu stan wojenny. Polecono mi poinformować pana, że macie pół roku na przygotowanie się do przeprowadzki na Terminusa.

— Pół roku! — krzyknął Gaal, ale Seldon ścisnął go lekko za ramię.

— Takie otrzymałem instrukcje — powiedział kapitan.

Kiedy odszedł, Gaal obrócił się do Seldona.

— No i co można zrobić przez pół roku? To tylko powolna agonia.

— Spokojnie. Spokojnie. Chodźmy do mego gabinetu.

Gabinet nie był duży, ale za to dokładnie zabezpieczony przed możliwością podsłuchu, i to w sposób, który nie wzbudzał podejrzeń. Urządzenia podsłuchowe nie rejestrowały bowiem ani podejrzanego milczenia, ani wzbudzającego większą nawet nieufność braku jakichkolwiek odgłosów. To, co wychwytywały, było rozmową kleconą na poczekaniu z całego mnóstwa niewinnych i nic nie znaczących zwrotów i słów wypowiedzianych różnym tonem przez wiele osób.

— No więc — powiedział Seldon swobodnie — pół roku zupełnie wystarczy.

— Nie rozumiem, jak to możliwe.

— Drogi chłopcze, w przedsięwzięciach takich jak nasze poczynania innych osób są naginane do naszych potrzeb. Czyż nie mówiłem ci już, że cechy charakteru Chena stały się przedmiotem badań tak dokładnych, że podobnych nie prowadzono nad żadnym człowiekiem w dziejach ludzkości? Proces mógł się rozpocząć dopiero wtedy, kiedy nadszedł odpowiedni czas po temu i powstały okoliczności, w których mógł się zakończyć zgodnie z naszą wolą.

— Ale czy mogliście zaplanować...

— ... zesłanie na Terminusa? A dlaczego nie? — Seldon nacisnął jakiś punkt na swoim biurku i część ściany za jego plecami rozsunęła się. Nikt poza Seldonem nie mógł tego zrobić, gdyż zamontowany pod blatem biurka skaner reagował na jego linie papilarne. — Znajdziesz tam różne mikrofilmy — powiedział wskazując skrytkę. — Weź oznaczony literą „T”.

Gaal spełnił posłusznie polecenie Seldona i czekał. Tymczasem Seldon umieścił mikrofilm w projektorze i wręczył Gaalowi okulary. Gaal dostosował je do swego wzroku i patrzył na mikrofilm przesuwany się przed jego oczami.

— Ależ... — zaczął.

— Co cię tak dziwi? — spytał Seldon.

— Czyżbyście już od dwóch lat przygotowywali się do opuszczenia Trantorze?

— Od dwu i pół. Oczywiście nie mieliśmy pewności, czy Chen wybierze właśnie Terminusa, ale mieliśmy taką nadzieję i postępowaliśmy zgodnie z tym założeniem...

— Ale dlaczego? Jeśli to pan zaaranżował wygnanie, to dlaczego pan to zrobił? Czy nie lepiej byłoby pracować tu, na Trantorze?

— No cóż, są pewne powody. Pracując na Terminusie otrzymamy pomoc ze strony rządu, nie budząc jednocześnie obaw, że kiedykolwiek staniemy się zagrożeniem dla bezpieczeństwa Imperium.

— Ale przecież pan wzbudził te obawy celowo — po to, by sprowokować wygnanie. Wciąż nie rozumiem.

— Dwadzieścia tysięcy rodzin nie udałoby się być może na koniec Galaktyki z własnej i nieprzymuszonej woli.

— Ale dlaczego mają się tam udać? — spytał Gaal i zawahał się. — Czy nie mogę się tego dowiedzieć?

— Jeszcze nie teraz — odparł Seldon. — Wystarczy na razie, że wiesz, iż na Terminusie powstanie stacja badawcza, w której znajdą schronienie naukowcy. Inna, podobna stacja zostanie założona na drugim końcu Galaktyki, powiedzmy — uśmiechnął się — na Krańcu Gwiazd. A co do reszty — niedługo umrę i zobaczysz więcej niż ja... Nie, nie, słowa pocieszenia są zbyteczne. Lekarze twierdzą, że nie zostało mi więcej niż rok-dwa życia. Ale do tego czasu zdążę osiągnąć swój cel życiowy. Czy można marzyć o lepszym końcu?

— A po pana śmierci?

— No cóż, znajdą się następcy — może nawet ty. Oni doprowadzą plan do końca i w odpowiednim czasie, w odpowiedni sposób, wywołają powstanie na Anakreonie. Potem wypadki mogą się rozwijać bez naszego udziału.

— Nie rozumiem.

— Zrozumiesz — pobrużdżona twarz Seldona wygładziła się, ale widać było na niej zmęczenie. — Większość uda się na Terminusa, ale część pozostanie tutaj. Nietrudno będzie to załatwić... Ale ja — jego głos przeszedł w zaledwie słyszalny szept — ja zbliżam się do końca.

CZEŚĆ II
ENCYKLOPEDIYŚCI

1

»Terminus — [...] Jego położenie (patrz mapa) niezbyt nadawało się do odegrania roli, którą wyznaczono mu w dziejach Galaktyki, a mimo to — jak podkreślają liczni autorzy — wybór tego właśnie miejsca był nieuchronny. Terminus — położony na samym skraju spirali galaktycznej, jedyna planeta krążąca wokół samotnego słońca, niemal całkowicie pozbawiona zasobów naturalnych i nie przedstawiająca większej wartości gospodarczej, przez pięćset lat od odkrycia, aż do czasu wylądowania Encyklopedystów, był niezamieszkały [...]

Gdy wyrosło nowe pokolenie, Terminus musiał stać się czymś więcej niż tylko schronieniem dla psychohistoryków z Trantora. Wraz z rewoltą anakreońską i dojściem do władzy Salvora Hardina, pierwszego z wielkiej linii... «

Encyklopedia Galaktyczna

Lewis Pirenne był bardzo zajęty. Siedział przy swoim biurku w jedynym dobrze oświetlonym rogu pokoju. Trzeba było koordynować prace. Trzeba było ująć działania w ramy organizacyjne. Trzeba było połączyć wszystko w jedną całość.

To już pięćdziesiąt lat. Pięćdziesiąt lat na zadomowienie się i przekształcenie Fundacji Encyklopedycznej Numer Jeden w bezbłędnie funkcjonujący mechanizm. Pięćdziesiąt lat na zebranie materiałów. Pięćdziesiąt lat na przygotowanie się. To już za nimi.

Za pięć lat ukaże się pierwszy tom najbardziej monumentalnego dzieła, jakie kiedykolwiek wydała Galaktyka. A potem, w dziesięcioletnich odstępach, regularnie jak w zegarku, tom po tomie. Równolegle ukazywać się będą suplementy, specjalne artykuły na tematy bieżące, aż do...

Pirenne drgnął nerwowo na stłumiony, lecz irytujący dźwięk brzęczyka na biurku. Niemal zapomniał o spotkaniu. Nacisnął guzik zwalniający blokadę drzwi i kątem oka ujrzał, jak otwierają się i ukazują się w nich masywna sylwetka Salvora Hardina, ale nie uniósł głowy znad papierów.

Hardin uśmiechnął się pod wąsem. Miał mało czasu, ale nie zamierzał przejmować się lekceważącym stosunkiem Pirenne'a do wszystkiego, co przeszkadzało mu w pracy. Rozsiadł się w fotelu naprzeciw biurka i czekał.

Pióro Pirenne'a, biegnąc szybko po papierze, lekko skrzypiało. Poza tym w pokoju panowała cisza i zupełny bezruch. I wtedy Hardin wyciągnął ze swej przepaścistej kieszeni dwukredytową monetę. Podrzucił ją do góry, a moneta, koziółkując w powietrzu, błysnęła powierzchnią z nierdzewnej stali. Schwycił ją i ponownie podrzucił, leniwie śledząc rzucane przez nią oślepiające błyski. Nierdzewna stal była dobrym środkiem płatniczym na planecie, na której cały metal pochodził z importu.

Pirrenne podniósł głowę i zamrugał oczami. — Niech pan przestanie — powiedział.

— Słucham?

— Niech pan przestanie podrzucać tę cholerną monetę. Dość tego!

— Aha — Hardin schował do kieszeni metalowy krążek. — Proszę mi powiedzieć, kiedy pan skończy, dobrze? Obiecałem wrócić na posiedzenie Rady Miejskiej przed oddaniem pod głosowanie projektu nowego akweduktu. Pirrenne westchnął i odsunął się od biurka.

— Skończyłem. Ale mam nadzieję, że nie zamierza pan zawracać mi głowy sprawami miasta. Niech pan się sam tym zajmie. Cały mój czas pochłania *Encyklopedia*.

— Zna pan już wiadomości? — spytał flegmatycznie Hardin.

— Jakie wiadomości?

— Te, które stacja ultrafioletowa Terminusa odebrała dwie godziny temu. Gubernator Prefektury Anakreona ogłosił się królem.

— No i co z tego?

— To — odparł Hardin — że jesteśmy teraz odcięci od wewnętrznych regionów Imperium. Spodziewaliśmy się takiego obrotu wydarzeń, ale to w niczym nie poprawia naszej sytuacji. Anakreon leży dokładnie w poprzek ostatniego szlaku handlowego do Santanni, Trantora, i do samej Vegi, który nam pozostał. Skąd teraz weźmiemy metal? Przez ostatnie pół roku nie udało się nam sprowadzić ani jednego transportu stali czy aluminium, a teraz nie mamy już na to żadnych szans, jeśli nie zgodzi się na to król Anakreona. Jesteśmy zdani na jego łaskę.

Pirrenne cmoknął niecierpliwie.

— No to sprowadźcie je przez niego.

— My? Według karty założycielskiej tej fundacji cała władza administracyjna należy do Rady Komitetu Encyklopedii. — Ja — burmistrz Terminusa — mam akurat tyle władzy, żeby się wysmarkać i może jeszcze kichnąć, jeśli otrzymam na to waszą zgodę na piśmie. Tak więc to sprawa pana i pańskiej Rady. W imieniu miasta, którego pomyślność zależy od niezakłóconego handlu z Galaktyką, proszę pana o zwołanie nadzwyczajnego posiedzenia. . .

— Dość tego! Tu nie miejsce na kampanie wyborcze. Otóż, Hardin, Rada nie sprzeciwiła się ustanowieniu władz miejskich na Terminusie. Rozumiemy, że takie władze są potrzebne, ponieważ przez te pięćdziesiąt lat, które upłynęły od założenia Fundacji liczba jej ludności wzrosła i coraz więcej osób zajmuje się sprawami nie mającymi związku z Encyklopedią. Ale to wcale nie znaczy, że wydanie kompletnej encyklopedii obejmującej całość ludzkiej wiedzy przestało być pierwszym i **jedynym** celem Fundacji. Jesteśmy instytucją naukową finansowaną przez państwo, Hardin. Nie możemy — nie wolno nam — mieszać się do polityki. I nie będziemy tego robić.

— Do polityki! Na wielki palec lewej nogi imperatora, Pirenne, to dla nas sprawa życia i śmierci! Ta planeta nie jest w stanie zapewnić warunków koniecznych dla istnienia zaawansowanej cywilizacji technicznej. Nie ma tu metali. Wie pan o tym. W skałach powierzchniowych nie ma ani śladu żelaza, miedzi czy aluminium, a innych metali jest tyle co nic. Jak pan myśli — co się stanie z Encyklopedią, jeśli ten — jak mu tam — król Anakreona nas przycisnie?

— Nas? Czyżby zapomniał pan, że podlegamy bezpośrednio imperatorowi? Nie jesteśmy częścią Prefektury Anakreona ani żadnej innej. Niech pan to zapamięta! Należymy do osobistej domeny imperatora i nikt nie ośmieli się nas tknąć. Imperium potrafi obronić swą własność.

— No więc dlaczego nie powstrzymało królewskiego gubernatora Anakreona przed buntem? Zresztą czy tylko Anakreona? Co najmniej dwadzieścia kresowych prefektur Galaktyki, a na dobrą sprawę całe Peryferie, zaczęło się rządzić według własnego uznania. Powiem panu, że jestem diabelnie niespokojny o Imperium i o jego zdolność do obrony nas.

— Bzdury! Królewscy gubernatorzy czy królowie — co za różnica? Imperium zawsze było widownią rozgrywek politycznych, w których jedni ciągnęli świąty w tę, inni w drugą stronę. Buntowali się gubernatorzy, a nawet — co tu gadać — zrzucano z tronu albo mordowano imperatorów, ale co to ma wspólnego z potęgą Imperium? Daj pan spokój, Hardin. To nie pana sprawa. Przede wszystkim i nade wszystko jesteśmy naukowcami. Nasza sprawa to *Encyklopedia*. Aha, byłbym zapomniał... Hardin!

— Słucham?

— Niech pan coś zrobi z tą swoją gazetą! — w głosie Pirenne'a brzmiała złość.

— Z „Dziennikiem Terminusa”? On nie jest mój — to własność prywatna. A cóż to takiego oni robią?

— Już od ładnych paru tygodni piszą, że pięćdziesiąta rocznica założenia Fundacji powinna się stać powszechnym świętem i okazją do zupełnie niestosownych uroczystości.

— A dlaczego nie? Za trzy miesiące zegar atomowy otworzy Pierwszą Kryptę. Uważam, że to szczególna okazja. Pan jest innego zdania?

— Okazja — ale nie do głupich widowisk. Pierwsza Krypta i jej otwarcie to sprawa Rady i nikogo więcej. Wszystko, co będzie miało szersze znaczenie, zostanie podane do publicznej wiadomości. To ostateczna decyzja i proszę to jasno przekazać „Dziennikowi”.

— Przykro mi, Pirenne, ale statut miasta zapewnia taki drobiazg jak wolność prasy.

— Statut — może. Ale Rada — nie. Jestem przedstawicielem imperatora na Terminusie, Hardin, i w tym względzie mam pełnię władzy.

Z twarzy Hardina można było wyczytać, że z trudnością usiłuje zapanować nad sobą. Powiedział, wolno cedząc słowa:

— Skoro tak, to mam dla pana jeszcze jedną wiadomość.

— Dotyczącą Anakreona? — Pirenne zacisnął usta. Był wyraźnie zirytowany.

— Tak. Przybywa do nas specjalny poseł z Anakreona. Za dwa tygodnie.

— Poseł? Do nas? Z Anakreona? — Pirenne był zupełnie zaskoczony. — Po co?

Hardin podniósł się i przysunął z powrotem fotel pod biurko.

— Niech pan spróbuje zgadnąć.

I wyszedł. Zupełnie bezceremonialnie.

2

Anselm haut Rodric — już samo „haut” wskazywało na szlachetne urodzenie — Podprefekt Pleumy i Poseł Nadzwyczajny Jego Wysokości Króla Anakreona, noszący oprócz tego pół tuzina innych dumnych tytułów, został powitany w porcie kosmicznym przez Salvora Hardina z całym rytuałem stosownym dla doniosłych wydarzeń państwowych.

Ze sztywnym uśmiechem i niskim ukłonem podprefekt wyciągnął z kabury miotacz i trzymając go za lufę podał Hardinowi. Hardin odwzajemnił się wręczając mu swój, specjalnie pożyczony na tę okazję.

Obie strony zademonstrowały w ten sposób swoją życzliwość i dobrą wolę i jeśli nawet Hardin zauważył jakieś nieznaczne drgnienie ramion Haut Rodrica, to przezornie zachował to dla siebie.

Pojazd, w którym zasiedli, otoczony stosownym orszakiem niższych rangą urzędników, posuwał się wolno i z całym ceremoniałem w kierunku placu Encyklopedii. Zewsząd witały ich wiwatujące z odpowiednim entuzjazmem tłumy. Podprefekt Anselm przyjmował okrzyki z uprzejmą obojętnością żołnierza i wielkiego pana.

— Więc to miasto to cały wasz świat? — spytał Hardina.

Hardin podniósł głos, starając się przekrzyczeć gwar.

— Jesteśmy młodym światem, wasza dostojność. W naszej krótkiej historii mieliśmy zaledwie kilka razy okazję gościć na naszej biednej planecie osoby z wyższych sfer.

Pewnym jest, że „osoba z wyższych sfer” nie dostrzegła ironii kryjącej się w tych słowach.

Anselm rzekł z zadumą:

— Pięćdziesiąt lat, hmmm... Macie tu mnóstwo nie wykorzystanej ziemi, burmistrzu. Nigdy nie przyszło wam do głowy, że można by ją podzielić między posiadłości ziemskie?

— Dotychczas nie było takiej potrzeby. Żyjemy w maksymalnym zagęszczeniu. Musimy tak żyć ze względu na *Encyklopedię*. Być może za jakiś czas, kiedy wzrośnie liczba ludności. . .

— Dziwny świat! Nie ma tu w ogóle chłopstwa?

Hardin pomyślał, że nie trzeba zbyt wielkiej przenikliwości, aby zorientować się, że Jego Wysokość dość niezdarnie usiłuje wysondować jego opinie.

— Nie — odparł zdawkowo. — Ani arystokracji.

Brwi Haut Rodrice wolno uniosły się do góry.

— A wasz przywódca — człowiek, z którym mam się spotkać?

— Ma pan na myśli doktora Pirenne'a? Owszem. Jest prezesem Rady Zarządzającej i osobistym przedstawicielem imperatora.

— Doktor? To jego jedyny tytuł? Uczony? I jest ważniejszy niż władza administracyjna?

— Ależ oczywiście — odrzekł Hardin przyjaźnie. — Wszyscy jesteśmy w większym lub mniejszym stopniu uczonymi. W końcu jesteśmy nie tyle światem, ile fundacją naukową — pod bezpośrednią kontrolą imperatora.

Ostatnie słowa zostały wypowiedziane z lekkim naciskiem, który jakby zmieszał nieco podprefekta. Haut Rodric pograżył się w zadumie i resztę drogi do placu Encyklopedii przebył w milczeniu.

Jeśli Hardin czuł się znudzony tym popołudniem i wieczorem, który po nim nastąpił, to mógł przynajmniej czerpać pewną satysfakcję z faktu, że Pirenne i Haut Rodric — którzy przywitali się z wyrazami wzajemnego poważania i szacunku i głośno wyrażali swe zadowolenie ze spotkania — mieli jeszcze bardziej dosyć swego towarzystwa.

Haut Rodric wysłuchał z tępych wyrazem twarzy wykładu Pirenne'a podczas „inspekcji” Budyńku Encyklopedii. Uśmiechając się uprzejmie, acz obojętnie, słuchał trajkotania doktora oprowadzającego go po obszernych pomieszczeniach zawierających zbiory filmów informacyjnych i po niezliczonych salach projekcyjnych.

Dopiero kiedy przemierzali wzdłuż i wszerz, piętro po piętrze, redakcje, zernie, drukarnie i pracownie filmowe, wyraził pierwszą rzeczową opinię.

— To wszystko — powiedział — jest bardzo ciekawe, ale wydaje mi się, że to raczej dziwne zajęcie dla dojrzałych mężczyzn. Jaki z tego pożytek?

Było to pytanie, na które — jak zauważył Hardin — Pirenne nie mógł znaleźć żadnej odpowiedzi, choć wyraz jego twarzy był bardzo wymowny.

Przyjęcie wydane wieczorem stanowiło nieomal zwierciadlane odbicie wydarzeń popołudnia, z tą tylko różnicą, że tym razem Haut Rodric zmonopolizował rozmowę. Opisywał z najdrobniejszymi detalami i z niewiarygodnym zapalem

czynny, których dokonał będąc dowódcą batalionu podczas ostatniej wojny z sąsiadującym z Anakreonem, świeżo proklamowanym Królestwem Smyrno.

Wyliczanie szczegółów batalii trwało aż do chwili, kiedy przyjęcie zakończyło się i pomniejsi urzędnicy zaczęli chyłkiem opuszczać salę. Relacja Haut Rodrica wciąż jednak nie była pełna. Ostatni fragment tryumfalnego opisu poszarpanych statków kosmicznych wygłosił on już na balkonie, gdzie znalazł się w towarzystwie Pirenne'a i Hardina.

— A teraz — rzekł z nagłą jowialnością — przejdźmy do spraw poważnych.

— Proszę bardzo — mruknął Hardin, zapalając długie cygaro z wegańskiego tytoniu (niewiele ich już pozostało — pomyślał przelotnie) i odchylając się z krzesłem do tyłu.

Wysoko na niebie widać było Galaktykę, której mglisty, soczewkowaty kształt rozciągał się leniwie na całą długość horyzontu. W porównaniu z nią tych kilka gwiazd tutaj, na samym krańcu wszechświata, było małą grupką nic nie znaczących migocących punkcików.

— Oczywiście — zaczął podprefekt — te wszystkie formalne rozmowy, to znaczy podpisywanie dokumentów i inne temu podobne szczegóły fachowe, odbędą się w obecności tego... no... jak to wy nazywacie waszą radę?

— Zarządem — odparł Pirenne.

— Osobliwa nazwa! Tak czy owak, to będzie jutro. A tymczasem, może byśmy spróbowali przygotować trochę grunt i pogadali jak mężczyzna z mężczyzną, co?

— To znaczy... — Hardin ostrożnie usiłował pociągnąć go za język.

— Właśnie to. Tutaj, na Peryferiach, sytuacja trochę się zmieniła i status waszej planety jest nieco niepewny. Byłoby bardzo dobrze, gdyby udało się nam dojść do porozumienia co do tego, jak stoją te sprawy. Aha, burmistrzu, czy mógłby mnie pan poczęstować jednym z tych swoich cygar?

Hardin drgnął i wyciągnął z ociąganiem jedno cygaro.

Anselm haut Rodric powąchał je i cmoknął z zachwytem.

— Vegański tytoń! Gdzie je pan zdobył?

— Dostaliśmy trochę ostatnim frachtem. Już prawie nic nie zostało. Przestrzeń jedna wie, kiedy otrzymamy następną dostawę — jeśli ją w ogóle otrzymamy.

Pirenne spojrział na nich chmurnym wzrokiem. Nie palił i — prawdę mówiąc — nie znosił zapachu dymu. — Jeśli dobrze rozumiem, Wasza Dostojność, to celem pańskiej misji jest po prostu wyjaśnienie sytuacji?

Haut Rodric, zaciągając się łapczywie i wypuszczając kłęby dymu, skinął potakująco głową.

— W takim razie nie potrwa ona długo. Jeśli chodzi o Fundację Encyklopedyczną Numer Jeden, to sytuacja jest ta sama, co zawsze.

— Ach tak! A jaka jest zawsze?

— Taka, że jesteśmy państwową instytucją naukową i częścią osobistej domeny Jego Wysokości Imperatora.,

Na podprefekcie nie wywarło to żadnego wrażenia. Puszczął spokojnie kółka z dymu. — To piękna teoria, doktorze Pirenne — rzekł. — Przypuszczam, że macie tu statuty i przywileje opatrzone pieczęcią Imperium. . . ale jaka jest obecna sytuacja? Jaki jest wasz stosunek do Smyrno? Wie pan doskonale, że stąd do Smyrno nie jest więcej niż pięćdziesiąt parseków. A co z Konom i Daribow?

— Nie mamy nic wspólnego z żadną prefekturą — powiedział Pirenne. — Jako część osobistej domeny imperatora. . .

— To nie są prefektury — przerwał mu Haut Rodric. — Teraz to królestwa.

— No więc z królestwami. Nie mamy z nimi nic wspólnego. Jako instytucja naukowa. . .

— Do diabła z nauką! — zaklął podprefekt, a jego soczyste żołnierskie przekleństwo zjonizowało atmosferę. — A co, u diabła, ma to wspólnego z faktem, że w każdej chwili możemy się stać świadkami zagarnięcia Terminusa przez Smyrno?

- A imperator? Będzie się temu spokojnie przyglądał? - Haut Rodric uspokoił się i rzekł:

— No cóż, doktorze Pirenne, szanujecie własność imperatora — my też, ale nie Smyrno. Proszę pamiętać, że właśnie podpisaliśmy układ z imperatorem — jutro przedstawię jego kopię temu waszemu zarządowi — który składa na nas odpowiedzialność za utrzymywanie, w imieniu imperatora, spokoju w granicach dawnej prefektury Anakreona. Nasze obowiązki są zatem oczywiste, prawda?

— Tak. Ale Terminus nie należy do Prefektury Anakreona.

— A Smyrno. . .

— Nie jest też częścią Smyrno. Nie należy do żadnej prefektury.

— A Smyrno wie o tym?

— Nie obchodzi mnie, co oni wiedzą.

— Ale nas obchodzi. Niedawno zakończyliśmy z nimi wojnę, ale nadal dwa systemy gwiazdne, które należą do nas, są w ich rękach. Terminus znajduje się w niezwykle ważnym punkcie strategicznym między nami a Smyrno.

Hardin poczuł zmęczenie. Postanowił więc przyspieszyć koniec rozmowy.

— Jaka jest wasza propozycja, Wasza Dostojność?

Podprefekt zdradzał gotowość do porzucenia podchodów na rzecz bardziej otwartej rozmowy. Powiedział dziarsko:

— Wydaje się zupełnie oczywiste, że ponieważ Terminus nie jest w stanie sam się obronić, musi to zrobić za niego Anakreon. Powinniście zrozumieć, że nie mamy absolutnie zamiaru mieszać się do waszych spraw wewnętrznych. . .

— Hmmm — mruknął Hardin.

— a. . . ale wierzymy, że byłoby najlepiej dla wszystkich zainteresowanych, gdyby Anakreon założył tu bazę wojskową.

— I to wszystko, czego chcecie? Gdybyście dostali naszą zgodę na założenie bazy wojskowej gdzieś na kawałku niezamieszkałego terytorium, nie byłoby sprawy?

— No, oczywiście, pozostałaby jeszcze kwestia utrzymania chroniącego was wojska.

Krzesło Hardina wylądowało z hukiem na wszystkich czterech nogach, a jego łokcie znalazły się na kolanach. — Teraz dochodzimy do sedna sprawy — rzekł. — Ujmijmy to jasno — Terminus ma stać się protektoratem i płacić haracz.

— Nie haracz. Podatek. My was będziemy chronić, a wy będziecie za to płacić.

W tym momencie Pirenne trzasnęła gwałtownie obiema dłońmi w krzesło. — Proszę pozwolić mi coś powiedzieć, Hardin. Wasza Dostojność, nic mnie nie obchodzi Smyrno ani wasze intrygi i wojenki. Mówię, że jest to finansowana przez państwo, zwolniona od Jakichkolwiek podatków instytucja.

— Przez państwo? Ależ to my Jesteśmy państwem, doktorze Pirenne, a my niczego nie finansujemy.

Pirenne podniósł się z gniewem.

— Wasza Dostojność, jestem bezpośrednim przedstawicielem. . .

— . . . Jego Wysokości Imperatora — wtrącił Anselm haut Rodric zgryźliwie. — A ja jestem bezpośrednim przedstawicielem króla Anakreona. Anakreon jest o wiele bliżej, doktorze Pirenne.

— Wróćmy do interesów — rzekł Hardin. — W jaki sposób chcielibyście otrzymywać te wasze podatki? Bralibyście je w naturze — pszenica, ziemniaki, warzywa, bydło?

Podprefekt wytrzeszczył oczy ze zdumienia. — Co, u diabła? A po co to nam? Mamy wielkie nadwyżki. W złocie, rzecz jasna. Nawiasem mówiąc, chrom lub wanad byłyby nawet milej widziane, jeśli macie tego dostatecznie dużo.

Hardin roześmiał się. — Dużo! Nawet żelaza nie mamy w wystarczającej ilości. Proszę, niech pan spojrzy na nasze pieniądze. — Rzucił posłowi monetę.

Haut Rodric chwycił ją i spytał ze zdumieniem:

— Co to jest? Stal?

— Zgadza się.

— Nie rozumiem.

— Terminus jest planetą praktycznie pozbawioną metali. Wszystkie importujemy. W związku z tym, nie mamy złota ani nic innego, czym moglibyśmy zapłacić, chyba że zgodzicie się na parę tysięcy buszli ziemniaków.

— Wobec tego mogą być towary przemysłowe.

— Bez metalu? A z czego mamy zrobić maszyny?

Zapadło milczenie i Pirenne spróbował raz jeszcze:

— Ta cała dyskusja jest zupełnie bez sensu. Terminus nie jest planetą, lecz

fundacją naukową przygotowującą wielką encyklopedię. Na przestrzeń, człowieku, czyżbyście nie mieli żadnego szacunku dla nauki?

— Encyklopedie nie wygrywają wojen — brwi Haut Rodrica ściągnęły się. — A więc jest to zupełnie nieproduktywny świat, i do tego praktycznie niezamieszkały. No cóż, możecie zapłacić ziemią.

— Co pan przez to rozumie?

— Ten świat jest prawie pusty, a niezamieszkałe tereny są prawdopodobnie żyzne. Na Anakreonie jest wiele szlachty, która chciałaby poszerzyć swe posiadłości.

— Nie może pan nam proponować takich. . .

— Nie ma powodu do niepokoju, doktorze Pirenne. Starczy dla nas wszystkich. Jeśli przyjdzie do tego, do czego przyjdzie, to moglibyśmy prawdopodobnie tak to załatwić, żeby pan na tym nic nie stracił. Można nadać tytuły i zagwarantować nienaruszalność majątków. Myślę, że mnie pan rozumie.

— Stokrotne dzięki — odparł z ironią w głosie Pirenne.

W tym momencie Hardin spytał niewinnie:

— Czy Anakreon mógłby dostarczyć odpowiednią ilość plutonu dla naszej elektrowni jądrowej? Mamy zapasy zaledwie na kilka lat.

Pirenne głośno zaczerpnął powietrza, a potem zapadło głucho milczenie. Kiedy wreszcie Haut Rodric przemówił, w jego głosie dźwięczały już zupełnie inne nuty.

— Macie energię jądrową? — spytał.

— Oczywiście. A co w tym dziwnego? Przypuszczam, że energia jądrowa znana jest od dobrych pięćdziesięciu tysięcy lat. Dlaczego nie mielibyśmy z niej korzystać? Tyle tylko, że trochę trudno teraz o pluton.

— No, tak. . . — poseł zawahał się, a potem dodał: — No cóż, panowie, omówimy tę sprawę jutro. Teraz proszę mi wybaczyć. . .

Pirenne odprowadził go wzrokiem i zazgrzytał zębami.

- Nieznośny, tępy osioł! Ten. . . - Hardin wpadł mu w słowo:

— Bynajmniej. Jest po prostu produktem określonego społeczeństwa. Przemawiają do niego tylko argumenty w rodzaju „Ja mam miotacz, a ty nie”.

Pirenne odwrócił się do niego zirytowany.

— Co, na przestrzeń, miało znaczyć to całe gadanie o bazach wojskowych i haraczu? Zwariował pan czy co?

— Nie. Po prostu pociągnąłem go za język. Niech pan raczy zauważyć, że wygadał się i niechcący zdradził nam prawdziwe intencje Anakreona. . . to znaczy, rozparcelowanie Terminusa między majątki ziemskie arystokracji anakreońskiej. Oczywiście nie mam zamiaru dopuścić do tego.

— Pan nie ma zamiaru — pan. A kim pan jest? Czy mogę spytać, co pan chciał osiągnąć paplając o naszej elektrowni atomowej? Przecież to jest akurat to, co może z nas uczynić łakomy kąsek i cel ataku.

— Tak — Hardin wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Cel, od którego lepiej się trzymać z daleka. Chyba to jasne, dlaczego wyciągnąłem tę sprawę? Przy okazji potwierdziło się to, co od dawna podejrzewałem.

— A mianowicie?

— Że Anakreon nie dysponuje już energią jądrową. Gdyby ją mieli, nasz przyjaciel wiedziałby na pewno, że plutonu nie używa się w elektrowniach jądrowych już od zamierzchłych czasów. Płynie stąd wniosek, że także reszta Peryferii nie posiada już energii jądrowej. Na pewno nie ma jej Smyrno, bo w przeciwnym razie Anakreon nie wygrałby tylu bitew w czasie ostatniej wojny. Interesujące, prawda?

— Phi! — Pirenne wydał wargi i odszedł w wisielczym humorze, a Hardin uśmiechnął się pod nosem.

Odrzucił niedopałek cygara i spojrzał na rozpostartą na niebie Galaktykę. — Wracamy do ropy i węgla, co? — mruknął, ale resztę uwag zachował dla siebie.

3

Kiedy Hardin zaprzeczył, jakoby „Dziennik” był jego własnością, to być może od strony formalnej było to zgodne ze stanem faktycznym, ale na tym koniec. Hardin był głównym inicjatorem poczynań zmierzających do przekształcenia Terminusa w samodzielne i samorządne miasto — został wybrany jego pierwszym burmistrzem — nic dziwnego zatem, że chociaż nominalnie nie posiadał ani jednej akcji „Dziennika”, w rzeczywistości skrycie kontrolował dobre sześćdziesiąt procent.

Były na to sposoby.

Nie było zatem dziełem przypadku, że akurat w czasie kiedy Hardin zaczął nalegać na Pirenne, aby ten zezwolił mu na udział w posiedzeniach Zarządu Fundacji, „Dziennik” wszczął podobną kampanię. I po raz pierwszy w historii, Fundacji odbyło się zgromadzenie ludowe, na którym domagano się dopuszczenia przedstawicielstwa miasta do udziału w rządzie „narodowym”.

W końcu, aczkolwiek niechętnie, Pirenne skapitulował.

Siedząc u końca stołu, Hardin daremnie wysiłał umysł, starając się pojąć, gdzie leży przyczyna tego, że uczeni są tak kiepskimi administratorami. Być może wyjaśnienia należało szukać w tym, że obcując stale z niezmiennymi faktami, za mało mieli do czynienia ze zmienną naturą ludzką.

W każdym razie, po jego lewej stronie siedzieli teraz Tomasz Sutt i Jord Fara, a po prawej — Lundin Crast i Yate Fulham. Pirenne zajmował miejsce przydialne.

Hardin sennie przysłuchiwał się początkowym formalnościom i ożywił się dopiero wtedy, kiedy Pirenne, przygotowując się do przemowy, pociągnął łyk wody

ze szklanki. W końcu Pirenne zaczął:

— Jest mi niezmiernie miło zakomunikować członkom Zarządu, że po naszym ostatnim posiedzeniu otrzymałem wiadomość, iż przybędzie tu za dwa tygodnie lord Dorwin, Kanclerz Imperium. Możemy śmiało przypuszczać, że gdy tylko imperator dowie się, jak wygląda sytuacja, nasze stosunki z Anakreonem ulegną poprawie, ku naszej całkowitej satysfakcji.

Uśmiechnął się i zwrócił się do Hardina:

— „Dziennik” otrzymał już w tej sprawie informacje.

Hardin cicho parsknął. Stało się teraz dla niego zupełnie oczywiste, że głównym powodem dopuszczenia go do tego świętego przybytku była chęć Pirenne’a pochwalenia się przed nim dopiero co otrzymaną wiadomością.

Powiedział spokojnie:

— Mówiąc konkretnie — czego oczekuje pan od lorda Dorwina?

Na to odezwał się Tomasz Sutt. Kiedy był w bardziej podniosłym nastroju, miał denerwującą manierę zwracania się do rozmówcy w trzeciej osobie.

— To zupełnie oczywiste — rzekł — że burmistrz Hardin jest zdeklarowanym cynikiem. Nie sądzę, żeby nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest zupełnie nieprawdopodobne, aby imperator pozwolił na pogwałcenie swoich praw.

— Tak? A co zrobiłby w przypadku, gdyby jednak zostały pogwałcone?

Zapanowało niezwykłe poruszenie. Wreszcie Pirenne rzekł:

— To jest wbrew przepisom — a po namyśle dodał — a poza tym wygłasza pan opinie, które tylko krok dzieli od zdrady.

— Czy to ma być odpowiedź na moje pytanie?

— Tak! Jeśli nie ma pan nic więcej do powiedzenia. . .

— Niech pan się tak nie śpieszy z wnioskami. Chciałbym jeszcze o coś spytać. . . Czy — poza tymi posunięciami dyplomatycznymi, które mogą, choć oczywiście nie muszą, być zupełnie bez znaczenia — zrobiono coś konkretnego, aby stawić czoła zagrożeniu ze strony Anakreona?

Yate Fulham musnął dłonią swój srogi wąs i rzekł:

— A więc widzi pan tu zagrożenie?

— A pan nie?

— Nie bardzo — odparł pobłaźliwie Fulham. — Imperator. . .

— Na przestrzeń! — zirytował się Hardin. — Co się tutaj dzieje! Co chwila ktoś mówi „imperator”, „Imperium”, jakby to były magiczne słowa. Imperator znajduje się o pięćdziesiąt tysięcy parseków stąd i wątpię, czy dałby za nas złamanego kredyta. A gdyby nawet, to co on nam może pomóc? Wszystko, co pozostało z floty Imperium w tych rejonach, jest w rękach Czterech Królestw, a Anakreon ma w tym swój niemały udział. Ludzie, musimy walczyć wyrzutniami, nie słowami.

A teraz słuchajcie uważnie. Zyskaliśmy dwa miesiące, głównie dzięki temu, że wmówiliśmy Anakreończykom, iż mamy broń jądrową. No, cóż, wszyscy dobrze

wiemy, że to wierutne kłamstwo. Mamy energię atomową, ale tylko dla celów handlowych, a i tego jest tyle co nic. Wkrótce się w tym zorientują i jeśli myślicie, że nadal będą nastawieni do nas życzliwie, to grubo się mylicie.

— Drogi panie. . .

— Chwileczkę. Jeszcze nie skończyłem. — Hardin rozgrzał się. Lubił to. — To znakomicie, że wciąga się do tej sprawy kanclerzy, ale byłoby o wiele lepiej włączyć do gry parę dział wyrzutni przystosowanych do pocisków jądrowych. Straciliśmy dwa miesiące, panowie, i może nie będziemy już mieć następnych dwóch. Co proponujecie?

Lundin Crast, marszcząc gniewnie swój długi nos, rzekł:

— Jeśli proponujecie militaryzację Fundacji, to nie chcę o tym słyszeć. Oznaczałoby to otwarte wkroczenie na teren polityki. Jesteśmy, panie burmistrzu, fundacją naukową i niczym więcej.

Sutt dodał:

— Co więcej, on nie zdaje sobie sprawy z tego, że zbrojenia wymagałyby oderwania ludzi — wartościowych ludzi — od pracy przy *Encyklopedii*. Niech się dzieje, co chce, ale tego nie można robić.

— Święta prawda — zgodził się Pirenne. — Przede wszystkim *Encyklopedia*. . . Zawsze.

Hardin jęknął w duchu. *Encyklopedia* wydawała się ciężko upośledzać umysł członków Zarządu. Powiedział lodowatym tonem:

— Czy kiedykolwiek przyszło wam do głowy, że Terminus może się interesować sprawami innymi niż *Encyklopedia*?

— Nie wyobrażam sobie, Hardin, żeby Fundacja mogła interesować się czymś innym niż *Encyklopedia* — odparł Pirenne.

— Nie mówię, że Fundacja, mówię o Terminusie. Obawiam się, że nie orientujecie się w sytuacji. Jest nas tu, na Terminusie, dobry milion, a nad *Encyklopedią* pracuje niewiele ponad sto pięćdziesiąt tysięcy osób. Dla całej reszty tu jest ich dom, ich ojczyzna. Tu się urodziliśmy i tu żyjemy. W porównaniu z naszymi domami, gospodarstwami i fabrykami *Encyklopedia* niewiele dla nas znaczy. Chcemy mieć poczucie bezpieczeństwa. . .

Zakrzyczano go.

— Przede wszystkim *Encyklopedia*! — pieklił się Crast. — Mamy misję do spełnienia.

— Do diabła z misją! — krzyknął Hardin. — To było dobre pięćdziesiąt lat temu. Teraz żyje tu nowe pokolenie.

— Jedno z drugim nie ma nic wspólnego — odpowiedział Pirenne. — Jesteśmy uczonymi.

— Naprawdę? — podchwycił skwapliwie Hardin. — To tylko miłe dla was złudzenie. Cała wasza paczka jest doskonałym przykładem tego, co od tysięcy lat

toczy Galaktykę. Jakież to rodzaj nauki — tkwić tutaj setki lat i klasyfikować wyniki prac uczonych ostatniego tysiąclecia? Czy kiedykolwiek pomyśleliście o tym, żeby rozwinąć, poszerzyć i udoskonalić ich wiedzę? Nie! Jesteście zupełnie zadowoleni z tego, że tkwicie w miejscu. Taka jest cała Galaktyka, i to — przestrzeń tylko wie — od jak dawna. To właśnie dlatego buntują się Peryferie, to dlatego upada komunikacja, to dlatego lokalne wojny ciągną się w nieskończoność, to dlatego całe systemy tracą władzę nad energią jądrową i wracają do barbarzyńskich metod produkcji energii na drodze chemicznej.

Jeśli chcecie znać moje zdanie — krzyknął — to Galaktyka schodzi na psy!

Przerwał i opadł na krzesło, aby złapać oddech. Nie zwracał uwagi na dwie czy trzy osoby, które jednocześnie starały się mu odpowiedzieć.

Wreszcie do głosu doszedł Crast:

— Nie wiem, burmistrzu, co pan chce osiągnąć swoim historycznym wystąpieniem. Z pewnością nie wnosi pan nic konstruktywnego do dyskusji. Zgłaszam wniosek, panie przewodniczący, aby uwagi mojego przedmówcy potraktować jako nieformalne i podjąć dyskusję w miejscu, w którym została przerwana.

Jord Fara poruszył się po raz pierwszy. Aż do tej pory nie brał udziału w sporze, nawet kiedy ten się zaognił. Ale teraz zabrzmiał jego potężny głos, równie potężny jak trzystufuntowe ciało, z którego się wydobywał.

— Czy nie zapomnieliśmy o czymś, panowie?

— O czym? — spytał wyraźnie zirytowany Pirene.

— O tym, że za miesiąc obchodzić będziemy nasze pięćdziesięciolecie. — Fara posiadał rzadką umiejętność wygłaszania najbardziej oczywistych banałów z wielkim namaszczeniem i powagą.

— I co z tego?

— A w tę rocznicę — ciągnął spokojnie Fara — otworzy się Krypta Hariego Seldona. Czy zastanawialiście się kiedy, co może być w krypcie?

— Nie wiem. Zwykle rzeczy. Być może szablonowe przemówienie i gratulacje. Nie sądzę, aby należało przywiązywać do Krypty większe znaczenie, chociaż „Dziennik” — tu rzucił wściekle spojrzenie na Hardina, który w odpowiedzi wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu — starał się zrobić z tego wielką sprawę. Położyłem temu kres.

— Aha — rzekł Fara. — Ale być może jesteś w błędzie. Czy nie uderza cię — przerwał na chwilę i wznosił palec w stronę swego niewielkiego, bulwiastego nosa — że Krypta otworzy się w bardzo odpowiednim czasie?

— Chciałeś chyba powiedzieć „w bardzo nieodpowiednim czasie” — mruknął Fulham. — Mamy inne zmartwienia.

— Ważniejsze niż przesłania od Hari Seldona? Myślę, że nie — Fara wyglądał tak uroczyście jak nigdy przedtem, a Hardin przyglądał mu się z zamyśleniem. „Do czego on zmierza?” — zastanawiał się.

— Prawdę mówiąc — powiedział Fara radosnym głosem — wszyscy chyba zapomnieliście o tym, że Seldon był największym psychologiem naszych czasów i założycielem Fundacji. Wydaje się, że można zasadnie przypuszczać, iż użył on swej wiedzy dla określenia prawdopodobnego biegu wydarzeń najbliższej przyszłości. Jeśli zrobił to, a — powtarzam — wydaje się to prawdopodobne, to na pewno postarał się znaleźć jakiś sposób, żeby ostrzec nas przed niebezpieczeństwem i być może wskazać wyjście z sytuacji. Wiecie dobrze, jak droga jego sercu była *Encyklopedia*.

Zgromadzeni spoglądali po sobie niepewnym wzrokiem. Pirenne chrząknął i rzekł:

— Hm, doprawdy nie wiem. Psychologia to wielka nauka, ale — jak mi się wydaje — nie ma teraz wśród nas psychologów. Wydaje mi się, że stąpamy po niepewnym gruncie.

— Czy pan przypadkiem nie studiował psychologii u Alurina? — Fara zwrócił się do Hardina.

— Tak — odpowiedział Hardin, na poły pogrążony w zadumie — ale nigdy nie ukończyłem studiów. Miałem dość teorii. Chciałem się zająć inżynierią psychologiczną, ale nie było do tego odpowiednich warunków, więc zrobiłem to, co mogłem zrobić — zająłem się polityką. Praktycznie biorąc, to jedno i to samo.

— A zatem, co pan myśli o Krypcie?

— Nie mam zdania na ten temat — odparł ostrożnie Hardin.

Aż do końca zebrania nie wyrzekł już ani słowa, mimo iż wrócono do sprawy wizyty Kanclerza Imperium.

Prawdę mówiąc, nie słuchał nawet tego, co mówili. Wskazano mu nową drogę i wszystko zaczęło się powoli układać w całość. Parę spraw pasowało do siebie.

A kluczem do tego była psychologia. Tego był pewien.

Rozpaczliwie próbował przypomnieć sobie teorie psychologiczne, których się niegdyś uczył — i od razu na początku uzmysłowił sobie jedno.

Tak wielki psycholog jak Seldon potrafił rozszyfrować ludzkie emocje w stopniu wystarczającym do tego, by dokładnie móc przewidzieć przyszłe zakręty historii.

4

Lord Dorwin zażywał tabaki. Miał także długie loki, najwidoczniej sztucznie ułożone, a do tego puszyste jasne bokobrody, które gładził z lubością. Poza tym, oczywiście, wyrażał się wykwintnie i nie wymawiał „r”.

W tej chwili Hardin nie miał czasu, aby dłużej zastanawiać się nad przyczynami swej nagłej niechęci do szlchetnego kanclerza. Ach, tak, jeszcze te wytworne

ruchy dłoni towarzyszące wszystkiemu, co mówił i starannie wystudiowana, łaskawa życzliwość, przebijająca nawet z najprostszego „tak”.

Tak czy inaczej podstawowym zadaniem było teraz znaleźć go. Zniknął z Pirenne pół godziny temu — przepadł gdzieś, niech go diabli!

Hardin był zupełnie pewien, że jego własną nieobecność podczas rozmów wstępnych byłaby bardzo na rękę Pirenne’owi.

Pirenne’a widziano właśnie w tym skrzydle i na tym piętrze. Trzeba po prostu sprawdzić wszystkie pomieszczenia. W połowie drogi Hardin mruknął. — Aha! — i wszedł do ciemnego pokoju. Na tle jasnego ekranu wyraźnie widoczny był zarys kunsztownej fryzury lorda Dorwina.

Lord uniósł głowę i rzekł: — A, Hahdin. Szuka pan, phawda? — Wyciągnął w jego stronę przeładowaną ozdobami, a przy tym — jak zauważył Hardin — podle wykonaną tabakierkę, a spotkawszy się z grzeczną odmową, sam zażył szczyptę tabaki i uśmiechnął się łaskawie.

Pirenne nachmurzył się, ale Hardin zareagował na to zupełnie obojętną miną.

Jedynym dźwiękiem, który przerwał narastającą z wolna ciszę, było trzaśnięcie wieczka tabakiery Lorda Dorwina. Po chwili kanclerz odłożył ją i przemówił.

— To wielkie osiągnięcie, ta wasza *Encyklopedia*, Hahdin. Naphawdę to dzieło, które można pohównać z największymi osiągnięciami wszystkich czasów.

— Większość z nas tak uważa, milordzie. Jest to jednak na razie osiągnięcie niezupełnie osiągnięte.

— Z tego skhomnego przeglądu osiągnięć waszej Fundacji wnoszę, że nie ma co do tego żadnych obaw. Mam dobre mniemanie o jej sphawności — tu skinął głową Pirenne’owi, który, wyraźnie zadowolony z uznania, odpowiedział ukłonem.

„Prawdziwe święto miłości” — pomyślał Hardin, a głośno rzekł:

— Skarzyłem się nie tyle na brak sprawności naszych naukowców, milordzie, ile na nadzwyczajną wprost sprawność Anakreończyków, wykazywaną w innej, bardziej destrukcyjnej dziedzinie.

— A tak, Anakheon. — Lekceważący ruch ręki — Właśnie stamtąd przybywam. Zupełnie bahbarzyńska planeta. Thudno sobie wphost wyobhazać, że tutaj, na Pehyfehiach, mogą egzystować istoty ludzkie. Bhak najbahdziej elementahnych rzeczy niezbędnych dla kultuhalnego gentlemana, bhak podstawowych ahtykułów potrzebnych do dobhego samopoczucia i wygody — zupełne opuszczenie, w któhym. . .

Hardin przerwał sucho: — Niestety, Anakreończycy mają za to wszystkie elementarne rzeczy potrzebne do prowadzenia wojny i wszystkie podstawowe artykuły niezbędne do sprowadzenia zagłady.

— Owszem, owszem — lord Dorwin wydawał się niezadowolony, być może dlatego, że przerwano mu w pół zdania. — Ale, wiecie, nie będziemy dzisiaj hozmawiać o intehesach. Naphawdę, chociaż skądinąd jestem tym zaintehesowa-

ny. Doktorze Pihenne, czy nie mógłby mi pan pokazać długiego tomu? Bahdzo phoszę.

Światła zgasły i, jeśli chodzi o zainteresowanie Pirenne'a i lorda Dorwina osobą Hardina, to równie dobrze mógłby się teraz znajdować na Anakreonie. Książka widoczna na ekranie nie była dla niego zbyt zrozumiała, zresztą nie starał się nawet jej zrozumieć, ale lord Dorwin zdradzał od czasu do czasu zwykłe ludzkie zainteresowanie. Hardin zauważył, że w chwilach podniecenia kanclerz nie miał żadnych kłopotów z wymawianiem „r”.

Kiedy znowu rozbłysły światła, lord Dorwin przemówił:

— Cudowne. Naphawdę cudowne. Nie intehesuje się pan przypadkiem ahcheologia, Hahdin?

— He? — Hardin otrząsnął się z zadumy. — Nie, milordzie, nie mogę powiedzieć, żeby mnie to interesowało. Z zawodu jestem psychologiem, a z wyboru — politykiem.

— Ach tak! To bez wątpienia intehesujące studia. Ja sam, wie pan — tu zażył potężną dawkę tabaki — bawię się w ahcheologa.

— O, doprawdy?

— Jego lordowska mość — wtrącił się Pirenne — jest znakomicie zorientowany w tej dziedzinie.

— No cóż, może jestem, może jestem — jego lordowska mość rzekł z zadowoleniem. — Włożyłem masę phacy w tę naukę. Bahdzo dużo lektuh, phawdę rzekłszy. Przehobiłem całego Jawduna, Objiasi, Khomwilla... och, wszystko to, wie pan.

— Słyszałem o nich, a jakże — powiedział Hardin — ale nic z tego nie czytałem.

— Powinien pan to kiedyś zhobić, dhogi przyjacielu. To by się panu po phostu opłaciło. No więc, jestem całkowicie przekonany, że wahto było odbyć podhóz aż na Pehyfehie, żeby zobaczyć ten egzemplarz Lametha. Czy dacie wiahe, panowie, że nie mam w swej bibliotece ani jednego egzemplarza tego dzieła? A phopos, doktorze, Pihenne, nie zapomniał pan o obietnicy zhobienia dla mnie odbitki przed wyjazdem?

— Zrobię to z prawdziwą przyjemnością.

— Lameth, musicie wiedzieć — rzekł kanclerz uroczyście — wnosi nowy i bahdzo intehesujący wkład do mojej wiedzy na temat Phoblemu Pochodzenia.

— Jakiego problemu? — spytał Hardin.

— Phoblemu Pochodzenia. No, wiecie, miejsca pochodzenia hodzaju ludzkiego. Z pewnością musicie wiedzieć, że uważa się, iż hodzaj ludzki zajmował piehwośnie tylko jeden system planetahny.

— No tak, wiemy o tym.

— Oczywiście nikt nie wie z całą pewnością, któhy to jest system. Tajemnica ginie w mhokach stahožytności. Są jednak teohie. Syhiesz — powiadają jedni.

Inni utrzymują, że Alfa Centauhi, albo Słońce, albo 61 Cygni — wszystkie w sektorze Syhusza, hozumiecie.

— A co pisze Lameth?

— Otóż idzie on w zupełnie nowym kiehunku. Phóbuje wykazać, że wykopaliska ahcheologiczne na trzeciej planecie systemu Ahktuha wskazują, na to, że istniała tam ludzkość na długo przed pojawieniem się piehwszych oznak podhóży kosmicznych.

— I to znaczy, że to jest właśnie ta planeta, na której zrodziła się ludzkość?

— Może. Muszę to dokładnie przeczytać i zbadać dowody, zanim będę mógł stwiehdzić coś z całą pewnością. Trzeba sphawdzić wiahygodność danych.

Hardin przez chwilę nic nie mówił. Potem spytał:

— Kiedy Lameth napisał tę książkę?

— O, myślę, że około ośmiuset lat temu. Oczywiście opiehał się w znacznej mierze na wcześniejszych phacach Gleena.

— Dlaczego więc polegać na nim? Czy nie lepiej udać się na Arktura i same-mu zbadać wykopaliska?

Lord Dorwin uniósł brwi i pośpiesznie zażył tabaki.

— No, a po cóż to, dhogi przyjacielu?

— Po to, aby uzyskać informacje z pierwszej ręki, rzecz jasna.

— A gdzież taka potrzeba? Sądzę, że to zbyt okhężna i beznadziejnie nonsensowna metoda hobienia czegokolwiek. Mam przecież dzieła wszystkich dawnych mistrzów — wielkich ahcheologów przeszłości. Pohównuję je ze sobą, ważę hóżne punkty widzenia, analizuję przeciwstawne sądy, wybieham to, co phawdopodobnie phawdziwe — i wyciągam wnioski. To metoda naukowa. Przynajmniej — dodał protekcjonalnie — ja tak to widzę. Jakąż niewiahygodną naiwnością byłoby lecieć na Ahktuha albo do systemu słonecznego, na przykład, i szukać tam po omacku, skoho dawni mistrzowie zbadali te teheny o wiele lepiej, niż mogłoby się nam dzisiaj marzyć.

Hardin wymamrotał:

— Rozumiem.

Metoda naukowa, niech to diabli! Nic dziwnego, że Galaktyka schodzi na psy.

— Chodźmy, milordzie — rzekł Pirenne. — Myślę, że chyba powinniśmy już wracać.

— A, tak. Może powinniśmy.

Gdy wychodzili z pokoju, Hardin rzekł nagle:

— Milordzie, czy mogę o coś spytać? Lord Dorwin uśmiechnął się uprzejmie i łaskawie skinął ręką.

— Oczywiście, dhogi przyjacielu. Jestem niezmiennie szczęśliwy, że mogę służyć pomocą. Jeśli tylko moja skhomna wiedza może się na coś przydać...

— Moje pytanie niezupełnie dotyczy archeologii.

— Nie?

— Nie. Oto ono — w ubiegłym roku dotarła do nas wiadomość o wybuchu w elektrowni na V Planecie Gammy Andromedy. Dostaliśmy zaledwie ogólnikowy opis wypadku, bez żadnych szczegółów. Ciekaw jestem, czy mógłby mi pan powiedzieć dokładnie, co się tam stało.

Pirrenne skrzywił usta. — Dziwię się, że zanudza pan jego lordowską mość pytaniami o tak błahe sprawy.

— Skądże, doktorze Pihenne — kanclerz ujął się za Hardinem. — Wszystko w porządku. Jeśli chodzi o tę sphawę, to niewiele można powiedzieć. Ekspłodowała elekthownia i była to phawdziwa katasthofa. Myślę, że zginęło pahe milionów ludzi, a przynajmniej połowa planety po phostu legła w ghuzach. Rząd poważnie zastanawia się, czy nie nałożyć suhowych hesthykcji na niekontholowane korzystanie z enehgii jądhowej... ale, wiecie, to nie jest sphawa do publicznej wiadomości.

— Rozumiem — powiedział Hardin. — Ale co się właściwie stało w elektrowni?

— Cóż, dophawdy — odparł obojętnie lord Dorwin — któż to wie? Zepsuła się kilka lat przedtem i uważa się, że naphawy i hepehacje przeprowadzono wyjątkowo niestahannie. Tak thudno dzisiaj znaleźć ludzi, którzy rzeczywiście znają się na bahdziej technicznych szczegółach naszych systemów enehgetycznych. — I zażył szczyptę tabaki.

— Czy wyobraża pan sobie — rzekł Hardin — że niezależne królestwa Peryferii nie mają już w ogóle energii jądhowej?

— Czyżby? Zupełnie mnie to nie dziwi. Baharzyńskie planety... Ale, dhogi przyjacielu, nie mów, że są niezależne. Nie są, hozumiesz? Thaktaty, które z nimi zawaliliśmy, potwiehdzają to. Wszystkie khólestwa uznały zwierzchność Impehium. Musiały to zhobić, bo w przeciwnym wypadku nie pethaktowalibyśmy z nimi.

— Może tak jest istotnie, ale mają znaczną swobodę działania.

— Tak, tak przypuszczam. Znaczną. Ale to nie ma wielkiego znaczenia. Tehaz, kiedy Pehyfehie zdane są na własne siły, Impehium o wiele lepiej phospehuje. Te khólestwa nie przedstawiają dla nas żadnej wahtości, hozumiecie. To zupełnie bahbarzyńskie planety. Phawie niecywilizowane.

— Dawniej były cywilizowane. Anakreon był jedną z najbogatszych prowincji kresowych. Myślę, że nawet porównanie z Vegą wypadało na jego korzyść.

— Och, Hahdin, to było setki lat temu. Nie można z tego wyciągać wniosków. W dawnych, dobnych czasach wyglądało to inaczej. Nie jesteśmy już tym, kim byliśmy, hozumie pan. No, Hahdin, ale z pana upahty facet. Mówiłem już, że dzisiaj nie będziemy hozmawiać o intehesach. Doktoh Pihenne przestrzegął mnie przed panem. Mówił, że będzie się pan stahał zadhęczyć mnie pytaniami, ale za stahy ze mnie wyjadacz, żeby na to pozwolić. Zostawmy to na jutho.

I na tym się skończyło.

Było to drugie, jeśli wykluczyć nieformalne rozmowy członków Zarządu z nieobecny już lordem Dorwinem, posiedzenie Rady, w którym uczestniczył Hardin. Ale był on zupełnie pewien, że odbyło się przynajmniej jedno, a może nawet dwa lub trzy, na które jakoś nigdy nie otrzymał zaproszenia.

Przypuszczał zresztą, że nie otrzymałby zaproszenia nawet na to posiedzenie, gdyby nie ultimatum.

Pobieżna lektura dokumentu mogłaby wprawdzie sugerować, że jest to tylko przyjacielska wymiana grzeczności między dwoma potęgami, ale było to niewątpliwie ultimatum.

Hardin przejrzał pismo uważnie. Rozpoczęła je utrzymane w kwiecistym stylu pozdrowienie od „Jego Królewskiej Mości Pana Anakreona dla jego przyjaciela i brata, Doktora Lewisa Pirenne, Prezesa Zarządu Fundacji Encyklopedycznej Numer Jeden”, a kończyła jeszcze bardziej wyszukana, wielobarwna pieczęć o zawitym, symbolicznym rysunku. Tym niemniej było to ultimatum.

— Okazało się, że mimo wszystko nie mieliśmy wiele czasu — rzekł Hardin. — Zaledwie trzy miesiące. Ale nawet ten krótki okres zmarnowaliśmy bezpowrotnie. To tutaj — wskazał na pismo — daje nam tydzień. Co teraz zrobimy?

Pirenne miał zmartwioną minę. — Musi być jakieś wyjście. Jest zupełnie nieprawdopodobne, żeby posunęli się do ostateczności wiedząc, że lord Dorwin zapewnił nas o przychylnym stosunku imperatora i Imperium.

Hardin rzekł z ożywieniem:

— Rozumiem. Powiadomił pan króla Anakreona o tej rzekomej przychylności?

— Tak... po uprzednim przedstawieniu propozycji Zarządowi, poddaniu jej pod głosowanie i uzyskaniu jednomyślnej zgody.

— A kiedy odbyło się to głosowanie?

Pirenne uniósł się godnością.

— Nie sędzę, żebym musiał się panu z tego tłumaczyć, burmistrz Hardin.

— W porządku. Nie jestem tym aż tak głęboko zainteresowany. Po prostu, według mnie, to właśnie wasze dyplomatyczne przedstawienie nieocenionego wkładu lorda Dorwina w rozwój sytuacji — uniósł kącki ust w ironicznym uśmiechu — stało się bezpośrednią przyczyną wysłania przez nich tej oto przyjacielskiej noty. Gdyby nie wasze pismo, moglibyśmy jeszcze grać na zwłokę... chociaż, biorąc pod uwagę stosunek Zarządu, nie sędzę, aby dodatkowy czas uzyskany w ten sposób mógł wiele pomóc Terminusowi.

Odezwał się Yate Fulham:

— A w jaki to sposób doszedł pan do tego nadzwyczajnego wniosku?

— W sposób raczej prosty. Trzeba było tylko zrobić użytek z tego powszechnie lekceważonego daru, jakim jest zdrowy rozsądek. Widzicie, panowie, jest taka gałąź wiedzy, znana pod nazwą logiki symbolicznej, której można użyć dla

uwolnienia języka od tego całego zbędnego balastu nic nie znaczących określeń i próżnych frazesów, który go obciąża i krępuje.

— No i co dalej?

— Zrobiłem z niej użytek. Między innymi analizując ten oto dokument. Szczerze mówiąc nie było mi to potrzebne, ponieważ i bez tego dobrze wiedziałem, o co w nim chodzi, ale sądzę, że pięciu fizyków zrozumie to lepiej, jeśli wyrazi się to symbolami.

Hardin wyjął kilka kartek z bloku, który trzymał pod pachą, i rozpostarł na stole.

— Nawiasem mówiąc, nie ja to zrobiłem — powiedział. — Jak widzicie, pod tymi analizami podpisał się Muller Holk z Wydziału Logiki.

Pirenne uniósł się nieco z miejsca i przechylił przez stół, aby lepiej widzieć. Hardin mówił dalej:

— Naturalnie, pismo z Anakreona to prosta sprawa, bowiem jego autorzy są ludźmi czynu, nie pióra. Jego treść sprowadza się do kategorycznego żądania, które symbolicznie można przedstawić tak, jak to tu widzicie. Mówiąc krótko — znaczy to: Albo w ciągu tygodnia dacie nam to, czego chcemy, albo tak wam dołożymy, że się nie pozbieracie i weźmiemy to sami.

Hardin umilkł, a pięciu członków Zarządu studiowało w milczeniu rzędy symboli. W końcu Pirenne usiadł i chrząknął z zakłopotaniem.

— No i co, doktorze, jest tam jakieś wyjście? — zapytał Hardin.

— Wydaje się, że nie.

— W porządku — Hardin wyjął inną kartkę. — Macie teraz przed sobą kopię traktatu, który Imperium zawarło z Anakreonem — nawiasem mówiąc, traktat podpisany jest w imieniu imperatora przez tego samego lorda Dorwina, który był tu w ubiegłym tygodniu — a tu jest jego symboliczna analiza.

Tekst traktatu zajmował bite pięć stron druku, natomiast na nabazgranie jego analizy wystarczyło Holkowi mniej niż pół strony.

— Jak widzicie, panowie, gdzieś około dziewięćdziesięciu procent tekstu zostało w wyniku analizy odrzucone jako pozbawione znaczenia, a to, co pozostało, można opisać w taki oto interesujący sposób:

Zobowiązania Anakreona względem Imperium — żadne!

Władza Imperium nad Anakreonem — żadna!

I znów pięć głów pochyliło się nad kartką, sprawdzając poprawność wyводу i jego zgodność z tekstem traktatu, a kiedy wreszcie dobiegło do końca, Pirenne rzekł zafrasowanym głosem:

— Wydaje się, że analiza jest poprawna.

— Przyznajecie zatem, że ten traktat to nic innego jak tylko deklaracja całkowitej niezależności Anakreona i uznanie tego faktu przez Imperium?

— Wydaje się, że jest tak w istocie.

— I myślicie, że Anakreon nie wie o tym i nie pragnie potwierdzić swej niezależnej pozycji? I to w taki sposób, żeby było jasne dla wszystkich, że drwi sobie z gróźb Imperium?

Szczególnie w sytuacji, kiedy jest sprawą oczywistą, że Imperium jest zbyt słabe, by zrealizować jakąkolwiek z tych gróźb. Bo przecież w przeciwnym razie nigdy by się nie zgodziło na niepodległość Anakreona.

— Jak zatem — wtrącił się Sutt — może burmistrz Hardin wyjaśnić zapewnienia lorda Dorwina o poparciu Imperium dla nas? Wydają się one... — wzruszył ramionami — no więc, wydają się one zadowolające.

Hardin opadł na krzesło.

— Wiecie, że to najciekawsze w tej sprawie. Przyznam się, że kiedy po raz pierwszy spotkałem szanownego miałem go za skończonego durnia... ale okazało się, że jest naprawdę doskonałym dyplomatą i niezwykle sprytnym facetem. Pozwoliłem sobie nagrać wszystkiego jego wypowiedzi.

W tym momencie wśród zebranych zapanowało poruszenie, a Pirenne skrzywił się z niesmakiem.

— No, i co się stało? — spytał Hardin. — Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że było to karygodnym pogwałceniem praw gościnności i że nie zrobiłby tego żaden tak zwany gentleman. Zdaję sobie też sprawę z tego, że gdyby jego lordowska mość zorientował się w tym, mogłoby to mieć nieprzyjemne konsekwencje... Ale się nie zorientował, a ja mam nagrania i nie ma o czym mówić. Kazałem spisać ich treść i również wysłałem Holkowi do analizy.

— A gdzie ta analiza? — spytał Lundin Crast.

— To jest właśnie najciekawsze — odparł Hardin. — Była to pod każdym względem najtrudniejsza ze wszystkich trzech analiz. Kiedy po dwóch dniach wyczerpanej pracy udało się Holkowi wyeliminować wszystkie nic nie znaczące frazesy, zbyteczne zastrzeżenia i ogólnikowe sformułowania, okazało się, że nic nie zostało. Wszystko było wykreślone.

Lord Dorwin, panowie, w czasie pięciu dni rozmów nie powiedział dosłownie nic, co miałoby jakieś znaczenie, a zrobił to tak umiejętnie, że nikt się w ogóle nie zorientował. Oto są te gwarancje, które dało wam wasze nieocenione Imperium.

Gdyby Hardin położył na stole bombę z gazem cuchnącym, nie wywołałby większego zamieszania. Odczekał cierpliwie, aż gwar ucichnie.

— Tak więc — zakończył — kiedy posłaliście im list z pogrózkami — bo w istocie były to pogróżki — że Imperium podejmie przeciw nim odpowiednie działania, to po prostu rozwścieczyliście władcę, który dobrze wie, jak się naprawdę sprawy mają. Naturalnie jego ego domagało się natychmiastowego działania i to ultimatum jest tego efektem. W ten sposób doszliśmy do mojego pierwszego pytania — co zrobimy, mając tydzień czasu?

— Wydaje się — powiedział Sutt — że nie mamy wyboru i musimy zgodzić się na założenie przez Anakreończyków bazy wojskowej na Terminusie.

— W tym punkcie zgadzam się z panem — odparł Hardin — ale co zrobimy, aby ich stąd wykopać przy najbliższej okazji?

Wąsy Yate Fulhama drgnęły.

— Brzmi to tak, jakby był pan zdania, że na siłę trzeba reagować siłą.

— Siła — usłyszał Fulham w odpowiedzi — to ostateczność, do której uciekają się nieudolni. Nie mam jednak najmniejszego zamiaru słać dywanów pod ich stopy i usuwać najlepszych mebli dla ich wygody.

— W dalszym ciągu nie podoba mi się sposób, w jaki pan to ujmuje — upierał się Fulham przy swoim. — To niebezpieczna postawa, tym bardziej niebezpieczna, że — jak zauważyliśmy ostatnio — spora część ludności zdaje się odpowiadać na pana sugestie właśnie w ten sposób. Mógłbym panu też powiedzieć, że pana ostatnie poczynania niezupełnie uszły uwagi Zarządu.

Poparli go pozostali członkowie Zarządu. Hardin wzruszył ramionami.

— Gdyby chciał pan zachęcić mieszkańców Miasta do aktów przemocy — podjął Fulham na nowo — byłaby to wyszukana forma samobójstwa... a my nie mamy zamiaru dopuścić do tego. Nasza polityka opiera się na jednej tylko kardynalnej zasadzie, a jest nią dobro *Encyklopedii*. Cokolwiek zdecydujemy się uczynić, będzie to podyktowane troską o zapewnienie bezpieczeństwa *Encyklopedii*.

— Zatem — rzekł Hardin — dochodzi pan do wniosku, że musimy kontynuować naszą aktywną kampanię nicnierobienia.

Pirrenne powiedział głośno:

— Sam pan wykazał przed chwilą, że Imperium nie może nam pomóc, chociaż jak to możliwe i dlaczego tak ma być, nie jestem w stanie pojąć. Jeśli konieczny jest kompromis...

Hardin miał uczucie, jak z koszmarnego snu, że pędzi dokądś z maksymalną szybkością i nie może w żaden sposób się zatrzymać.

— Nie ma mowy o żadnym kompromisie! Czy nie rozumiecie, że całe to bzdurne gadanie o bazach wojskowych to mydlenie oczu? Haut Rodric powiedział wyraźnie, o co chodzi Anakreonowi — o zwyczajną aneksję i narzucenie nam feudalnego systemu wielkich posiadłości ziemskich i gospodarki pańszczyźnianej. To, co zostało z naszego bluffu o broni atomowej, może skłonić ich do wolniejszego działania, ale na pewno ich przed nim nie powstrzyma.

Podniósł się, wzburzony, a reszta powstała razem z nim — z wyjątkiem Jorda Fary. Wtedy właśnie Fara przemówił.

— Proszę, żeby wszyscy usiedli. Myślę, że posunęliśmy się już dość daleko. No, burmistrzu Hardin, nie ma co się wściekać — nikt z nas nie popełnił zdrady.

— Będzie pan mnie musiał przekonać o tym!

Fara uśmiechnął się łagodnie.

— Przecież pan tak nie myśli. Niech mi wolno będzie coś powiedzieć.

Jego małe sprytnie oczka były na w pół przymknięte, a na gładkiej powierzchni podbródka błyszczały krople potu.

— Wydaje się, że nie ma sensu ukrywać, iż Zarząd doszedł do wniosku, że właściwe rozwiązanie problemu Anakreona leży w tym, co ukaże się nam za sześć dni — gdy otworzy się Krypta.

— Czy to wszystko, co chciał pan powiedzieć?

— Tak.

— Jeśli dobrze rozumiem, mamy nic nie robić, tylko czekać z założonymi rękami i głęboko wierzyć, że coś wyskoczy z Krypty jak *deus ex machina*?

— Jeśli odrzucimy pana emocjonalną frazeologię, to o to właśnie chodzi.

— Cóż za nie wyrafinowany eskapizm! Naprawdę, doktorze Fara, takie szaleństwo zatracą o geniusz — płytszy umysł nie zdołałby tego wymyślić.

Fara uśmiechnął się pobłażliwie.

— Pańskie zamiłowanie do aforyzmów, Hardin, jest zadziwiające, ale nie na miejscu. Prawdę mówiąc, myślę, że pamięta pan, co mówiłem na temat Krypty trzy tygodnie temu.

— Tak, pamiętam. Nie przeczę, z punktu widzenia logiki dedukcyjnej nie był to na pewno głupi pomysł. Powiedział pan — proszę mi przerwać, jeśli coś przekręcę — że Hari Seldon był największym psychologiem systemu, że przeto mógł być przewidzieć sytuację, w której obecnie się znajdujemy i że zatem zbudował Kryptę, żeby w odpowiednim momencie wskazać nam sposób wyjścia z tej sytuacji.

— Trafił pan w sedno.

— Czy nie będzie pan zaskoczony, jeśli wyznam, że przez te ostatnie tygodnie dużo o tym myślałem?

— Bardzo mi to pochlebia. Z jakim wynikiem?

— Z takim, że czysta dedukcja nie wystarczy. Tu także trzeba trochę zdrowego rozsądku.

— Na przykład?

— Na przykład, jeśli Seldon przewidział te kłopoty z Anakreonem, to dlaczego nie umieścił nas na jakiejś innej planecie, bliżej środka Galaktyki? Dobrze wiadomo, że Seldon tak pokierował komisarzami na Trantorze, by polecili założyć Fundację na Terminusie. Ale dlaczego tak zrobił? Czy w ogóle umieściłby nas tutaj, gdyby mógł z góry przewidzieć przerwanie połączeń komunikacyjnych, odizolowanie nas od reszty Galaktyki, zagrożenie ze strony sąsiadów i naszą bezradność spowodowaną brakiem metali na Terminusie? Przynajmniej to ostatnie. A jeśli rzeczywiście przewidział to wszystko, to dlaczego nie przestrzegł od razu pierwszych osadników przed tym, co grozi ich potomkom, żeby mieli czas przygotować się, zamiast czekać, tak jak to właśnie robi, aż niebezpieczeństwo będzie tuż tuż?

Nie zapominajcie też o tym, że nawet jeśli mógł przewidzieć ten problem wtedy, to my możemy równie dobrze dostrzec go teraz. Dlatego, jeśli wówczas mógł znaleźć rozwiązanie, to my również powinniśmy być w stanie dostrzec i znaleźć

je teraz. W końcu Seldon nie był czarnoksiężnikiem. Nie ma takich sztuczek pozwalających na rozwiązanie dylematu, które on znał, a których my nie znamy. Nie ma takiego wyjścia, które on mógł dojrzeć, a my nie.

— Ale, Hardin — przypomniał Fara — my nie widzimy wyjścia.

— Bo nie próbowaliście zobaczyć. Nie spróbowaliście ani razu. Najpierw nie chcieliście przyznać, że w ogóle grozi nam jakieś niebezpieczeństwo. Potem pokładaliście ślełą wiarę w potęgę imperatora. Teraz przenieśliście ją na Hari Seldona. Cały czas polegacie albo na władzy, albo na przeszłości — nigdy na sobie.

Jego dłonie ścisnęły się kurczowo w pięści.

— To jest niezdrowa postawa — odruch warunkowy, który zawsze kiedy wynika problem przeciwstawienia się autorytetowi, paraliżuje wasze umysły i odbiera wam niezależność myślenia. Wydaje mi się, że nigdy nie dopuściliście do siebie wątpliwości, czy rzeczywiście imperator jest potężniejszy, a Hari Seldon mądrzejszy niż wy. A to źle — rozumiecie?

Jakoś nikt nie kwapił się z odpowiedzią.

Hardin mówił więc dalej:

— I to nie tylko wy. Tak jest w całej Galaktyce. Pirenne słyszał, jaki pogląd ma lord Dorwin na sprawę badań naukowych. Według lorda Dorwina jedyny sposób, żeby zostać dobrym archeologiem to przeczytać wszystko, co napisano na ten temat. Prze czytać książki napisane przez ludzi, którzy nie żyją już od setek lat! Lord Dorwin utrzymuje, że zagadki archeologiczne trzeba rozwiązywać rozważając i porównując sprzeczne opinie badaczy, którzy byli autorytetami w tych sprawach. A Pirenne słuchał tego i nie sprzeciwił się ani słowem. Nie widzicie, że coś tu jest nie w porządku?

I znowu w jego głosie pojawił się prawie błagalny ton. I znowu nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Podjął więc na nowo:

— A wy, jak zresztą połowa Terminusa, jesteście tacy sami. Siedzimy tutaj i traktujemy *Encyklopedię* jako coś skończonego doskonałego. Uważamy, że najważniejszym zadaniem nauki jest klasyfikowanie starych danych. To jest oczywiście ważne, ale czy nie ma już nic więcej do zrobienia? Cofamy się i zapominamy — czy nie rozumiecie tego? Tutaj, na Peryferiach, zaginęła już umiejętność wytwarzania energii jądrowej. W konstelacji Gammy Andromedy wyleciała w powietrze siłownia jądrowa z powodu nieudolnych napraw, a Kanclerz Imperium skarży się, że technicy jądrowi są rzadkością. A jakie widzi rozwiązanie? Wyszkolić nowych? Skądże! Ograniczyć korzystanie z energii jądrowej.

Hardin po raz trzeci potoczył wzrokiem po zebranych.

— Nie widzicie, co się dzieje? To tendencja ogólnogalaktyczna. To jest kult przeszłości. To upadek — **stagnacja!**

Przenosił wzrok z jednego na drugiego, a oni nie odrywali od niego oczu.

Pierwszy ocknął się Fara.

— No cóż, mistycyzm niewiele nam pomoże. Bądźmy konkretni. Nie zaprzeczy pan chyba temu, że Hari Seldon mógł z łatwością obliczyć kierunki rozwoju przyszłych wydarzeń przy pomocy prostych technik psychologicznych?

— Nie, oczywiście, że nie! — krzyknął Hardin. — Ale nie możemy oczekiwać od niego rozwiązania. W najlepszym razie mógł wskazać problem, ale jeśli w ogóle ma być jakieś rozwiązanie, to musimy je sami wypracować. On nie może tego zrobić za nas.

Nagle odezwał się Fulham:

— Co znaczy „wskazać problem”? My **znamy** ten problem.

Hardin wpadł na niego.

— Tak pan myśli? Pan myśli, że Hari Seldon nie ma nic innego do roboty, jak tylko zajmować się Anakreonem? Nie zgadzam się! Powiadam wam, panowie, że jak dotąd żaden z was nie ma najmniejszego pojęcia o tym, co się naprawdę dzieje.

— A pan ma? — spytał nieprzyjaźnie Pirenne.

— Tak mi się wydaje — Hardin poderwał się i odsunął krzesło. — Wzrok miał zimny i twardy. — Jeśli w ogóle można tu mieć jakąś pewność, to tylko taką, że jest to śmierdząca sprawa, że jest to coś, co przerasta wszystkie nasze wyobrażenia. Postawcie sobie proste pytanie:

„Dlaczego wśród pierwszych mieszkańców Fundacji nie znalazł się ani jeden psycholog z prawdziwego zdarzenia — z wyjątkiem Bora Alurina” A i ten zadbał o to, aby jego studenci nie nauczyli się za dużo.

Zapadła krótka cisza, a potem Fara rzekł:

— To prawda. A dlaczego?

— Być może dlatego, że psycholog zorientowałby się, o co chodzi w tym wszystkim — i zrobiłby to za wcześnie w stosunku do projektu Seldona. A tak — poruszamy się po omacku, potykając się o różne przeszkody i co najwyżej dostrzegając mgliste zarysy prawdy. I to jest właśnie to, o co chodziło Seldonowi.

Zaśmiał się ochryple:

— Przyjemnych obrad, panowie. I godnie wyszedł z pokoju.

5

Hardin żuł koniuszek cygara. Dawno zgasło, ale był zbyt pochłonięty tym, co robi, aby to zauważyć. Nie spał poprzedniej nocy i miał wrażenie, że tej nocy również nie zmruży oka. Widać to było po jego minie.

— I to wystarczy? — spytał zmęczonym głosem.

— Tak myślę — Yohan Lee potarł dłonią podbródek. — Jak to brzmi?

— Nieźle. Trzeba to zrobić z tupetem, rozumiesz. To znaczy, nie możemy się zawahać nawet na moment, nie możemy dać im czasu, żeby zapanowali nad

sytuacją. Kiedy już będziemy mogli rozkazywać, to musimy to robić tak, jakbyśmy byli do tego stworzeni, a oni z przyzwyczajenia będą słuchać. Na tym polega przewrót.

— Jeśli Zarząd nadal nie będzie się mógł zdecydować choćby przez. . .

— Zarząd? Nie bierz ich w ogóle w rachubę. Za dwa dni rola, jaką odgrywa w sprawach Terminusa nie będzie warta zardzewiałego kredytu.

Lee wolno pokiwał głową.

— Tym niemniej to dziwne, że dotąd nie zrobili nic, aby nas powstrzymać. Mówiłeś, że nie są tak zupełnie nieświadomi tego, co się święci.

— Fara czegoś się niejasno domyśla. Czasem mnie denerwuje. A Pirenne odnosi się do mnie nieufnie od czasu, jak zostałem wybrany. Ale, widzisz, oni nigdy nie byli w stanie zrozumieć, co się naprawdę dzieje. Wychowano ich w kulcie władzy. Są przekonani, że imperator, przez sam fakt bycia imperatorem, jest wszechmocny. Są przekonani o tym, że Zarząd, po prostu dlatego, że jest Zarządem i działa w imieniu imperatora, nie może się nigdy znaleźć w sytuacji, w której nie będzie miał nic do gadania. Fakt, że nie są sobie w ogóle w stanie wyobrazić możliwości przewrotu, jest naszym najlepszym atutem.

Dźwignął się z fotela i podszedł do oziębiacza wody.

— To nie są źli faceci, jeśli zajmują się swoją *Encyklopedią*. . . Zadbamy o to, żeby odtąd tym właśnie się zajmowali. Niestety, są zupełnie bezradni i beznadziejnie nieudolni, jeśli chodzi o sprawy Terminusa. No, idź już i zacznij działać. Chcę zostać sam.

Przysiadł na skraju biurka i utkwiał wzrok w szklance z wodą. Na przestrzeń! Chciałby rzeczywiście być tak pewny siebie, jak pokazywał. Za dwa dni wylądują Anakreończycy, a on nie ma na czym się oprzeć. Nie ma nic oprócz przypuszczeń i domysłów na temat tego, nad czym ciężko pracował Hari Seldon przez te ostatnie pięćdziesiąt lat. Nie jest nawet psychologiem z prawdziwego zdarzenia, lecz partaczem z niewielkim przygotowaniem, usiłującym przechytrzyć największy umysł epoki.

Jeśli Fara ma rację, jeśli Anakreon był jedynym problemem, który przewidywał Hari Seldon, jeśli *Encyklopedia* była jedyną rzeczą, której przetrwaniem był zainteresowany, to co da zamach stanu?

Wzruszył ramionami i wypił wodę.

6

W Krypcie ustawiono znacznie więcej niż sześć krzeseł, jak gdyby spodziewano się liczniejszego towarzystwa. Hardin przyjrzał się im w zamyśleniu i usiadł w rogu, jak najdalej od pozostałej piątki.

Członkowie Zarządu wydawali się nie mieć nic przeciwko takiemu ustawieniu. Rozmawiali szeptem, który stopniowo przeszedł w monosylaby, a potem w ogóle zamarł. Z nich wszystkich tylko Jord Fara wydawał się zachowywać spokój. Wyciągnął zegarek i patrzył nań ponuro.

Hardin spojrział na swój własny, a potem na szklaną półkulę, absolutnie pustą, która zajmowała połowę pomieszczenia. Była to jedyna cecha wyróżniająca je spośród innych pomieszczeń. Nic więcej nie wskazywało na to, że gdzieś tutaj rozpada się z wolna odrobina radu aż do tej, precyzyjnie obliczonej chwili, kiedy opadnie blaszka, połączenie zostanie zamknięte i . . .

Światła przygasły.

Nie zostały wyłączone normalnie, lecz zżółkły i rozplynęły się tak nagle, że Hardin aż podniósł się z miejsca. Spłoszony, spojrział na sufit, a kiedy z powrotem przeniósł wzrok na szklaną kabinę, nie była już pusta.

Zajmowała ją jakaś postać — postać w fotelu na kółkach.

Człowiek, który ukazał się w kabinie, przez chwilę nic nie mówił. Zamknął książkę, która spoczywała na jego kolanach i gładził ją od niechcenia. A potem uśmiechnął się i jego twarz wydała się twarzą żywego człowieka.

Wreszcie odezwał się.

— Jestem Hari Seldon. — Głos był starczy i miękki.

Hardin już już wstawał z krzesła, aby ukłonić się, ale wstrzymał się w ostatniej chwili.

Seldon mówił dalej, tonem towarzyskiej pogawędki:

— Jak widzicie, jestem przykuty do krzesła i nie mogę wstać, aby was powitać. Licząc według mojego czasu, wasi dziadkowie odlecieli na Terminusa kilka miesięcy temu i od tej pory cierpię na raczej uciążliwy paraliż. Nie widzę was, rozumiecie, więc nie mogę was odpowiednio powitać. Nie wiem nawet, ilu was tu jest, więc wszystko to musi się odbyć bez ceremonii. Jeśli ktoś z was stoi, niech usiądzie, a jeśli chcecie zapalić, to nie mam nic przeciwko temu. Dlaczego miałbym mieć? W rzeczywistości wcale mnie tu nie ma — zachichotał.

Hardin niemal automatycznie sięgnął po cygaro, ale rozmyślił się.

Seldon odłożył książkę na bok, jakby składając ją na nie istniejące biurko, a kiedy to robił, jego palce na chwilę znikły.

— Minęło już pięćdziesiąt lat od założenia Fundacji — rzekł. — Pięćdziesiąt lat, w ciągu których członkowie Fundacji byli nieświadomi celu, dla którego pracowali. Trzymanie ich w nieświadomości było konieczne, ale teraz ta konieczność minęła.

Trzeba zacząć od tego, że Fundacja Encyklopedyczna to oszustwo, i że było tak od samego początku.

Z tyłu dobiegł Hardina odgłos szamotaniny i dwa czy trzy zduszone okrzyki, ale nie odwrócił głowy.

Nie wywarło to oczywiście żadnego wrażenia na Harim Seldonie. Mówił dalej z niezmałym spokojem.

— Jest ona oszustwem w tym sensie, że ani mnie, ani żadnego z moich kolegów w ogóle nie obchodzi, czy kiedykolwiek ukaże się choćby Jeden tom *Encyklopedii*. Spełniła ona swoje zadanie, ponieważ dzięki niej wyłudziliśmy od imperatora przywilej na założenie Fundacji, dzięki niej pozyskaliśmy sto tysięcy osób niezbędnych dla powodzenia naszych planów i dzięki niej udało się nam znaleźć dla nich zajęcie na czas konieczny do tego, by wypadki tak się ukształtowały, że nie sposób już ich teraz odwrócić.

Podczas tych pięćdziesięciu lat, kiedy pracowaliście nad tym oszukańczym — nie ma sensu używać eufemizmów — projektem, wasze możliwości powrotu na Trantora kurczyły się, aż wreszcie zostały zupełnie przekreślone. W rezultacie nie macie już teraz innego wyboru, jak tylko poświęcić się innemu, nieskończeniu ważniejszemu zadaniu, które było, i nadal jest, naszym prawdziwym celem.

W tym właśnie celu umieściliśmy was na takiej planecie i w takim czasie, że za pięćdziesiąt lat musieliście się znaleźć w sytuacji bez wyboru. Od tej chwili, przez długie stulecia, nie możecie już zejść z drogi, na którą wkroczyliście. Staniecie twarzą w twarz z całą serią kryzysów, z których pierwszy właśnie się zaczął, i w każdym przypadku wasza swoboda działania będzie tak ograniczona, że zmuszeni będziecie kroczyć jedną, i tylko jedną drogą. To jest właśnie ta droga, którą opracowała nasza psychologia — nie bez powodu.

Cywilizacja galaktyczna kosztuje i upada już od stuleci, chociaż tylko nieliczni zdają sobie z tego sprawę. Ale teraz Peryferie odrywają się w końcu od Imperium i jego polityczna jedność rwie się i pęka. Gdzieś mniej więcej pięćdziesiąt lat temu zaistniał moment, w którym przyszli historycy wyznaczą linię i rzekną: „Od tego czasu datuje się upadek Imperium Galaktycznego”.

I będą mieli rację, aczkolwiek jeszcze przez długie wieki mało kto będzie sobie z tego zdawał sprawę.

A po Upadku nadejdzie nieuchronnie okres barbarzyństwa, okres, który — jak wykazuje nasza psychohistoria — w normalnych warunkach trwałby przez trzydzieści tysięcy lat. Nie możemy zapobiec upadkowi. Nie chcemy zresztą tego robić, gdyż kultura Imperium zatraciła całą swą niegdysiejszą wartość i witalność. Możemy jednak skrócić okres barbarzyństwa, który musi potem nastąpić, do około jednego tysiąca lat.

Nie możemy wyjaśnić wam tajników tego skrócenia, tak jak, pięćdziesiąt lat temu, nie mogliśmy powiedzieć wam prawdy o Fundacji. Gdybyście odkryli te tajniki, to nasz plan mógłby się zawalić, jak zawaliłby się, gdybyście wcześniej odkryli prawdziwy charakter Fundacji? gdyż wówczas, dzięki tej wiedzy, wasza swoboda działania wzrosłaby niepomierne i liczba dodatkowych zmiennych powstałych w ten sposób byłaby zbyt duża, aby nasza psychohistoria mogła się z tym uporać.

Ale nie odkryjecie tego, gdyż na Terminusie nie ma i nigdy nie było psychologów, z wyjątkiem Alurina, który był jednym z nas.

Ale jedno mogę wam powiedzieć: Terminus i bliźniacza fundacja na drugim końcu Galaktyki są początkiem odrodzenia i załóżkiem Drugiego Imperium Galaktycznego. I to właśnie obecny kryzys otwiera przed Terminusem drogę do tej przyszłości.

Nawiasem mówiąc, jest to raczej prosty kryzys, o wiele prostszy niż wiele z tych, które czekają was w przyszłości. Sprowadzając to do podstawowych elementów — jesteście planetą, która została nagle odcięta od stojących wciąż na wysokim szczeblu cywilizacji głównych ośrodków Galaktyki i zagrożona najazdem silniejszych sąsiadów. Jesteście niewielkim światem, zamieszkałym przez naukowców, otoczonym szybko rozprzestrzeniającym się zalewem barbarzyństwa. Jesteście wysepką energii atomowej wśród oceanu energii uzyskiwanej w prymitywny sposób, ale mimo to jesteście bezradni, gdyż brak wam metali.

Widzicie więc, że stanęliście wobec twardej konieczności, a wasze działanie zostało wymuszone. Natura tego działania, to znaczy, rozwiązanie waszego dylematu, jest oczywiście prosta. Widmo Hariego Seldona sięgnęło ręką w powietrze i ponownie w jego dłoni ukazała się książka. Otworzył ją i rzekł:

— Jednak, bez względu na to, jak kręte miałyby być ścieżki waszych przyszłych dziejów, przekażcie wyraźnie waszym potomkom, że droga została wyznaczona, a jej kresem jest nowe i potężniejsze imperium.

Powiedziawszy to, przeniósł wzrok na książkę i zapadł się w nicość, a światła ponownie rozbłysły.

Hardin podniósł głowę po to tylko, by zobaczyć, że stoi przed nim Pirenne. Prezesowi Zarządu drżały wargi, a wzrok miał tragiczny. Mówił pewnym, ale bezbarwnym głosem.

— Miał pan, zdaje się, rację. Jeśli spotka się pan dziś z nami o szóstej, to Zarząd zasięgnie pana opinii w sprawie dalszych posunięć.

Każdy z nich ucisnął mu dłoń, po czym wszyscy wyszli. Hardin uśmiechnął się. W tym przypadku zachowali się zasadniczo prawidłowo — byli na tyle naukowcami, aby przyznać się do błędu... ale dla nich było na to już za późno.

Spojrzał na zegarek. O tej porze było już po wszystkim. Ludzie Yohana przejęli kontrolę nad miastem i Zarząd nie miał już nic do powiedzenia.

Jutro lądują pierwsze statki Anakreoniczków, ale to nie szkodzi. Za pół roku oni też nie będą mieli nic do powiedzenia.

Prawdę mówiąc, jak powiedział Hari Seldon i jak Salvor Hardin podejrzewał już od dnia, w którym Anselm haut Rodric po raz pierwszy odkrył przed nimi, że Anakreon nie posiada energii jądrowej, rozwiązanie kryzysu było proste.

Proste jak wszyscy diabli!

CZEŚĆ III
BURMISTRZOWIE

1

»Cztery Królestwa — nazwa nadawana tym częściom Prowincji Anakreona, które oderwały się od Pierwszego Imperium we wczesnych latach ery fundacyjnej i utworzyły niezależne, krótko istniejące królestwa. Największym i najpotężniejszym z nich był sam Anakreon, którego obszar (...)

Niewątpliwie najciekawszym problemem historii Czterech Królestw jest dziwny system społeczny narzucony na pewien czas królestwom przez administrację Salvora Hardina (...)

Encyklopedia Galaktyczna

Deputacja!

To, że Salvor Hardin ujrzał ich, nim nadeszli, w niczym nie polepszało sprawy. Przeciwnie, oczekiwanie było szczególnie nieznośne.

Yohan Lee zalecał najostrożniejsze środki.

— Uważam, Hardin — mówił — że nie możemy zmarnować ani chwili. Nie mogą nic zrobić aż do najbliższych wyborów — legalnie, w każdym razie — a to nam daje rok. Spław ich.

Hardin ściągnął usta.

— Nigdy się niczego nie nauczysz, Lee. Znam cię już czterdzieści lat i przez ten czas nie zdołałeś się nauczyć subtelnej sztuki zachodzenia przeciwnika od tyłu.

— Nie uznaję takich metod walki — burknął Lee.

— Tak, wiem o tym. Myślę, że dlatego jesteś jedynym człowiekiem, któremu ufam. — Przerwał i sięgnął po cygaro. — Przebyliśmy długą drogę, Lee, od czasu kiedy przygotowaliśmy spisek przeciwko Encyklopedystom. Starzeję się. Mam sześćdziesiąt dwa lata. . . Myślałeś kiedy o tym, jak szybko przeszło te trzydzieści lat?

— Ja nie czuję się stary — parsknął Lee. — A mam sześćdziesiąt sześć lat.

— Tak, ale ty nie masz kłopotów z trawieniem.

Hardin leniwie ssał cygaro. Już dawno przestał marzyć o delikatnym wegańskim tytoniu z dawnych lat — z czasów, kiedy Terminus handlował ze wszystkimi częściami Imperium Galaktycznego. Lata te już dawno znalazły się w lamusie, do którego idą wszystkie Dobre Stare Czasy. W tym samym lamusie, ku któremu zdążało Imperium Galaktyczne. Zastanawiał się, kto teraz jest imperatorem — jeśli w ogóle był jeszcze jakiś imperator, a nawet Imperium. Na przestrzeń! Od trzydziestu lat, od czasu, kiedy tutaj, na skraju Galaktyki, zostały przerwane połączenia, cały wszechświat Terminusa ogranicza się do niego samego i sąsiadujących z nim królestw.

Jakże nisko upadł dawny mocarz! Królestwa! W dawnych czasach były zaledwie prefekturami, częściami jednej prowincji, która z kolei była częścią jednego z sektorów kwadranta, będącego z kolei tylko częścią wszechogarniającego Imperium Galaktycznego. A teraz, gdy Imperium straciło kontrolę nad dalej położonymi rejonami Galaktyki, te małe grupki planet stały się królestwami — z operetkowymi królami i wielmożami i niepoważnymi, pozbawionymi sensu wojenkami, a ich mieszkańcy wiedli żałosne życie wśród ruin.

Cywilizacja upada. Energia atomowa popada w zapomnienie. A nauka przestacza się w mitologię. Tak było aż do czasu utworzenia Fundacji. Tej Fundacji, którą właśnie w celu zachowania zdobyczy cywilizacji założył tu, na Terminusie, Hari Seldon.

Lee stał w oknie. Jego głos przerwał rozmyślenia Hardina.

— Przyjechali — powiedział. — Ostatnim modelem, szczeniaki. — Zrobił kilka niezdecydowanych kroków w stronę drzwi, a potem spojrzał na Hardina.

Hardin uśmiechnął się i przywołał go ruchem dłoni z powrotem.

— Kazałem przyprowadzić ich tutaj.

— Tutaj?! Po co? Nabiorą zbyt dużego mniemania o sobie.

— Po co odgrywać tę całą komedię oficjalnej audyencji u burmistrza? Jestem za stary na biurokrację. A oprócz tego w rozmowach z dzieciakami przydaje się pochlebstwo — szczególnie wtedy, kiedy do niczego nie zobowiązuje. Usiądź. Lee — Hardin zrobił perskie oko — potrzebuję twego moralnego wsparcia. Szczególnie w rozmowie z tym młodym Sermakiem.

— Ten chłopak — powiedział Lee szorstko — jest niebezpieczny. On ma zwolenników, Hardin, więc nie radzę ci go lekceważyć.

— A czy ja kiedykolwiek kogo lekceważyłem?

— No więc każ go aresztować. Potem pomyślimy, jakie mu postawić zarzuty.

Ostatnią radę Hardin puścił mimo uszu.

— Otóż i oni, Lee.

W odpowiedzi na sygnał oznajmiający ich przybycie Hardin nacisnął pedał ukryty pod biurkiem i drzwi rozsunęły się.

Weszli rzędem. Było ich czterech. Uprzejmym ruchem ręki Hardin wskazał im fotele stojąco półkolem przed jego biurkiem. Skłonili się i usiedli, czekając aż burmistrz przemówi.

Prztyknięciem w pięknie rzeźbione srebrne wieczko Hardin otworzył pudełko cygar będące ongiś, w dawnych minionych czasach Encyklopedystów, własnością Jorda Fary, członka Zarządu Fundacji. Był to oryginalny produkt Imperium, pochodzący z Santanni, chociaż znajdowały się w nim teraz cygara z miejscowego tytoniu. Jeden po drugim, z uroczystą powagą, wszyscy czterej wzięli po cygarze i zapalili je z nabożeństwem.

Sef Sermak siedział drugi z lewej. Był najmłodszy z całej grupy i — najbardziej interesujący. Miał starannie przycięty szpeciniasty żółty wąsik i zapadłe

oczy o nieokreślonym kolorze. Hardin niemal od razu przestał zwracać uwagę na pozostałą trójkę — ich przeciętność rzucała się w oczy. Skoncentrował się na Sermaku, tym Sermaku, który już w czasie swej pierwszej kadencji w Radzie Miejskiej nieraz wprawiał w popłoch to stateczne ciało, i to, co powiedział, było skierowane właśnie do Sermaka:

— Od chwili, kiedy wygłosił pan to płomienne przemówienie w ubiegłym miesiącu, bardzo chciałem pana poznać. Bardzo umiejętnie zaatakował pan politykę zagraniczną rządu.

Oczy Sermaka rozblęły.

— Pana zainteresowanie przynosi mi zaszczyt — powiedział. — Nie wiem, czy mój atak był przeprowadzony umiejętnie, ale na pewno nie był bezpodstawny.

— Być może. Oczywiście ma pan prawo mieć własne zdanie. Ale jest pan jeszcze młody.

Sermak odparł sucho:

— W pewnym okresie życia nikt nie jest wolny od tej wady. Pan sam miał dwa lata mniej niż ja teraz, kiedy został pan burmistrzem tego miasta.

Hardin uśmiechnął się w duchu. Ten młokos miał tupet. Głośno powiedział:

— Domyślam się, że przyszlizie do mnie właśnie w sprawie tej polityki, która tak bardzo denerwuje was podczas posiedzeń Rady. Mówi pan w imieniu was wszystkich, czy muszę wysłuchać każdego z osobna?

Cała czwórka wymieniła między sobą szybkie spojrzenia.

Sermak powiedział stanowczym tonem:

— Mówię w imieniu ludu Terminusa — ludu, którego w rzeczywistości nikt nie reprezentuje w tym bezwolnym tworze zwanym Radą.

— Rozumiem. Wobec tego niech pan mówi, o co chodzi.

— Chodzi o to, burmistrzu, że nie podoba nam się. . .

— Mówiąc „my”, ma pan na myśli właśnie ten lud, tak?

Sermak popatrzył na niego wrogo, wężąc pułapkę i odpowiedział zimno:

— Sądzę, że moje poglądy wyrażają opinię większości wyborców. Czy to panu wystarczy?

— No cóż, trzeba by to było najpierw udowodnić, ale proszę mówić dalej. Nie podoba wam się. . .

— Właśnie. Nie podoba nam się polityka, w wyniku której od trzydziestu lat Terminus jest systematycznie pozbawiany zdolności obrony przed grożącym mu nieuchronnie atakiem.

— Rozumiem. I dlatego. . . Proszę mówić śmiało.

— To uprzejmie z pana strony, że uprzedza pan moje myśli. I dlatego tworzymy nową partię — partię, która zatroszczy się o bieżące potrzeby Terminusa, a nie o mityczne „przeznaczenie i los” przyszłego Imperium. Mamy zamiar wyrzucić pana i całą tę pańską klikę ugodowców z Ratusza — i to już wkrótce.

— Chyba że. . . No, wie pan, zawsze jest jakieś „chyba że”.

— Trudno znaleźć coś takiego w tym przypadku — chyba że pan sam zrezygnuje ze swej funkcji. Nie proszę, żeby zmienił pan swoją politykę — tak dalece nie ufałbym panu. Pana obietnice nie są nic warte. Urządza nas tylko pana rezygnacja.

— Rozumiem — Hardin założył nogę na nogę i zaczął się huścić na krześle. — To wasze ultimatum. Ładnie z waszej strony, że mnie uprzedziliście. Ale — wie pan co — wydaje mi się, że zignoruję wasze ostrzeżenie.

— To nie jest ostrzeżenie. To deklaracja zasad i czynów. Nowa partia już się utworzyła. Jutro zaczynamy oficjalnie działać. Nie widzimy możliwości kompromisu ani nie mamy na to ochoty. Mówiąc szczerze — tylko przez wzgląd na pana zasługi dla Miasta zdecydowaliśmy się zaproponować panu bardziej dogodne wyjście. Przypuszczałem, że pan z niego nie skorzysta, ale mam teraz czyste sumienie. Najbliższe wybory udowodnią nieodparcie i niezbicie, że pana rezygnacja jest konieczna.

Podniósł się i poderwał resztę do wyjścia.

Hardin uniósł rękę.

— Chwileczkę! Siadajcie.

Sef Sermak usiadł, korzystając skwapliwie z zaproszenia. Hardin uśmiechnął się w duchu. Na przekór temu, co mówił, wciąż czekał na propozycję — na jakąś propozycję.

— O jakie konkretnie zmiany w polityce zagranicznej wam chodzi? Chcecie, żebyśmy zaatakowali Cztery Królestwa — teraz, od razu, wszystkie jednocześnie?

— Nic takiego nie sugerowałem, panie burmistrzu. Po prostu uważamy, że trzeba natychmiast skończyć z polityką ustępstw. Przez cały czas sprawowania władzy prowadził pan politykę pomocy naukowej dla Królestw. Dał im pan energię jądrową. Pomógł im pan odbudować siłownie jądrowe. Założył pan kliniki, laboratoria chemiczne i fabryki.

— No i co? Jakie pan ma do tego zastrzeżenia?

— Robił pan to po to, aby odwieść ich od zamiaru zaatakowania nas. Przekupując ich, grał pan głupka, który nie orientuje się, że jest po prostu szantażowany. Pozwolił im pan w ten sposób obedrzeć nas do skóry... A rezultat jest taki, że jesteśmy teraz zdani na łaskę i niełaskę tych barbarzyńców.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że dał im pan energię jądrową, że dał im pan broń, że faktycznie naprawił pan i wyposażył ich statki wojenne, dzięki czemu są teraz nieporównanie silniejsi niż trzydzieści lat temu. Ich żądania rosną i w końcu zaspokoją je wszystkie za jednym zamachem, dokonując zbrojnej inwazji na Terminusa. Czy szantaż nie kończy się zwykle w taki właśnie sposób?

— A jakie pan widzi środki zaradcze?

— Od razu — najszybciej jak tylko można — skończyć z przekupstwem i łapówkami. Całą energię skierować na wzmocnienie Terminusa i nie czekać na atak,

lecz samemu zaatakować!

Hardin przyglądał się jasnemu wąsikowi Sermaka z niemal chorobliwym zainteresowaniem. Sermak musiał się czuć pewnie, w przeciwnym razie nie mówiłby tak wiele. Nie było wątpliwości, że wyrażał zdanie dużej, bardzo dużej części ludności.

Głos Hardina nie zdradzał nurtujących go myśli. Był niemal nonszalancki.

— Skończył pan? — spytał.

— Na razie.

— Tak... wobec tego... czy widzi pan tę oprawioną w ramki sentencję, która wisi za mną na ścianie? Może byłby pan uprzejmy głośno ją przeczytać.

Wargi Sermaka drgnęły.

— Głosi ona: „Siła to ostateczność, do której uciekają się nieudolni”. To maksyma starców, panie burmistrzu.

— Stosowałem się do niej, kiedy byłem młody, panie radny. I to z powodzeniem. Nie było pana jeszcze na świecie, kiedy to się działo, ale może słyszał pan coś o tym w szkole.

Uważnie obserwował Sermaka i mówił dalej, starannie odmierzając słowa:

— Kiedy Hari Seldon założył tu Fundację, jej rzekomym celem miało być stworzenie i wydanie wielkiej encyklopedii. Daliśmy się zwieść i przez pięćdziesiąt lat podążaliśmy za tym błędnym ognikiem nim wreszcie odkryliśmy, po co rzeczywiście została stworzona. Wtedy było już niemal za późno. Kiedy zostały przerwane połączenia z centralnymi regionami Imperium, znaleźliśmy się w trudnej sytuacji. Byliśmy światem naukowców skoncentrowanych w jednym jedynym mieście, nie posiadaliśmy przemysłu i otaczały nas świeżo powstałe, wrogie i prawie barbarzyńskie królestwa. Byliśmy niewielką wysepką energii jądrowej wśród tego oceanu barbarzyństwa, i bardzo łakomym kąskiem.

Anakreon, który również wtedy, tak jak i teraz, był najpotężniejszym z Czterech Królestw, domagał się utworzenia bazy wojskowej na Terminusie i rzeczywiście ją tu założył, a ówcześni administratorzy Miasta, Encyklopedyści, bardzo dobrze wiedzieli, że to tylko wstęp do zagarnięcia całej planety. Tak wyglądały sprawy, kiedy... hmm... przejąłem faktyczne rządy. Co byście zrobili na moim miejscu?

Sermak wzruszył ramionami.

— To akademicka dyskusja. Oczywiście wiem, co **pan** zrobił.

— Mimo to przypominę wam. Może nie zrozumieliście istoty rzeczy. Pokusa, aby zebrać wszelkie możliwe siły i podjąć walkę, była wielka. To najłatwiejsze i będące w największej zgodzie z poczuciem własnej godności wyjście, ale też, prawie zawsze, najgłupsze. Pan właśnie by tak zrobił — pan, z tym całym gadaniem o zadaniu pierwszego ciosu. Natomiast ja zrobiłem co innego — złożyłem wizytę w pozostałych trzech królestwach. Zwróciłem uwagę ich władców na to, że pozwolę Anakreńczykom posiadać sekret energii jądrowej to przyłożyć so-

bie nóż do gardła, i zasugerowałem nieznacznie, co powinni zrobić, żeby do tego nie dopuścić. To było wszystko. W miesiąc po wylądowaniu armii Anakreona na Terminusie jego król otrzymał ultimatum podpisane przez władców sąsiednich królestw. Po tygodniu na Terminusie nie było już ani jednego Anakreończyka.

Powiedzcie mi — na co zdałaby się wtedy siła?

Przez chwilę młody radny przyglądał się z zainteresowaniem niedopałkowi cygara. Potem wrzucił go do otworu spoielacza i rzekł:

— Nie widzę tu analogii. Diabetyka przywraca do normy insulina i nóż jest zbyt cenny, ale zapalenie wyrostka robaczkowego wymaga operacji. Nic na to nie można poradzić. Kiedy inne metody zawiodły, to co pozostaje, jeśli nie — jak pan to określa — ostateczność? To pana wina, że znaleźliśmy się w takiej sytuacji.

— Moja? Aha, moja polityka ustępstw. Pan w dalszym ciągu zdaje się nie pojmować podstawowych wymogów sytuacji. Nasze kłopoty wcale się nie skończyły wraz z wycofaniem się Anakreończyków. One się wtedy zaczęły. Cztery Królestwa nigdy nie były do nas nastawione tak wrogo, jak wtedy, gdyż każde z nich chciało wejść w posiadanie energii jądrowej. Przed rzuceniem się na nas powstrzymywała każde z nich tylko obawa przed reakcją ze strony pozostałych trzech. Balansowaliśmy na bardzo wąskiej linii i wahańcie się w którąkolwiek stronę... Gdyby, na przykład, któreś królestwo urosło zbyt mocno w siłę albo gdyby kilka z nich lub wszystkie utworzyły koalicję... Rozumie pan?

— Oczywiście. Był to czas, żeby zacząć przygotowania do wojny.

— Przeciwnie. Był to czas, żeby przedsięwziąć wszelkie środki dla zapobieżenia wojnie. Wygrywałem ich wzajemne animozje. Pomagałem wszystkim po kolei. Dawałem im naukę, handel, oświatę, naukową medycynę. Doprowadziłem do tego, że Terminus stał się dla nich więcej wart jako kwitnący świat niż jako zdobycz wojenna. Pracowałem na to trzydzieści lat.

— Tak, ale zmuszony był pan otaczać te dary nauki aurą cudowności i tajemnicy, i urządzać oburzające maskarady. Zrobił pan z tego ni to religię, ni to cyrk. Stworzył pan hierarchię kapłanów i skomplikowany, bezsensowny rytuał.

Hardin zmarszczył czoło.

— No i co z tego? Nie sądzę, żeby miało to coś wspólnego z tematem naszej rozmowy. Zacząłem w ten sposób, ponieważ ci barbarzyńcy patrzyli na naszą naukę jak na jakiś rodzaj magii czy czarów i w ten sposób było najłatwiej przekonać ich do niej. Kapłaństwo powstało samo, bez naszego udziału, a jeśli teraz pomagamy im w tym, to tylko dlatego, że idziemy po najmniejszej linii oporu. To błaża sprawa.

— Ale ci kapłani opiekują się siłowniami jądrowymi. I to już nie jest błaża sprawa.

— Istotnie, ale to my ich wykształciliśmy. Ich wiedza na temat narzędzi, którymi się posługują, jest czysto praktyczna. Poza tym, święcie wierzą w sens tego, co robią.

— A jeśli któryś z nich przejrzy prawdziwy cel tej maskarady i zdobędzie się na odwagę, żeby wyjść poza tę wiedzę praktyczną, to co powstrzyma go przed poznaniem rzeczywistych zasad działania tych urządzeń i sprzedaniem tajemnicy temu, kto najlepiej zapłaci? Jaką wartość będziemy wówczas przedstawiać dla tych królestw?

— To mało prawdopodobne, Sermak. Patrzy pan na to powierzchownie. Co roku królestwa przysyłają tutaj swoich najzdolniejszych ludzi na studia kapłańskie. Najzdolniejsi z najzdolniejszych pozostają tu jako pracownicy naukowcy. Jeśli myśli pan, że ci, którzy pozostają w królestwach, nie mając praktycznie żadnej wiedzy dotyczącej najprostszych zagadnień nauki albo, co gorsza, dysponując tą zniekształconą wiedzą, którą wynoszą stąd kapłani, są w stanie przeniknąć sekrety energetyki jądrowej, elektroniki czy teorii hiperzgięcia, to ma pan bardzo romantyczne i bardzo naiwne wyobrażenie o nauce. Na to trzeba długich lat studiów i nieprzeciętnego umysłu.

W trakcie rozmowy Yohan Lee podniósł się nagle i wyszedł z pokoju. Teraz wrócił i kiedy Hardin skończył, nachylił się do jego ucha. Chwilę trwały szepty, a potem Lee wręczył Hardinowi ołowiany cylinder. Potem, obrzuciwszy nieprzyjaznym spojrzeniem deputację, usiadł ponownie na swoim miejscu.

Hardin obracał cylinder w rękach, obserwując spod przymkniętych powiek deputację. Potem otworzył nagle szybkim ruchem cylinder i tylko Sermak zdołał zapanować nad sobą i nie rzucić ukradkowego spojrzenia na zwitek papieru, który wypadł z cylindra.

— Krótko mówiąc panowie — rzekł Hardin — rząd uważa, że wie, co robi.

Wypowiadając te słowa, przebiegł wzrokiem papier. Kartka pokryta była rzędami niewiele mówiących znaków skomplikowanego szyfru. W rogu naskrobane były ołówkiem trzy słowa, które zawierały treść depeszy. Hardin chwycił w lot ich znaczenie, zmiażdżył kartkę i wrzucił do otworu spopielacza.

— Obawiam się — powiedział — że na tym musimy zakończyć nasze spotkanie.

Uścisnął im dłonie i wyszli.

Hardin zdążył już niemal zapomnieć, co to śmiech, ale kiedy Sermak i jego trzech milczący towarzysze wyszli, nie mógł powstrzymać chichotu. Spojrzał na Yohana z rozbawieniem.

— Jak ci się podoba ta walka na bluffy? Lee parsknął gniewnie:

— Nie jestem taki pewien, czy on bluffował. Cackasz się z nim, a tymczasem on może naprawdę wygrać najbliższe wybory.

— O, to zupełnie możliwe, zupełnie możliwe — jeśli przedtem nic się nie wydarzy.

— Zastanów się lepiej, Hardin, czy tym razem wydarzenia nie rozwijają się w złym kierunku. A co będzie, jeśli on nie zechce czekać do wyborów? Był taki czas, że ty i ja, wbrew twemu sloganowi, załatwialiśmy sprawy siłą.

Hardin uniósł brwi.

— Jesteś dziś pesymistycznie nastawiony, Lee. I dziwnie skłonny do przekory... Inaczej nie gadałbyś o sile. Pamiętaj, że nasz mały pucz obył się bez ofiar. Był to krok konieczny, podjęty w odpowiednim momencie i wszystko odbyło się gładko, bezboleśnie i prawie bez żadnego wysiłku z naszej strony. Natomiast Sermak ma twardy orzech do zgryzienia. Ja i ty, Lee, nie jesteśmy Encyklopedystami. Jesteśmy przygotowani. Niech twoi ludzie mają na oku tych chłopaków. Ostrożnie, żeby się nie zorientowali, że są śledzeni, ale oczy trzeba mieć szeroko otwarte, rozumiesz?

Lee spojrzął na Hardina z wyraźnym rozbawieniem i roześmiał się.

— Ładnie byśmy wyglądali, gdybym czekał na twoje polecenie. Sermak i jego ludzie są już od miesiąca pod dobrą obserwacją.

Burmistrz zachichotał.

— Nie czekałeś, aż cię poproszą, co? W porządku. Aha! — przypomniał sobie coś nagle — ambasador Verisof wraca na Terminusa. Na krótko, mam nadzieję.

Lee milczał przez chwilę, ale dawało się wyczuć, że jest trochę zaniepokojony. Potem rzekł:

— To była ta wiadomość? Już się zaczyna?

— Nie wiem. Nie mogę nic powiedzieć, dopóki nie usłyszę, co ma do powiedzenia Verisof. Ale mogło się już zacząć. W końcu musi się zacząć przed wyborami. Ale powiedz mi, dlaczego masz taką przeraźliwie smutną minę?

— Bo nie wiem, jak się to skończy. Jesteś za bardzo skryty, Hardin, i robisz z tej sprawy za dużą tajemnicę.

— I ty Brutusie — mruknął Hardin. A głośno rzekł: — Czy ma to znaczyć, że zamierzasz wstąpić do partii Sermaka?

Lee roześmiał się mimo woli.

— Już dobrze. Wygrałeś. Może byśmy teraz zjedli obiad?

2

Hardinowi, który był uznanym aforystą, przypisuje się wiele celnych powiedzeń, z których znaczna część to prawdopodobnie apokryfy. I tak podaje się, że pewnego razu powiedział:

„Otwartość popłaca, szczególnie wtedy, kiedy mają cię za krętacza”.

Poly Verisof miał niejedną okazję, żeby postąpić zgodnie z tą maksymą, gdyż już czternasty rok z rządu występował na Anakreonie w podwójnej roli, w roli, której pełnienie przypominało mu często w sposób nader nieprzyjemny taniec wykonywany boso na rozpalonej do białości metalowej płycie.

Dla ludu Anakreona był on wysokim kapłanem, przedstawicielem Fundacji, będącej dla tych „barbarzyńców” uosobieniem tajemniczości i głównym ośrod-

kiem religii, którą — przy wydatnej pomocy Hardina — stworzyli w przeciągu ostatnich trzech dziesiątek lat. Jako kapłan otrzymywał hołdy, co było dla niego okropnie męczące, gdyż z głębi duszy nie cierpiał rytuału, którego był podporą.

Natomiast dla króla Anakreona, tak poprzedniego, jak i obecnie zasiadającego na tronie, był po prostu ambasadorem mocarstwa, którego bano się i na które jednocześnie patrzono łakomym okiem.

Ogólnie biorąc, było to nieprzyjemne zajęcie i pierwsza od trzech lat podróż ambasadora do Fundacji, aczkolwiek spowodowana nieprzyjemnym incydentem, była dla niego czymś w rodzaju święta.

A ponieważ nie pierwszy raz zdarzało mu się podróżować w absolutnej tajemnicy, więc raz jeszcze zastosował w praktyce aforyzm Hardina o korzyściach płynących z otwartości.

Przebrał się w cywilne ubranie, co już samo w sobie było świętem, i wsiadł na statek pasażerski kursujący między Anakreonom i Fundacją, z biletem drugiej klasy w rękę. Będąc już na Terminusie, precyzyjnie przeszedł przez tłum na kosmodromie i zamówił rozmowę z ratuszem z publicznego wizifonu.

— Moje nazwisko Jan Smite — powiedział. — Jestem umówiony z burmistrzem dziś po południu.

Obojętna, lecz sprawna panienska na drugim końcu linii połączyła się z innym numerem i po krótkiej wymianie zdań oznajmiła suchym, bezbarwnym głosem:

— Burmistrz przyjmie pana za pół godziny — po czym ekran zgasł.

Ambasador kupił najnowsze wydanie „Dziennika Terminusa” i wolnym krokiem udał się do parku przy ratuszu, gdzie siadłszy na pierwszej z brzegu wolnej ławce, skracał sobie czas oczekiwania czytając, kolejno, artykuł wstępny, kolumnę sportową i kącik humoru. Kiedy mijało pół godziny, wsunął gazetę pod pachę, wszedł do ratusza i oznajmił swe przyjście w poczekalni.

Robiąc to wszystko, zachował całkowitą anonimowość; ponieważ czynił wszystko tak otwarcie, nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Hardin podniósł głowę i uśmiechnął się szeroko.

— Poczęstuj się cygarem. Jaką miałeś podróż?

Verisof skorzystał z zaproszenia i wziął cygaro.

— Ciekawą. Sąsiednią kabinę zajmował kapłan, który udawał się tu na specjalny kurs robienia radioaktywnych preparatów. . . do leczenia raka, wiesz. . .

— Chyba nie używał sformułowania „radioaktywne preparaty”, co?

— No chyba, że nie. Dla niego to święty pokarm. Burmistrz uśmiechnął się.

— Mów dalej.

— Wszczął ze mną dysputę teologiczną i prawie wychodził ze skóry, żeby oswobodzić mnie z więzów nikczemnego materializmu.

— I w ogóle nie zorientował się, że mówi z najwyższym kapłanem, swoim zwierzchnikiem?

— Widząc mnie bez purpurowych szat? Poza tym to Smyrneńczyk. Mimo wszystko było to ciekawe przeżycie. To zadziwiające, Hardin, jak ta religia nauki opanowała umysły. Napisałem rozprawę na ten temat — dla własnej satysfakcji, bo oczywiście nie nadaje się to do druku. Rozpatrując rzecz z socjologicznego punktu widzenia, można by powiedzieć, że kiedy stare Imperium zaczęło się rozkładać i tracić kontrolę nad swymi obrzeżami, nauka jako taka zniknęła z życia zewnętrznego światów. Aby wrócić, musiała się pokazać w innym stroju... i właśnie to robi. Widać to doskonale, jeśli zastosować do analizy tego zjawiska logikę symboliczną.

— Interesujące! — burmistrz założył ręce na kark i rzekł nagle:

— No, a teraz powiedz, jak wygląda sytuacja na Anakreonie.

Ambasador spochmurniał i wyjął cygaro z ust. Popatrzył na nie z niesmakiem i opuścił rękę.

— No więc, jest bardzo zła.

— Inaczej nie byłoby cię tu.

— Chyba nie. Sytuacja wygląda tak — najważniejszą osobą na Anakreonie jest książę regent, Wienis. Wuj króla Leopolda.

— Wiem. Ale za rok Leopold będzie pełnoletni, prawda? Wydaje mi się, że w lutym kończy szesnaście lat.

— Tak.

Po chwili milczenia Verisof cierpko dodał:

— Jeśli dożyje. Ojciec króla zmarł w podejrzanych okolicznościach. W czasie polowania przeszył mu pierś pocisk igłowy. Oficjalnie zakomunikowano, że był to nieszczęśliwy wypadek.

— Hmm. Zdaje się, że przypominam sobie Wienisa. Było to w czasach, kiedy wykopaliliśmy ich z Terminusa. Jeszcze zanim zacząłeś pracować. Jeśli dobrze pamiętam, był to młodzian o czarnych włosach, z lekkim zezem w prawym oku. Miał śmieszny, haczykowany nos.

— Ten sam facet. Zeza ma nadal, ale włosy mu posiwiały. Prowadzi brudną grę. Na szczęście to największy dureń na planecie. Uważa się za diabelnie sprytnego, co jeszcze bardziej podkreśla jego głupotę.

— Tak zazwyczaj bywa.

— Jego zdaniem najlepszy sposób na rozbicie jajka to kropnąć w nie pociskiem jądrowym. Weźmy choćby sprawę podatków, które chciał nałożyć na dobra świątynne dwa lata po śmierci starego króla. Pamiętasz?

Hardin skinął głową w zamyśleniu, a potem uśmiechnął się.

— Kapłani podnieśli wrzask.

— Taki wrzask, że słyhać ich było aż w Lucrezy. Od tej pory jest bardziej ostrożny w stosunkach z kapłanami, ale nie przestał być zwolennikiem twardych metod. W pewnym sensie jest to dla nas niekorzystne — jest niezwykle pewny siebie.

— Prawdopodobnie nadmiernie kompensuje sobie kompleks niższości. Młodszy syn króla często zachowuje się w ten sposób.

— Na jedno wychodzi. Wścieka się na samo wspomnienie Fundacji. Wprost pali się do tego, żeby nas zaatakować. Nawet nie bardzo się z tym kryje. I, co gorsza, patrząc z wojskowego punktu widzenia, jest w stanie to zrobić. Stary król zbudował potężną flotę, a Wienis też nie próżnował przez ostatnie dwa lata. Prawdę mówiąc podatek z dóbr świątynnych miał dostarczyć środków na dalsze zbrojenia, a kiedy to się nie udało, podniesiono o sto procent podatek dochodowy.

— I przyjęto to bez szemrania?

— Bez większego sprzeciwu. Posłuszeństwo należne prawowitej władzy było od tygodni tematem wszystkich kazań. Mimo to Wienis nie okazał nam żadnej wdzięczności.

— Starczy. Znam tło wydarzeń. A teraz — co się stało?

— Dwa tygodnie temu anakreoński statek handlowy natknął się przypadkiem na opuszczony krążownik należący niegdyś do floty Imperium. Musiał dryfować w przestrzeni przynajmniej przez trzysta lat.

W oczach Hardina błysnęło zainteresowanie. Poprawił się na krześle.

— Tak. Słyszałem o tym. Urząd Nawigacji wystosował do mnie petycję w sprawie przekazania im tego statku dla potrzeb nauki. Wnioskuje, że jest w dobrym stanie.

— Aż nadto dobrym — odparł sucho Verisof. — Kiedy w ubiegłym tygodniu zasugerowałeś Wienisowi, żeby przekazał go Fundacji, dostał prawie ataku konwulsji.

— Dotąd nie mam odpowiedzi.

— I nie będziesz miał... chyba że z wyrzutni. Tak przynajmniej wyobraża sobie Wienis. Widzisz, odwiedził mnie w dniu, w którym miałem odlecieć tutaj i zażądał, aby Fundacja doprowadziła krążownik do stanu gotowości bojowej i zwróciła flocie anakreońskiej. Miał czelność powiedzieć, że twoja ostatnia nota wskazuje na zamiar zaatakowania Anakreona przez Fundację. Powiedział, że odmowa naprawienia krążownika potwierdzi jego podejrzenia i że w takim przypadku Anakreon zostanie zmuszony do zastosowania odpowiednich środków obrony. To są jego własne słowa. Zmuszony! Właśnie dlatego jestem tutaj.

Hardin roześmiał się cicho.

Verisof uśmiechnął się również i ciągnął dalej:

— Oczywiście spodziewa się, że dostanie odmowę, co — w jego oczach — będzie znakomitym pretekstem do natychmiastowego ataku.

— Rozumiem. A zatem mamy przynajmniej pół roku czasu. Postaraj się, żeby statek naprawiono i przekazano z pozdrowieniami ode mnie. Postaraj się też, żeby nazwano go „Wienis” na znak naszej przyjaźni i szacunku.

I znowu się roześmiał.

Verisof i tym razem odpowiedział czymś w rodzaju uśmiechu i rzekł:

— Przypuszczam, Hardin, że to logiczne posunięcie, ale... boję się.

— Czego?

— Musiałbyś zobaczyć ten statek! Potrafili budować w tamtych czasach! Jego wyporność równa się wyporności połowy floty anakreońskiej. Ma wyrzutnie atomowe, które mogą zniszczyć pół planety za jednym zamachem, a jego ekran ochronny może przyjąć sporą dawkę energii bez śladu napromieniowania. To jest o wiele za dobra rzecz, Hardin...

— Pozornie, Verisof, pozornie. Wiesz równie dobrze jak ja, że broń, którą Wienis już teraz dysponuje wystarczyłaby, żeby mógł nas pobić bez żadnych kłopotów zanim zdołalibyśmy naprawić ten krążownik. A zatem, jaka różnica czy damy mu krążownik, czy nie? Wiesz, że nigdy nie dojdzie do prawdziwej wojny.

— Tak przypuszczam. Ale... — ambasador spojrzął na Hardina.

— Tak? Dlaczego przerwałeś? Mów!

— Słuchaj... To nie moja sprawa, ale... Czytałem tę gazetę. — Położył „Dziennik” na biurku i wskazał na stronę tytułową. — O co tu chodzi?

Hardin rzucił okiem.

— Grupa radnych tworzy nową partię.

— To właśnie piszą — Verisof zdenerwował się. — Wiem, że masz lepsze rozeznanie w sprawach wewnętrznych niż ja, ale przecież atakują cię, i to na wszystkie możliwe sposoby, z wyjątkiem jedynie siły fizycznej. Są silni?

— Cholernie silni. Prawdopodobnie zdobędą kontrolę nad Radą po najbliższych wyborach.

— A nie przed wyborami? — Verisof spojrzął z ukosa na burmistrza. — Są sposoby zdobywania władzy inną drogą niż wybory.

— Masz mnie za Wienisa?

— Nie. Ale naprawa statku będzie trwać miesiące, a potem atak jest pewny. Nasza ustępliwość zostanie poczytana za objaw przeraźliwej słabości, a krążownik prawie podwoi siłę floty Wienisa. To, że zaatakuje nas, jest tak pewne jak to, że tu teraz siedzę. Po co ryzykować? Zrób jedno z dwojga — albo wyjaw Radzie plany kampanii, albo przyśpiesz rozwiązanie sprawy Anakreona.

Hardin zmarszczył czoło.

— Przyspieszyć rozwiązanie? Zanim nastąpi kryzys? To jedyna rzecz, której nie wolno mi zrobić. Wiesz, że jest jeszcze Hari Seldon i jego plan?

Verisof zawahał się chwilę, a potem wymamrotał:

— Jesteś zupełnie pewien, że jest jakiś plan?

— Nie może być co do tego żadnej wątpliwości — usłyszał w odpowiedzi. — Byłem obecny przy otwarciu Krypty Czasu i widziałem i słyszałem nagranego Seldona, który nam to wyjawiał.

— Nie to miałem na myśli. Ja po prostu nie wyobrażam sobie, jak można nakreślić obraz — wypadków na tysiąc lat naprzód. Może Seldon przecenił swoje

możliwości. — Zmarszczył się trochę na widok uśmiechu Hardina i dodał: — No cóż, nie jestem psychologiem.

— Istotnie — Nikt z nas nie jest. Ale w młodości liznałem nieco podstawowych wiadomości. . . dosyć, żebym wiedział, do czego jest zdolna psychologia, nawet jeżeli sam nie umiem wykorzystać tych możliwości. Nie ma żadnych wątpliwości, że Seldon zrobił dokładnie to, co twierdzi. Fundacja, jak powiada, została pomyślana jako schronienie dla naukowców. . . jako sposób na ocalenie i przechowanie nauki i kultury ginącego Imperium przez stulecia barbarzyństwa, które już wtedy się zaczęło. Fundacja ma się stać zalążkiem drugiego Imperium.

Verisof kiwał potakująco głową, ale robił to bez zbytniego przekonania.

— Każdy wie, że tak właśnie być powinno. Ale czy możemy sobie pozwolić na ryzyko? Czy możemy ryzykować życiem dla mglistej przyszłości?

— Możemy — gdyż przyszłość nie jest mglista. Została wyliczona i nakreślona przez Seldona. Każdy kolejny kryzys w naszych dziejach jest zaplanowany i każdy zależy w pewnym stopniu od pomyślnego zakończenia poprzedniego. To dopiero drugi kryzys i Przestrzeń tylko wie, co mogłoby się stać, gdybyśmy choć trochę zboczyli z wytyczonej drogi.

— To raczej jałowe spekulacje.

— **Nie!** Hari Seldon powiedział w Krypcie Czasu, że podczas każdego kryzysu nasza swoboda działania będzie ograniczona aż do chwili, kiedy będzie możliwy tylko jeden kierunek działania.

— Żebyśmy ani na krok nie zboczyli z kursu?

— Tak. I na odwrót — jeśli istnieje możliwość wyboru metody działania, to znaczy, że kryzys jeszcze się nie zaczął. Dopóki możemy, musimy pozwolić na swobodny rozwój wypadków i — na Przestrzeń — właśnie tak mam zamiar postąpić.

Verisof nie odpowiedział. Zagryzł wargi w niechętnym milczeniu. Rok zaledwie minął od chwili, kiedy Hardin omawiał z nim po raz pierwszy problem, poważny problem — jak udaremnić wrogie knowania Anakreona. I zrobił to wówczas tylko dlatego, że on, Verisof, zdecydowanie przeciwstawił się kontynuowaniu polityki ustępstw.

Jakby odgadując myśli ambasadora. Hardin rzekł:

— Żałuję, że w ogóle rozmawiałem z tobą na ten temat.

— A to dlaczego?! — krzyknął zdumiony Verisof.

— Dlatego, że teraz aż sześć osób — ty, ja, pozostałych trzech ambasadorów i Yohan Lee — ma pewne pojęcie o tym, co nas czeka, a obawiam się, że Seldon nie życzył sobie, aby ktokolwiek o tym wiedział.

— Dlaczego?

— Dlatego, że nawet potężna psychologia Seldona miała ograniczenia. Nie była w stanie operować zbyt wieloma zmiennymi niezależnymi. Seldon nie mógł przewidzieć, jak zachowają się jednostki nawet w najbliższej przyszłości — tak

jak ty nie jesteś w stanie obliczyć ruchów pojedynczych molekuł na podstawie kinetycznej teorii gazów. Seldon zajmował się tłumem, populacjami całych planet, i to tylko ślepy tłumem, który nie zdaje sobie sprawy z tego, jakie skutki może mieć jego zachowanie.

— To niezbyt jasne.

— Nic na to nie mogę poradzić. Nie jestem na tyle psychologiem, żeby wyjaśnić to naukowo. Ale mówiłem już o tym. Na Terminusie nie ma nie tylko psychologów z prawdziwego zdarzenia, ale brak również jakichkolwiek matematycznych tekstów z tej dziedziny. Jasne jest, że Seldon nie życzył sobie tu nikogo, kto mógłby w sposób naukowy przewidzieć przyszłość. Chciał, abyśmy poruszali się na oślep, a więc prawidłowo — zgodnie z zasadami psychologii tłumy. Jak ci już kiedyś mówiłem, nie miałem najmniejszego pojęcia, dokąd zdążamy, kiedy wypędzałem Anakreończyków. Chciałem tylko zachować równowagę sił, nic więcej. Dopiero później wydało mi się, że dostrzegam pewną planowość w rozwoju wydarzeń, ale robiłem, co mogłem, żeby nie korzystać z tych spostrzeżeń. Ingerencja oparta na przewidywaniu mogłaby zniweczyć Plan. Verisof pokiwał głową w zadumie.

— Prawie tak samo skomplikowane wywody słyszałem w świątyniach na Anakreonie. Jak spodziewasz się ustalić moment właściwy dla działania?

— On już jest ustalony. Sam przyznałeś, że kiedy już naprawimy krążownik, nic nie powstrzyma Wienisa przed zaatakowaniem nas. W tym względzie nie będzie już żadnej alternatywy.

— Owszem.

— A kiedy nie ma już żadnej alternatywy, to znaczy, że nadszedł kryzys. Mimo wszystko niepokoję się.

Przerwał. Verisof milczał. Wolno, prawie niechętnie, Hardin podjął:

— Mam wrażenie — bardzo nikłe — że zostało to tak zaplanowane, aby sytuacja za granicą i wewnątrz Fundacji osiągnęła punkt krytyczny jednocześnie. Na razie jest kilka miesięcy różnicy. Wienis prawdopodobnie zaatakuje przed wiosną, a do wyborów jeszcze rok.

— To chyba nie ma większego znaczenia.

— Nie wiem. Może to być po prostu spowodowane błędem, którego nie można było uniknąć w obliczeniach, ale równie dobrze może to być wynikiem tego, że za dużo wiedziałem. Zawsze starałem się, aby moja wiedza na temat przyszłości nie miała wpływu na to, co robię, ale czy ja wiem? W każdym razie — spojrzał na Verisofa — zdecydowałem się na jedno.

— Na co?

— Kiedy zacznie się kryzys, lecę na Anakreona. Chcę być na miejscu... No, dajmy już temu spokój. Robi się późno. Skończmy już i kładźmy się spać. Muszę się trochę odprężyć.

— Więc zrób to tutaj — powiedział Verisof — Nie chcę, żeby mnie rozpoznano, bo wiesz, co by na to powiedziała ta nowa partia, którą tworzą twoi nieocenieni radni. Każ podać brandy.

I podano — ale nie za dużo.

3

W owych zamierzonych czasach, kiedy Imperium Galaktyczne obejmowało całą Galaktykę, a Anakreon był najbogatszą prefekturą Peryferii, niejednego imperatora ogarniało podniecenie na widok pałacu wicekróla. Niejeden też nie odjechał zanim nie wypróbował swej zręczności w polowaniu, ze ścigacza powietrznego, ze strzelbą igłową w dłoni, na istną pierzastą fortecę, którą zwano tu ptakiem Nyak.

Wraz z upadkiem Imperium minęła sława Anakreona. Pałac wicekrólewski był jedną wielką kupą ruin, w których hulał wiatr. Ostało się tylko jedno skrzydło, odrestaurowane przez rzemieślników z Fundacji. Od dwustu lat żaden imperator nie postawił stopy na Anakreonie.

Ale łowy na ptaka Nyak wciąż były królewską rozrywką, a dobre oko i umiejętność władania strzelbą igłową nadal były w pojęciu królów Anakreona podstawowymi zaletami dobrego monarchy.

Leopold I, król Anakreona i — jak stale, acz niezgodnie z prawdą dodawano — Pan na Zewnętrznych Dominiach, nie miał jeszcze szesnastu lat, ale już niejednokrotnie dał świadectwo swych umiejętności. Pierwszego Nyaka ubił, kiedy miał niespełna trzynaście lat, dziesiątego w tydzień po wejściu na tron, a teraz wracał właśnie z łowów, na których położył czterdziestego szóstego. Toteż nie posiadał się z radości.

— Zanim osiągnę pełnoletność, będę miał pół setki na koncie! Kto się założy?

Ale dworacy nie robią zakładów, kiedy chodzi o umiejętności króla. Zawsze istnieje śmiertelne niebezpieczeństwo, że wygrają. Nie było więc chętnych i król przebierał się w radosnym nastroju.

— Leopoldzie!

Król zatrzymał się w pół kroku na dźwięk tego głosu — jedyne, który tak na niego działał. Odwrócił się z posępną miną.

Na progu komnaty stał Wienis, patrząc spod krzaczastych brwi na bratanka.

— Każ im odejść — machnął niecierpliwie ręką. — Odpraw ich.

Król krótkim ruchem głowy wskazał drzwi i dwaj pokojowi wycofali się w ukłonach na schody. Leopold wszedł do pokoju stryja.

Wienis spojrział posępnie na myśliwski strój króla.

— Już niedługo będziesz miał ważniejsze sprawy na głowie niż polowanie na Nyaka. Odwrócił się i podszedł sztywnym krokiem do biurka. Od kiedy zesta-

rzał się i nie mógł znieść pędu powietrza, niebezpiecznego pikowania w zasięgu skrzydeł Nyaka, beczek i gwałtownych wzlotów ścigacza do góry, patrzył krzywym okiem na cały ten sport.

Leopold zdawał sobie sprawę z niechętnego stosunku stryja do polowań, więc jego entuzjastyczny opis łowów nie był pozbawiony złośliwości:

— Powinieneś być pojechać z nami, stryju. Spłoszyliśmy jednego na pustyniach Samii — mówię ci, potwór! To dopiero zwierzyna! Ganialiśmy za nim ponad dwie godziny po kawałku, który miał przynajmniej siedemdziesiąt mil kwadratowych. A potem zaleciałem go od strony słońca — gestykulował zawzięcie, jakby ponownie znalazł się za sterami swego ścigacza — i zanurkowałem spiralą. Dostał pod lewe skrzydło przy wznoszeniu się. To go rozwścieczyło i rzucił się z powrotem. Oczekałem spokojnie i odwróciłem się w lewo, czekając aż nadleci. Oczywiście, zrobił jak myślałem. Był na odległość uderzenia skrzydeł, kiedy się ruszyłem i wtedy...

— Leopoldzie!

— No i — dostałem go!

— Jestem tego pewien. A teraz może zechcesz mnie posłuchać?

Król wrzucił ramionami i opadł na stojący z boku stolik; z nadąsaną miną, niezbyt licującą z jego królewską godnością, zaczął pogryzać orzeszek z Lery.

Wienis rzekł tytułem wstępu:

— Byłem dziś na statku.

— Na jakim statku?

— Jest tylko jeden statek. **Ten** statek. Ten, który Fundacja naprawia dla naszej floty wojennej. Krążownik starego Imperium. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

— Ten? Widzisz, mówiłem ci, że Fundacja naprawi statek, jeśli ich o to poprosimy. Twoje gadanie o tym, że chcą na nas napaść, nie ma sensu. No, bo gdyby chcieli to zrobić, to czy zajęliby się statkiem? Wiesz, to naprawdę nie ma żadnego sensu.

— Jesteś głupcem, Leopoldzie. Król, który właśnie odrzucił skorupę orzeszka i podnosił do ust drugi, zrobił się czerwony.

— Ejże, słuchaj — powiedział z gniewem, ale nie podnosząc głosu. — Myślę, że nie powinieneś mówić do mnie w ten sposób. Wiesz, że za dwa miesiące będę pełnoletni.

— Tak. I doskonale się nadajesz do tego, żeby przyjąć obowiązki króla. Jeśli poświęcisz sprawom państwowym choćby połowę tego czasu, który przeznaczasz na polowania, to z czystym sumieniem zrzeknę się obowiązków regenta.

— To mnie nie obchodzi. Nie ma to nic do rzeczy. To, że jesteś regentem i moim stryjem, nie zmienia faktu, że ja jestem królem, a ty moim poddanym. Nie powinieneś nazywać mnie głupcem i, nawiasem mówiąc, nie powinieneś siedzieć

w mojej obecności. Myślę, że powinieneś bardziej uważać, bo mogę coś z tym zrobić... i to już niedługo.

Wzrok Wienisa był zimny.

— Czy mogę zwracać się do ciebie „wasza wysokość”?

— Tak.

— Doskonale! Jesteś głupcem, wasza wysokość.

Jego ciemne oczy miały błyskawice spod siwych brwi. Młody król wolno usiadł. Na twarzy regenta pojawił się cień złośliwej satysfakcji, ale szybko znikł. Jego szerokie usta rozchyliły się w uśmiechu, a dłoń spoczęła na ramieniu króla.

— No, już dobrze. Nie bierz sobie tego do serca, Leopoldzie. Nie powinienem być mówić tak szorstko. Czasem trudno jest zachować się stosownie, kiedy napór wydarzeń jest taki, że... Rozumiesz?

Ale chociaż mówił tak ugodowo, jego spojrzenie pozostało twarde.

Leopold odpowiedział niepewnie:

— Tak. Wiesz, sprawy państwowe są piekielnie trudne.

Zastanawiał się, nie bez niepokoju, czy nie czeka go teraz pełen nudnych szczegółów wykład o handlu ze Smyrno, i długa, męcząca dysputa na temat rzadko zasiedlonych światów w Czerwonym Korytarzu.

Tymczasem Wienis podjął znowu:

— Mój chłopcze, już dawno chciałem porozmawiać o tym z tobą i może powinienem być to zrobić, ale wiem, że młodych nudzą suche szczegóły sztuki kierowania państwem.

Leopold skinął głową.

— Tak, to prawda... .

Stryj przerwał mu stanowczo:

— Jednak za dwa miesiące będziesz pełnoletni. Poza tym, nadchodzą trudne czasy i będziesz musiał działać zdecydowanie. Będziesz królem, Leopoldzie.

Leopold ponownie skinął głową, ale jego twarz była bez wyrazu.

— Będzie wojna, Leopoldzie.

— Wojna! Przecież zawarliśmy rozejm ze Smyrno... .

— Nie ze Smyrno. Z samą Fundacją.

— Ależ, stryju! Przecież oni zgodzili się naprawić dla nas ten statek. Powiedziałeś... . Zamilkł na widok skrzywionych ust stryja.

— Leopoldzie — w głosie Wienisa niewiele pozostało z niedawnej życzliwości — musimy porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną. Będzie wojna z Fundacją bez względu na to, czy naprawią statek, czy nie, a to że statek jest w naprawie, prawdę mówiąc, zmusza nas do pośpiechu. Fundacja Jest źródłem siły i potęgi. Cała pomyślność Anakreona, wszystkie jego statki, miasta, ludzie, handel, zależy od tych okruchów, które Fundacja niechętnie zrzuca nam ze swego stołu. Pamiętam czasy, kiedy miasta Anakreona opalane były ropą i węglem. Ale mniejsza z tym, nie masz o tym zielonego pojęcia.

— Wydaje się — zaoponował król nieśmiało — że powinniśmy być wdzięczni. . .

— Wdzięczni?! — ryknął Wienis. — Wdzięczni za to, że skąpią nam najmniejszych resztek, trzymając Przestrzeń tylko wie co dla siebie? A po co to trzymają? Po to, żeby któregoś dnia sami mogli zapanować nad Galaktyką.

Jego ręka spoczęła na kolanie bratanka, a oczy zwężyły się.

— Leopoldzie, jesteś królem Anakreona. Twoje dzieci i dzieci twoich dzieci mogą stać się królami wszechświata. . . jeśli zdobędziesz tę potęgę, którą chowa przed nami Fundacja.

— Coś w tym jest — w oczach Leopolda zabłysła iskierka zainteresowania, a on sam wyprostował się na krześle. — W końcu jakie mają prawo, żeby trzymać to dla siebie? Wiesz, to nie jest uczciwe, Anakreon przecież też coś znaczy.

— No widzisz, zaczynasz rozumieć. Pomyśl teraz, chłopcze, co się stanie, jeśli Smyrno pierwsze zdecyduje się uderzyć na Fundację i zagarnie władzę? Jak myślisz — długo uda się nam zachować niezależność i nie spaść do roli ich wasala? Jak długo utrzymasz się na tronie?

Leopold wyraźnie się ożywił.

— Powiem ci więcej — kiedyś, za panowania twego dziada, Anakreon założył bazę wojskową na Terminusie, planecie Fundacji — bazę, której wymagały żywotne interesy naszej obrony. W wyniku machinacji przywódcy Fundacji, przebiegłego kundla, naukowca, w którego żyłach nie było ani jednej kropli niebieskiej krwi, zostaliśmy zmuszeni do wycofania się. Rozumiesz, Leopoldzie? Ten łyk upokorzył twego dziada! Pamiętam go. Był niewiele starszy ode mnie, kiedy przybył tu, na Anakreona, ze swoim diabelskim uśmieszkiem i iście diabelską przebiegłością, ufny w siłę stojących za nim pozostałych królestw, zjednoczonych tchórzowskim sojuszem wymierzonym w wielkość Anakreona.

Leopold poczerwieniał, a iskra w jego oczach zamieniła się w błyskawicę.

— Na Seldona, gdybym był na miejscu dziadka, to mimo wszystko podjąłbym walkę.

— Nie, Leopoldzie. Postanowiliśmy czekać. . . i zmyć hańbę w bardziej odpowiednim momencie. Twój ojciec miał cichą nadzieję, nadzieję, którą przekreśliła przedwczesna śmierć, że może jemu będzie dane to zrobić. . . Tak, tak!

Wienis odwrócił się na chwilę. Potem, jakby uciszając emocje, rzekł:

— Był moim bratem. Ale mimo to, gdyby jego syn. . .

— Nie, stryju, nie zawiodę go! Zdecydowałem się. Wydaje się, że najlepsze, co może zrobić Anakreon, to zniszczyć to siedlisko intrygantów, i to natychmiast!

— Nie, nie natychmiast. Po pierwsze, musimy poczekać, aż skończy się naprawa krążownika. Już sam fakt, że chcą się podjąć tej naprawy, świadczy o tym, że boją się nas. Ci głupcy starają się nas ugłaskać, ale nie damy się zawrócić z drogi, co?

Leopold uderzył pięścią w zwiniętą dłoń drugiej ręki.

— Nie! Dopóki ja będę królem — nie!
Usta Wienisa drgnęły w ironicznym uśmiechu.
— Poza tym musimy poczekać, aż przyleci Salvor Hardin.
— Salvor Hardin!
Oczy króla zrobiły się okrągłe, a wojowniczy wyraz twarzy znikł z jego młodszej, pozbawionej zarostu twarzy.
— Tak, Leopoldzie, sam przywódca Fundacji przybywa na twoje urodziny — prawdopodobnie po to, żeby wziąć nas na lep swoich słodkich słówek. Ale to mu nic nie pomoże.
— Salvor Hardin! — ledwie słyszalnym głosem powtórzył król.
Wienis zmarszczył czoło.
— Boisz się tego nazwiska? To ten sam Salvor Hardin, który podczas swojej poprzedniej wizyty rzucił nas na kolana. Chyba nie zapomniałeś o zniewadze wyrządzonej królewskiej rodzinie? I to przez człowieka z gminu! Przez takiego prostaka!
— Nie. Chyba nie. Nie, nie zapomnę. Nie zapomnę! Odpłacimy mu, ale... ale trochę się boję. Regent wstał.
— Boisz się? Czego? Ty... — zdusił przekleństwo.
— Zaatakować Fundację... to... wiesz... to byłoby... eee... prawie świętokradztwo. To znaczy... — przerwał.
— Mów dalej.
Leopold rzekł zmieszany:
— To znaczy, jeśli rzeczywiście istnieje Duch Galaktyki, to on... eee... to mogłoby mu się to nie podobać. Nie sądzisz?
— Nie — rzekł twardo Wienis. Usiadł i wykrzywił usta w dziwnym uśmiechu.
— A więc tak bardzo obawiasz się Ducha Galaktyki? Oto skutek tego, że rośniesz bez opieki i dziczejesz. Zdaje mi się, że zbyt chętnie dawałeś ucha temu, co mówi Verisof.
— On dużo opowiadał...
— O Duchu Galaktyki?
— Tak.
— Słuchaj, młokosie, przecież on wierzy w to, co mówi, jeszcze mniej niż ja, a ja w to w ogóle nie wierzę. Ile razy ci już mówiono, że to brednie?
— Tak, wiem o tym. Ale Verisof mówi...
— Niech szlag trafi Verisofa! To brednie. Leopold milczał, ale widać było, że wewnątrz buntuje się przeciw temu, co usłyszał. W końcu powiedział:
— Wszyscy w to wierzą. To znaczy w to, co się mówi o Proroku Harim Seldonie, o tym, jak ustanowił Fundację po to, by strzegła jego przykazań, aby któregoś dnia znowu nastał Raj Ziemi. Wierzą, że każdego, kto nie będzie przestrzegał tych przykazań, czeka zagłada i wieczne potępienie. Wierzą w to. Przewodniczyłem uroczystościom świątecznym i jestem pewien, że w to wierzą.

— Tak, **oni** wierzą, ale my nie. I powinieneś się cieszyć, że tak jest, bo dzięki ich głupocie jesteś królem z bożej łaski — i sam półbogiem. To bardzo wygodne. Wyklucza możliwość buntu i zapewnia całkowite posłuszeństwo pod każdym względem. I właśnie dlatego, Leopoldzie, musisz wziąć czynny udział w przygotowaniach do wojny z Fundacją. Ja jestem tylko regentem i człowiekiem. Ty jesteś królem i nawet więcej niż półbogiem — dla nich.

— Myślę, że w rzeczywistości nie jestem półbogiem — powiedział król w zadumie.

— Nie, w rzeczywistości nie — odparł ironicznie Wienis — ale za takiego uważają cię wszyscy, z wyjątkiem ludzi z Fundacji. Rozumiesz? Wszyscy oprócz tych z Fundacji. Kiedy się ich usunie, nikt już nie będzie wątpił w twoją boskość. Pomyśl o tym!

— A potem sami będziemy mogli korzystać ze skrzynek mocy w świątyniach i statków, które latają bez ludzi, i świętego pokarmu, który leczy raka, i z całej tej reszty? Verisof mówił, że tylko ci, którzy cieszą się łaską Ducha Galaktyki, mogą...

— Verisof mówił! Verisof to, po Salvorze Hardinie, twój największy wróg. Trzymaj ze mną, Leopoldzie, i nie przejmuj się nimi. Razem stworzymy na nowo Imperium — nie tylko królestwo Anakreona, ale imperium obejmujące miliardy słońc, wszystkie słońca

Galaktyki. Czy to nie brzmi bardziej zachęcająco niż obietnica Raju Ziemińskiego?

— Taaak.

— Czy Verisof może ci obiecać więcej?

— Nie.

— Bardzo dobrze. — Jego głos brzmiał teraz prawie apodyktycznie. — Myślę, że możemy uważać tę sprawę za załatwioną. — Nie czekał na odpowiedź. — Na razie. Przyjdę później. I jeszcze jedno, Leopoldzie.

Król odwrócił się, stojąc już na progu drzwi. Wienis uśmiechnął się, ale wzrok miał twardy.

— Uważaj na polowaniach, chłopcze. Od czasu tego nieszczęśliwego wypadku, który przydarzył się twemu ojcu, miewam nieraz złe przeczucia co do twojej osoby. Nigdy nie można przewidzieć, co się może wydarzyć w tym zamieszaniu, kiedy w powietrzu aż gęsto jest od strzałek z tych strzelb igłowych. Mam nadzieję, że będziesz ostrożny. A z Fundacją postąpisz tak, jak ci mówiłem, co?

— Tak, na pewno — odrzekł Leopold unikając wzroku stryja.

— Dobrze — Wienis odprowadził bratanka spojrzeniem bez wyrazu i wrócił do biurka.

Po wyjściu od stryja Leopolda opadły ponure myśli. Może rzeczywiście najlepiej byłoby pokonać Fundację i zdobyć tę władzę, o której mówił Wienis. Ale potem, po zakończeniu wojny, kiedy byłby bezpieczny na tronie... Uświadomił

sobie z przenikliwą ostrością fakt, że Wienis i jego dwaj aroganccy synowie są po nim bezpośrednimi pretendencjami do tronu.

Ale królem był on. A król może zgładzić kogo uważa za stosowne. Nawet stryja i kuzynów.

4

Lewis Bort był najbardziej aktywnym, po samym Sermaku, członkiem hałaśliwej Partii Akcji. Szczególnie zasłużył się przy pozyskiwaniu do niej różnych dysydentów. Mimo to nie było go w składzie deputacji, która udała się do Salvora Hardina pół roku temu. To, że tak się stało, nie świadczyło bynajmniej o lekceważeniu jego zasług. Przeciwnie — nie znalazł się w składzie deputacji tylko dlatego, że bawił w tym czasie w stołecznym świecie Anakreona.

Była to wizyta prywatna. Bort nie spotkał się z żadnym przedstawicielem władz — w ogóle nie robił nic godnego uwagi. Zwiedzał tylko zapadłe kąty planety i wtykał swój perkaty nos w każdą dziurę.

Kiedy wrócił na Terminusa, kończył się właśnie krótki, pochmurny dzień zimy. Sypał śnieg. Po godzinie Bort siedział przy ośmiokątym stole w domu Sermaka.

Kiedy zaczął mówić, Jasne było, że nie ma zamiaru poprawiać nastroju zebranych, wyraźnie przygnębionych zapadającym mrokiem, w którym wirowały płatki śniegu.

— Obawiam się — rzekł — że jesteśmy w sytuacji, którą melodramatycznie określa się zazwyczaj mianem straconej sprawy.

— Tak myślisz? — spytał ponuro Sermak.

— Tu nie ma nic do myślenia, Sermak. Sprawy zaszły tak daleko, że inna opinia nie jest po prostu możliwa.

— Zbrojenia... — zaczął doktor Walto, nieco oficjalnym tonem, ale Bort przerwał mu od razu.

— Daj spokój. To stara historia. — Potoczył wokół wzrokiem. — Myślę o ludziach. Przyznaję, że to był mój pomysł, żeby wzniecić bunt pałacowy i osadzić na tronie króla trochę bardziej przychylnego dla Fundacji. To był dobry pomysł. I nadal jest dobry. Jedyny szkopuł w tym, że jest absolutnie niewykonalny. Zadbaj o to wielki Salvor Hardin.

Sermak rzekł kwaśno:

— Powinieneś nam przedstawić szczegóły.

— Szczegóły? To byłoby proste. Niestety, nie ma żadnych szczegółów. Tu chodzi o tę całą cholerną sytuację na Anakreonie. To ta religia, którą stworzyła Fundacja. Ona działa, i to jak!

— No więc?

— Trzeba to zobaczyć, żeby mieć o tym właściwe pojęcie. Tutaj wiemy tylko tyle, że mamy dużą szkołę, gdzie kształcą się kapłanów i że czasami, w jakimś zapadłym kącie miasta, odbywa się specjalny pokaz dla pielgrzymów. I to wszystko. Ta cała sprawa w gruncie rzeczy mało nas obchodzi. Ale na Anakreonie...

Lem Tarki pogładził jednym palcem swą sztywną bródkę a la Van Dyke i chrząknął.

— Co to za religia? Hardin zawsze mówił, że to barwna i nic nie znacząca otoczka, dzięki której przyjmują bez zastrzeżeń naszą naukę. Pamiętasz, Sermak, powiedział nam wtedy...

— Wyjaśnienia Hardina — rzekł Sermak — często okazują się nic niewarte. Ale co to za religia?

Bort zastanawiał się chwilę.

— Od strony etycznej jest w porządku. Prawie się nie różni od różnych prądów filozoficznych starego Imperium. Surowe normy moralne i tak dalej. Z tej strony nie można jej nic zarzucić. Religia jest jednym z cywilizacyjnych czynników i w tym względzie spełnia ona...

— Wiemy o tym — przerwał niecierpliwie Sermak. — Przejdź do rzeczy.

— Proszę bardzo — Bort zmieszał się, ale nie pokazał tego po sobie. — Ta religia — zauważcie, że to Fundacja ją stworzyła i popiera — oparta jest na ściśle autorytatywnych zasadach. Kapłani sprawują całkowitą kontrolę nad urządzeniami, które podarowaliśmy Anakreńczykom, ale ich działanie znają tylko od strony praktycznej. Oni rzeczywiście wierzą we wszystko, co mówi religia, i w tę... no... duchową istotę sił, którymi się posługują. Na przykład, dwa miesiące temu jakiś dureń dobrał się do siłowni w Świątyni Tessalekijskiej — jednej z większych. Oczywiście pięć bloków wyleciało w powietrze. Wszyscy, nie wyłączając kapłanów, wzięli to za akt zemsty bogów.

— Pamiętam. Gazety podały jakąś zniekształconą wersję tej sprawy. Nie mogę się połapać, do czego zmierzasz.

— No więc słuchaj — powiedział sztywno Bort. — Kapłani stanowią hierarchię, na szczycie której znajduje się król, którego uważa się za coś w rodzaju pomniejszego bóstwa. Jest on absolutnym władcą z łaski boga i ludzie całkowicie w to wierzą. Kapłani też. Takiego króla nie można zrzucić z tronu. Teraz rozumiesz, o co chodzi?

— Chwileczkę — powiedział Walto. — Co miałeś na myśli, mówiąc, że to Hardin zrobił to wszystko? Jaka jest jego rola?

Bort spojrział na niego ostro.

— Fundacja wytrwale podsycza te złudzenia. Poparliśmy tę mistyfikację całą naszą nauką. Nie ma takiej uroczystości religijnej, której nie przewodniczyłby król otoczony radioaktywną aureolą rzucającą blask na całą jego postać i unoszącą się nad głową niczym świetlista korona. Kto ośmielił się go dotknąć, ulega poważnemu poparzeniu. W najważniejszych momentach król może się poruszać

w powietrzu, rzekomo dzięki działaniu boskiego ducha. Na jego skinienie świątynia napełnia się perłowym blaskiem. Nie ma końca sztuczkom, które wyprawiamy na jego rzecz. Wierzą w nie nawet kapłani, chociaż sami je wywołują.

— To źle! — rzekł Sermak zagryzając usta.

— Chce mi się krzyknąć — wyznał szczerze Bort — kiedy myślę, jaką szansę zaprzepaściliśmy. Weźmy sytuację sprzed trzydziestu lat, kiedy Hardin ocalił Fundację przed Anakreończykami. . . W tamtym czasie Anakreończycy nie mieli pojęcia o tym, że Imperium wali się. Od czasu buntu na Zeo w większym lub mniejszym stopniu rządzą się sami, ale nawet kiedy przerwano połączenia i ten pirat dziadek Leopolda ogłosił się królem, nie uświadomili sobie w pełni tego, że Imperium jest już kaput.

Gdyby imperatorowi chciało się wtedy spróbować, to mógłby z powrotem przejąć władzę przy pomocy dwóch krążowników i rozruchów wewnętrznych, do których w takiej sytuacji na pewno by doszło. A my mogliśmy zrobić to samo, ale Hardin wolał stworzyć kult władcy. Osobiście nic z tego nie rozumiem. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

— Co — zapytał nagle Jaim Orsy — robi Verisof? Kiedyś był przysięgłym akcjonistą. Co on tam robi? Czy on też nie widzi, co się dzieje?

— Nie wiem — odparł Bort szorstko. — On jest dla nich wysokim kapłanem. O ile wiem, nic nie robi, tylko występuje jako doradca kapłanów w sprawach technicznych. Kukła, niech go szlag, kukła!

Zapanowała cisza i wszystkie oczy zwróciły się na Sermaka. Przywódca partii obgryzał nerwowo paznokcie. Wreszcie rzekł:

— Źle. Śmierdząca sprawa! Rozejrzył się wokół i dodał bardziej energicznie:

— Czyżby Hardin był takim głupcem?

— Na to wygląda — wzruszył ramionami Bort.

— Nie! Coś tu nie gra. Trzeba wprost niewiarygodnej głupoty, żeby podcinać sobie samemu gardło i to tak starannie. Nawet gdyby Hardin był głupcem, w co nigdy nie uwierzę, to nie aż tak wielkim. Z jednej strony, stworzyć religię, która przekreśla wszelkie nadzieje na zamieszki wewnętrzne, z drugiej — uzbroić Anakreończyków po zęby. . . Nie pojmuję tego.

— Przyznaję, że ta sprawa jest trochę niejasna — powiedział Bort — ale takie są fakty. Co innego możemy myśleć?

— To jawna zdrada — powiedział gwałtownie Walto. — Kupili go.

Sermak potrząsnął z irytacją głową.

— Ja tak nie sądzę. To zwariowana historia, zupełnie bez sensu. . . Powiedz mi, Bort, słyszałeś coś o krążowniku, który Fundacja ma podobno naprawić dla floty Anakreona?

— O krążowniku?

— O krążowniku starego Imperium. . .

— Nie, nie słyszałem. Ale to o niczym nie świadczy. Stocznie floty wojennej są sanktuariami zupełnie niedostępnymi dla profanów. O flocie nigdy nic się nie mówi.

— Mimo to pewne informacje przeciekły stamtąd. Nasi ludzie podnieśli tę sprawę w Radzie. Hardin nie zaprzeczył, rozumiesz. Jego rzecznik potępił plotkarczy i na tym się skończyło. To może być rzecz dużej wagi.

— Takiej samej jak reszta — powiedział Bort. — Jeśli to prawda, to jest to absolutne szaleństwo. Ale nie większe niż reszta.

— Myślę — rzekł Orsy — że Hardin nie ma w zanadrzu żadnej tajemnej broni. To mogłoby...

— Tak — przerwał Sermak złośliwie — diabełek, który wyskoczy z pudełka w odpowiedniej chwili i napędzi Wienisowi takiego strachu, że biedak postrada zmysły. Jeśli Fundacja ma liczyć na jakąś tajemną broń, to może się od razu wysadzić sama w powietrze i oszczędzić sobie męczarni oczekiwania na zagładę.

— A więc — powiedział Orsy, zmieniając szybko temat — problem sprowadza się do tego, ile jeszcze mamy czasu. Co, Bort?

— Tak jest. To jest właśnie pytanie. Ale nie patrz na mnie z nadzieją — ja nie wiem. Prasa Anakreona w ogóle nigdy nie wspomina o Fundacji. Teraz akurat zajmuje się tylko zbliżającymi się uroczystościami i niczym więcej. Wiecie, Leopold za tydzień będzie pełnoletni.

— A więc mamy parę miesięcy — Walto uśmiechnął się po raz pierwszy tego wieczoru. — To nam daje czas...

— Akurat! — zirytował się Bort. — Król jest bogiem, mówię wam. Myślicie, że musi prowadzić kampanię propagandową, żeby natchnąć swoich poddanych duchem bojowym? Myślicie, że musi oskarżać nas o agresję i grać na emocjach? Kiedy wybije nasza godzina, Leopold wyda rozkaz i ludzie rzucą się do walki. Po prostu. To jest właśnie istota tego diabelskiego systemu. Tego, co każe bóg, nie poddaje się w wątpliwość. Z tego, co wiem, już jutro może wydać taki rozkaz i możemy się wypchać z naszymi pomysłami.

Wszyscy naraz zaczęli mówić. Sermak walił pięścią w stół, aby ich uciszyć, kiedy otworzyły się drzwi i głośno tupiąc wszedł Levi Norast. Wbiegł na górę, zostawiając na schodach ślady śniegu.

— Spójrzcie tutaj! — krzyknął, rzucając na stół zimną i oszronioną gazetę. — W videoodbiornikach o niczym innym się nie mówi.

Pięć głów nachyliło się nad gazetą.

— Na Wielką Przestrzeń, on leci na Anakreona! — powiedział Sermak zduszonym głosem. — **Leci na Anakreona!**

— To zdrada! — krzyknął piskliwie podniecony Tarki. — Niech mnie szlag trafi, jeśli Walto nie ma racji! Sprzedał nas, a teraz leci po zapłatę.

Sermak podniósł się.

— Teraz nie mamy wyboru. Jutro postawię w Radzie wniosek, aby oskarżyć Hardina o zdradę stanu. A jeśli to zawiedzie. . .

5

Śnieg przestał już padać, ale okrywał ziemię grubą warstwą i lśniący samochód posuwał się z trudem przez opustoszałe ulice. Szary, gęsty brzask przedświt był zimny nie tylko w przenośnym, ale również w najbardziej dosłownym sensie i nawet w tym niespokojnym dla Terminusa okresie nikt — ani zwolennik Hardina, ani akcjonista — nie zdołał wykrzesać z siebie tyle zapału i żarliwości, aby tak wcześnie wyjść na ulicę.

Cała ta sprawa nie podobała się Yohanowi Lee. Dawał temu wyraz coraz głośniejszym mruczeniem, aż wreszcie rzekł:

— To będzie źle wyglądało, Hardin. Powiedzą, że wymknąłeś się cichaczem.

— Niech mówią, co chcą. Muszę się dostać na Anakreona i chcę, żeby obyło się bez kłopotów. Dość już, Lee.

Hardin oparł się plecami o miękko wyściełane siedzenie i zdrygnął się. Wewnątrz dobrze ogrzanego pojazdu nie czuło się zimna, ale od pokrytego śniegiem krajobrazu za oknem wionęło takim chłodem, że na samą myśl o opuszczeniu ciepłego wnętrza Hardina przeniknął dreszcz.

Powiedział w zadumie:

— Któręś dnia, kiedy już będziemy mieć to wszystko za sobą, powinniśmy zabrać się za klimatyzację Terminusa. Można by to zrobić.

— Wolałbym — odparł Lee — zrobić najpierw parę innych rzeczy. Na przykład, może by tak zatroszczyć się o zapewnienie klimatyzacji Sermakowi? Przyjemna, sucha cela, o temperaturze dwudziestu pięciu stopni Celsjusza byłaby w sam raz.

— Wtedy naprawdę potrzebowalibyśmy ochrony — rzekł Hardin — a nie tylko tych dwóch — tu wskazał na zabijaków Yohana siedzących obok kierowcy z rękami na kolbach miotaczy gotowych do strzału, groźnym wzrokiem omiatających puste ulice. — Najwidoczniej chcesz wszcząć wojnę domową.

— **Ja?** Są tacy, którzy już zbierają drwa na to ognisko i nie trzeba dużego wysiłku, żeby je rozniecić, wierz mi. — Zaczął wyliczać na palcach. — Po pierwsze, Sermak wywołał wczoraj awanturę w Radzie i domagał się postawienia cię w stan oskarżenia.

— Miał do tego święte prawo — odparł chłodno Hardin. — A poza tym jego wniosek upadł stosunkiem głosów 206 do 184.

— Oczywiście. Większością dwudziestu dwu głosów, kiedy spodziewaliśmy się przewagi minimum sześćdziesięciu głosów. Nie zaprzeczysz, że sam na tyle liczyłeś.

— W przybliżeniu — przyznał Hardin.
— Dobrze. Dwa — po głosowaniu wszystkich pięćdziesięciu dziewięciu członków Partii Akcji podniosło się z miejsc i głośno tupiąc, demonstracyjnie opuściło salę posiedzeń Rady.

Hardin milczał, więc Lee kontynuował:

— I patrzcie: przed wyjściem Sermak głośno wykrzyczał, że jesteś zdrajcą, że lecisz na Anakreona po to, żeby odebrać swoich trzydzieści srebrników, że większość członków Izby, głosując przeciwko wnioskowi o postawienie cię przed sądem, przyczyniło się do twojej zdrady i że ich partia nie na darmo ma w nazwie słowo „akcja”. Jak ci się wydaje, co to zapowiada?

— Myślę, że kłopoty.

— No i teraz wynosisz się cichaczem o świcie, jak złodziej. Powinieneś im stawić czoła, Hardin. . . i jeśli to konieczne, ogłosić stan wojenny.

— Do siły uciekają się. . .

— Tylko nieudolni. Gówno!

— W porządku. Zobaczymy, co będzie. Teraz słuchaj mnie uważnie, Lee. Trzydzieści lat temu, w pięćdziesięciolecie założenia Fundacji otworzyła się Krypta Czasu i ukazał się obraz Hariego Seldona, by wyjaśnić nam po raz pierwszy, o co naprawdę chodzi.

— Pamiętam — skinął głową Lee, uśmiechając się do wspomnień. — To było tego dnia, kiedy przechwyciliśmy władzę.

— Zgadza się. To był nasz pierwszy większy kryzys. Teraz mamy drugi — a za trzy tygodnie od dzisiaj przypada osiemdziesiąta rocznica założenia Fundacji. Czy nie uderza cię ten znamieny zbieg okoliczności?

— Myślisz, że znowu się pojawi?

— Jeszcze nie skończyłem. Seldon nic nie mówił o swoim ponownym ukazaniu się, ale to pasuje do całego planu. Zawsze robił co mógł, żebyśmy się za dużo nie domyślali. Nie ma żadnego sposobu, żeby dowiedzieć się, czy zegar jądrowy w Krypcie jest nastawiony na następne otwarcie. . . chyba żeby rozebrać Kryptę, ale mechanizm jest prawdopodobnie tak skonstruowany, że przy pierwszej próbie dotarcia do niego cała Krypta uległaby zniszczeniu. Od czasu jego pierwszego pojawienia się byłem tam w każdą rocznicę — na wszelki wypadek. Nie pokazał się nigdy, ale dopiero teraz, po raz pierwszy od trzydziestu lat, mamy prawdziwy kryzys.

— A więc zjawia się.

— Może. Nie wiem. Tak czy inaczej, o to mi chodzi. Na dzisiejszym zebraniu Rady, jak tylko zakomunikujesz, że poleciałem na Anakreona, zapowiesz oficjalnie, że 14 marca wysłuchamy kolejnego zapisu Seldona, zawierającego informacje najwyższej wagi na temat obecnego, szczęśliwie zakończonego kryzysu. To bardzo ważne, Lee. Nic więcej nie mów, choćby nie wiem jak cię prosili.

Lee spojrzął mu w oczy.

— Myślisz, że w to uwierzą?

— To nieważne. Narobi to zamieszania, a o nic więcej mi nie chodzi. Będą się głowić nad tym, czy to prawda i zastanawiać się, co knuję, jeśli nieprawda... a tymczasem postanowią poczekać do 14 marca. Do tej pory z pewnością będę już z powrotem.

Lee miał wyraźne wątpliwości.

— Ale to „szczęśliwe zakończenie”. To błaga!

— Błaga, która narobi sporo zamieszania. A oto i lotnisko!

Przed nimi majaczyła w półmroku posępna, potężna bryła statku kosmicznego. Hardin ruszył ku niemu, zostawiając ciemne ślady na śniegu. Stojąc już w luku, odwrócił się i wyciągnął rękę.

— Żegnaj, Lee. Wolałbym nie zostawiać cię na takiej patelni, ale nikomu innemu nie ufam. Proszę cię, trzymaj się z dala od ognia.

— Nie martw się. Ta patelnia jest już wystarczająco gorąca. Będę się trzymał poleceń. Lee odsunął się do tyłu i luk zamknął się.

6

Salvor Hardin nie od razu udał się na planetę Anakreon, od której całe królestwo brało swą nazwę. Przybył tam dopiero w dniu koronacji, po złożeniu krótkich wizyt w ośmiu z większych układów gwiazdnych królestwa. W każdym z nich zatrzymał się tylko po to, aby odbyć rozmowę z miejscowym przedstawicielem Fundacji.

Kończył podróż będąc pod przygniatającym wrażeniem ogromu królestwa. W porównaniu z niewyobrażalnymi przestrzeniami Imperium Galaktycznego, którego tak wspaniałą część tworzyło niegdyś, było ono drobiną, nie większą niż ślad, który zostawia mucha na ścianie, ale kogoś, kto przywykł do życia na jednej, do tego rzadko zaludnionej planecie, obszar Anakreona i mrowie jego ludności przyprawiały o zawrót głowy.

Granice królestwa pokrywały się ściśle z granicami dawnej prefektury Anakreona. Obejmowało ono dwadzieścia pięć układów gwiazdnych, z których sześć miało więcej niż jeden nadający się do zamieszkania świat. Ludność liczyła dziewiętnaście miliardów, a jej liczba, chociaż wciąż niższa niż w dniach świetności Imperium, rosła szybko, wraz z rozwojem naukowym inicjowanym przez Fundację.

Dopiero teraz Hardin poczuł się przytłoczony ogromem tego zadania. W ciągu trzydziestu lat zdołano zelektryfikować zaledwie świat stołeczny. Rozległe połacie odległych prowincji wciąż były pozbawione energii jądrowej. Zresztą nawet to, czego udało się dokonać, byłoby zadaniem ponad ich siły, gdyby nie wciąż nadające się do użytku pozostałości po wycofującym się Imperium.

Kiedy Hardin znalazł się w stolicy, stwierdził, że całe normalne życie zamarło. Uroczystości odbywały się co prawda również w odległych prowincjach, ale nie na taką skalę. Tu, na Anakreonie, wszyscy porzucili swe zajęcia i oddawali się nieustającemu świętowaniu, biorąc żywy udział w obłądnych widowiskach religijnych, które poprzedzały dzień uzyskania pełnoletności przez ich boskiego króla, Leopolda.

Hardin zdołał urwać zaledwie pół godziny z zajęć zagonionego i półprzycimnego ze zmęczenia Verisofa, który ganiał od świątyni do świątyni nadzorując uroczystości. Ale te pół godziny było nader owocne i Hardin, przygotowując się na wieczorny pokaz ogni sztucznych, był w pełni zadowolony.

Występował jako widz, gdyż nie miał ochoty na odprawianie ceremonii religijnych, co bez wątpienia musiałby zrobić, gdyby zdradził się kim jest. Toteż kiedy sala balowa pałacu wypełniła się tłumem najwyższej i najdostojniejszej arystokracji, podpierał ścianę, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Przedstawiono go Leopoldowi jako jednego z wielu oczekujących na ten zaszczyt, i to z bezpiecznej odległości od króla, który, w pełnym blasku majestatu, otoczony śmiertcioną radioaktywną aureolą, stał samotnie, z dala od tłumu. Za niecałe pół godziny król zajmie miejsce na masywnym tronie ze stopu rodu i irydu, o inkrustowanych złotem poręczach, a tron wzniesie się majestatycznie w górę i popłynie ponad posadzką w stronę wielkiego okna, w którym ukaże się tłumom spóółstwa zebranych przed pałacem i wiwatującym do utraty tchu. Tron, oczywiście, nie byłby tak masywny, gdyby nie miał wmontowanego silnika atomowego.

Było po jedenastej. Hardin denerwował się. Wspiął się na palce, aby lepiej widzieć. Chciał już wejść na krzesło, ale opanował się. I wtedy zobaczył Wienisa, który torował sobie ku niemu drogę przez tłum, i odprężył się.

Wienis posuwał się wolno. Prawie co krok musiał się zatrzymywać, aby rzucić jakieś uprzejme słówko któremuś ze szlachejnych panów, którzy otrzymali księstwa i tytuły w nagrodę za pomoc udzieloną dziadowi Leopolda przy zagarnięciu władzy.

W końcu uwolnił się od ostatniego z odzianych w paradne mundury parów i dotarł do Hardina. Na jego ustach pojawił się sztuczny uśmiech, a czarne oczy, w których migotały iskierki zadowolenia, spoglądały spod siwych brwi badawczo na Hardina.

— Hardin, mój drogi — powiedział cichym głosem — musiał się pan bardzo obawiać nudy, skoro wolał pan ukryć, kim pan jest.

— Nie nudzę się, wasza wysokość. To wszystko jest niezwykle interesujące. Wie pan, nie mamy podobnych widowisk na Terminusie.

— Bez wątpienia. Nie zechciałby pan wstąpić do moich apartamentów? Moglibyśmy tam dłużej porozmawiać nie niepokojeni przez nikogo.

— Z przyjemnością.

Trzymając się pod rękę, weszli na schody. Niejedna majątna wdowa spośród

obecnych na sali księżniczek patrzyła ze zdumieniem przez Iorgnon, zastanawiając się, kim jest ów niepozorny i niedbale ubrany przybysz, którego spotykają tak widome oznaki łaski ze strony księcia regenta.

W komfortowych komnatach Wienisa Hardin zupełnie się rozluźnił i przyjął z pomrukiem zadowolenia kielich, który regent własnoręcznie napełnił.

— Wino locrijskie, Hardin — rzekł Wienis — z piwnic królewskich. Prawdziwy rarytas — dwunastoletnie. Złożono je do piwnic na dziesięć lat przed buntem na Zeo.

— Prawdziwie królewski trunek — przyznał uprzejmie Hardin. — Zdrowie Leopolda I, króla Anakreona!

Wypili, po czym Wienis dodał słodkim tonem:

— I przyszedł Imperator Peryferii, a dalej — kto wie? Pewnego dnia Galaktyka może ponownie zostać zjednoczona.

— Niewątpliwie. Przez Anakreona?

— A dlaczego nie? Z pomocą Fundacji moglibyśmy osiągnąć bezdyskusyjną przewagę nad resztą Peryferii.

Hardin odstawił pusty kielich i rzekł:

— Tak, tyle tylko, że Fundacja ma obowiązek pomagać każdej nacji, która zwróci się do niej z prośbą o pomoc naukową. Zgodnie ze szczytnymi ideałami naszego rządu i wielkimi zadaniami moralnymi, jakie postawił przed nami nasz założyciel, Hari Seldon, nie możemy nikogo faworyzować. Nic na to nie można poradzić, wasza wysokość.

Wienis uśmiechnął się szeroko.

— Duch Galaktyki, żeby użyć popularnego frazesu, pomaga tym, którzy sami dbają o swoje sprawy. Dobrze wiem, że gdyby Fundacja miała wolną rękę, to nigdy by nam nie pomogła.

— Nie powiedziałbym tego. Naprawiliśmy dla was krążownik Imperium, chociaż mój urząd nawigacji chciał go dostać dla celów naukowych.

Regent powtórzył ostatnie słowa Hardina ironicznym tonem:

— Dla celów naukowych! Tak, akurat! Nie naprawilibyście go, gdybym nie zagroził wojną.

— Nie wiem.

— Ale ja wiem. A ta groźba zawsze istniała.

— I nadal istnieje?

— Teraz jest już raczej za późno, żeby mówić o groźbach. — Wienis rzucił szybkie spojrzenie na zegar na biurku. — Hardin, był pan już na Anakreonie. Był pan wtedy młody — obaj byliśmy młodzi. Ale już wtedy różniliśmy się spojrzeniem na różne sprawy. Jest pan, jak to mówią, człowiekiem miłującym pokój, co?

— Myślę, że tak. W każdym razie uważam, że siła to bardzo nieekonomiczny sposób osiągnięcia celu. Zawsze można znaleźć inne drogi, chociaż niekiedy nie prowadzą wprost do celu.

— Tak. Słyszałem o pana słynnej dewizie: — „Do siły uciekają się tylko nieudolni”. A przecież — regent podrapał się w ucho z udanym roztargnieniem — nie sędzę, żebym był zupełnie nieudolny.

Hardin skinął uprzejmie głową, ale nic nie powiedział.

— Jednak mimo to — mówił dalej regent — zawsze byłem zwolennikiem działania bezpośredniego. Zawsze uważałem, że trzeba wytyczyć drogę prowadzącą prosto do celu i konsekwentnie iść tą drogą. W ten sposób wiele osiągnąłem i spodziewam się osiągnąć jeszcze więcej.

— Wiem — przerwał mu Hardin. — Biorąc pod uwagę nieszczęśliwy wypadek, w którym stracił życie poprzedni król, pana starszy brat, i zły stan zdrowia obecnego króla, święcie wierzę, że wytyczył pan drogę, która ma zawieść pana i pańskie dzieci prosto na tron. Stan zdrowia króla jest przecież zły, nieprawdaż?

Przycinek był celny. Wienis zmarszczył czoło, a jego głos stwardniał.

— Byłoby dla pana lepiej, Hardin, gdyby unikał pan pewnych tematów. Może wydaje się panu, że jako burmistrz Terminusa może pan sobie pozwolić na... eee... nierozważne uwagi, ale jeśli pan tak myśli, to jest pan w błędzie. Ja nie jestem z tych, których można nastraszyć gadaniem. Zawsze trzymam się zasady, że trudności znikają, kiedy się im śmiało stawi czoła i jak dotąd nie zdarzyło się, żebym postąpił wbrew tej zasadzie.

— Nie wątpię w to. A jakiej — konkretnie — trudności chce pan stawić czoła w chwili obecnej?

— Trudności przekonania Fundacji o potrzebie współpracy. Widzi pan, wasza pokojowa polityka doprowadziła do tego, że popełniliście szereg bardzo poważnych błędów i to tylko dlatego, że nie doceniliście odwagi waszego przeciwnika. Nie każdy tak się boi bezpośredniego działania jak wy.

— Na przykład? — spytał Hardin.

— Na przykład, przybył pan samotnie na Anakreona i sam pan przyszedł do moich komnat.

Hardin rozejrzał się wokół.

— A co w tym złego?

— Nic — odrzekł regent — tyle tylko, że za drzwiami stoi pięciu strażników z bronią gotową do strzału. Nie sędzę, żeby udało się panu stąd wyjść, Hardin.

Brwi burmistrza uniosły się w górę.

— Nie czuję na razie takiej potrzeby. Tak bardzo się pan mnie boi?

— Wcale się pana nie boję. Ale niech to będzie świadectwem mego zdecydowania. Nazwijmy to manifestacją, dobrze?

— Niech pan to nazywa, jak się panu podoba — powiedział Hardin obojętnie.

— Bez względu na to, jak pan. to nazwie, nie mam zamiaru przejmować się tym incydentem.

— Jestem pewien, że za jakiś czas zmieni pan zdanie. Ale popełnił pan jeszcze inny błąd, Hardin — o wiele poważniejszy. Zdaje się, że Terminus jest zupełnie

bezbronny.

— Naturalnie. Czego mielibyśmy się obawiać? Nie zagrażamy niczym interesom — wszystkim służymy jednakowo.

— A tymczasem, sami będąc bezbronni — mówił dalej Wienis — pomogliście nam uprzejmie uzbroić się. W szczególności pomogliście nam rozbudować flotę wojenną, wielką flotę, która od czasu, jak podarowaliście nam krążownik Imperium jest praktycznie niezwyciężona.

— Traci pan czas, wasza wysokość — Hardin uczynił ruch, jakby chciał wstać. — Jeśli ma pan zamiar wypowiedzieć wojnę i powiadamia mnie o tym fakcie, to proszę mi pozwolić porozumieć się natychmiast z moim rządem.

— Niech pan siedzi, Hardin. Nie wypowiadam wojny, a pan nie porozumie się ze swoim rządem. Kiedy zaczniemy wojnę — nie wypowiemy jej, Hardin, ale **zaczniemy** — Fundacja zostanie powiadomiona o tym przez wyrzutnie pocisków atomowych floty anakreońskiej dowodzonej przez mego własnego syna z pokładu „Wienisa”, byłego krążownika Imperium.

Hardin zmarszczył czoło.

— A kiedy to się stanie?

— Jeśli to pana naprawdę interesuje, to statki tej floty opuściły Anakreon dokładnie piętnaście minut temu, o jedenastej, a pierwszy pocisk zostanie odpalony, gdy tylko dojrzą Terminusa, co powinno nastąpić jutro w południe. Może się pan uważać za jeńca wojennego.

— Właśnie za niego się uważam, Wasza wysokość — odparł Hardin, wciąż marszcząc czoło — ale jestem rozczarowany.

Wienis zachichotał pogardliwie.

— Tylko tyle?

— Tak. Wydawało mi się, że moment koronacji — północ, jak panu wiadomo — będzie — logicznie biorąc — najlepszą porą dla wysłania statków. Najwyraźniej chciał pan, żeby wojna zaczęła się kiedy jest pan jeszcze regentem. Ten drugi sposób byłby bardziej teatralny.

Regent patrzył ze zdziwieniem.

— O czym, na Przestrzeń, pan mówi?

— Nie rozumie pan? — spytał miękko Hardin. — Swoje przeciwuderzenie przygotowałem na północ.

Wienis zerwał się z krzesła.

— Nie nabierze mnie pan. Nie będzie żadnego przeciwuderzenia. Jeśli liczy pan na pomoc innych królestw, to niech pan o tym zapomni. Ich połączone floty nie mogą się równać z naszą.

— Wiem o tym. Nie mam zamiaru oddać ani jednego strzału. Chodzi po prostu o to, że już tydzień temu wydałem polecenie, żeby dziś o północy obłożył Anakreon interdyktem.

— Interdyktem?

— Tak. Jeśli pan nie rozumie, to służę wyjaśnieniem. Otóż jeśli nie cofnę rozkazu, zastrajkują wszyscy kapłani na Anakreonie. Ale cofnąć go już nie mogę, gdyż nie mam możliwości porozumienia się z kimkolwiek z zewnątrz — zresztą nawet gdybym miał taką możliwość, to i tak bym z niej nie skorzystał. — Pochylił się i rzekł z nagłym ożywieniem: — Czy zdaje pan sobie sprawę, wasza wysokość, z tego, że atak na Fundację to największe świętokradztwo?

Widać było, że Wienis za wszelką cenę stara się nie stracić panowania nad sobą.

— Niech mi pan nie opowiada bajek, Hardin. To dobre dla pospólstwa.

— Drogi panie, a dla kogo — myśli pan — to przygotowałem? Jestem pewien, że przez ostatnie pół godziny każdą świątynię na Anakreonie wypełniały tłumy pospólstwa słuchające z zapartym tchem kapłana, który wyjaśniał im tę właśnie sprawę. Na całym Anakreonie nie ma mężczyzny ani kobiety, którzy nie zostaliby poinformowani o tym, że ich rząd przystąpił do nikczemnego, niczym nie sprowokowanego ataku na centrum ich kultu. No, brakuje już tylko czterech minut do północy. Niech pan lepiej zejdzie do sali balowej śledzić przebieg wydarzeń. Z pięcioma strażnikami za drzwiami jestem tu zupełnie bezpieczny. — Hardin usadowił się wygodniej w fotelu, nalał sobie jeszcze jeden kielich wina z Locris i z doskonałą obojętnością zaczął się wpatrywać w sufit.

Wienis zdusił przekleństwo w ustach i wybiegł z pokoju.

Wśród elity zgromadzonej w sali balowej zapadła cisza, gdy zrobiono szerokie przejście wiodące do tronu. Siadł na nim Leopold z wysoko wzniesionym czołem i zastygła twarzą. Ręce nieruchomo spoczywały na poręczach. Olbrzymie świeczniki przygasły i w rozproszonym wielobarwnym świetle rzucanym przez małe atomowe żarówki spod sklepienia sali rozblęśta wspaniale królewska aureola i utworzyła nad głową króla świetlistą koronę.

Wienis zatrzymał się na schodach. Nikt go nie spostrzegł, gdyż spojrzenia wszystkich skierowane były na tron. Zaciśnął pięści i pozostał na miejscu. Nie uda się Hardinowi sprowokować go do popełnienia głupstwa!

Wtem tron poruszył się. Wzniósł się bezszelestnie w górę i powoli spłynął z podwyższenia, a potem, unosząc się sześć cali nad posadzką, poszybował w stronę ogromnego, otwartego okna.

Głęboki dźwięk dzwonu obwieścił północ, tron zatrzymał się przed oknem... i aureola zgasła.

Tron zastygł w bezruchu i przez ułamek sekundy wisiał w powietrzu — twarz króla wyrażała ogromne zaskoczenie, bez aureoli był zwykłym śmiertelnikiem — a potem zachwiał się i z wysokości sześciu cali runął z wielkim hukiem na posadzkę. W tej samej chwili zgasły wszystkie światła.

Poprzez okrzyki przerażenia, piski i ogólną wrzawę przedarł się ryk Wienisa: — Ognie! Dawać ognie!

Rozdając razy na prawo i na lewo, regent precyzyjnie przeszedł przez tłum i urobił sobie drogę do wyjścia. Z tyłu nadbiegły i pogrążyły się w ciemności strażnicy pałacowi.

Zdołano wreszcie jakoś przynieść do sali balowej sztuczne ognie, które miały uświetnić uroczystość, towarzysząc gigantycznej procesji, która po koronacji miała przejść ulicami miasta.

W sali balowej zaroilo się od strażników z pochodniami. Niebieskie, zielone i czerwone błyski wydobywały z ciemności przerażone twarze.

— Nic się nie stało! — krzyczał Wienis. — Proszę nie ruszać się z miejsc. Za chwilę będzie światło.

Obrócił się do oficera straży, który stanął przy nim sztywno wyprężony, w postawie na baczność.

— O co chodzi, kapitanie?

— Wasza wysokość — wyrzucił jednym tchem kapitan — pałac otoczony jest przez lud.

— Czego chcą — warknął Wienis.

— Prowadzi ich kapitan. Ustalono, że to Wysoki Kapłan Poly Verisof. Domaga się on natychmiastowego uwolnienia burmistrza Salvora Hardina i przerwania wojny z Fundacją.

Oficer mówił beznamiętnym tonem żołnierza, ale jego oczy biegały niespokojnie.

— Jeśli ktoś z tej hołoty spróbuje przekroczyć bramy pałacu, natychmiast go rozwalić! — wrzasnął Wienis. — Niech wyją. Policzymy się jutro.

Tymczasem rozmieszczono pochodnie i w sali balowej ponownie zrobiło się jasno. Wienis podbiegł do tronu, chwycił za ramiona Leopolda, który siedział jak porażony, z pobladłą twarzą, i postawił go na nogi.

— Chodź ze mną — rzekł. Rzucił tylko jedno spojrzenie za okno. Z dołu dobiegały ochryple okrzyki tłumu. Miasto było czarne jak smoła. Jedyne po prawej stronie, w miejscu, gdzie stała Świątynia Argolidzka, widać było światło. Zaklął gniewnie i odciągnął króla od okna.

W chwilę potem, na czele pięciu strażników, Wienis wpadł do swoich komnat. Za nimi podążał Leopold, któremu strach odjął mowę.

— Hardin — rzekł ochryłym głosem Wienis — porywasz się na coś, co przeraża twoje siły.

Burmistrz zignorował go. Siedział spokojnie w perłowym świetle podręcznej żarówki Atomo, z ironicznym uśmiechem na ustach.

— Dobry wieczór, wasza wysokość — rzekł do Leopolda. — Proszę przyjąć gratulacje z okazji koronacji.

— Hardin — krzyknął Wienis — każ natychmiast kapłanom wracać do swoich zajęć! Hardin spojrział na niego chłodno.

— Sam każ im to zrobić, Wienis, a przekonasz się, kto tu się porywa na coś, co przerasta jego siły. W tej chwili stoją wszystkie maszyny na Anakreonie. Nigdzie, oprócz świątyń, nie ma światła. Nigdzie, oprócz świątyń, nie ma kropli bieżącej wody. Na drugiej, spowitej śniegiem półkuli, nie ma nigdzie, oprócz świątyń, ani jednej kalorii ciepła. Szpitale nie przyjmują chorych. Elektrownie zamknięte. Wszystkie statki unieruchomione. Jeśli ci się to nie podoba, Wienis, to każ kapłanom wracać do ich zajęć. Ja nie mam na to ochoty.

— Na przestrzeń, Hardin. zrobię to! Chcesz grać w otwarte karty? Dobrze! Zobaczmy, kto jest silniejszy — armia czy kapłani. Dziś w nocy wszystkie świątynie na planecie przejdą pod zarząd wojskowy.

— Znakomicie, tylko jak chcesz wydać rozkazy? Wszystkie połączenia są przerwane. Przekonasz się, że nie działa ani radio, ani telewizja, ani krótkofalówki. Prawdę mówiąc, na całej planecie — poza świątyniami oczywiście — działa tylko jeden aparat — telewizor, tu, w tym pokoju, a i ten nastawiłem tylko na odbiór.

Wienis z trudem łąpał powietrze. Hardin mówił dalej:

— Jeśli chcesz, możesz rozkazać, aby wojsko wkroczyło do Świątyni Argolidzkiej koło pałacu i skontaktowało się z innymi częściami planety przy pomocy świątynnej krótkofalówki. Ale obawiam się, że jeśli to zrobisz, to tłum rozerwie cały oddział na strzępy, a co wtedy ochroni pałac? I wasze życie, Wienis.

— Przetrzymamy to, ty diable! — rzekł ochryple Wienis. — Przetrywamy jakoś tę noc. Niech tłum sobie wyje, niech wysiada energia — my to przetrzymamy. A kiedy nadejdzie wiadomość, że Fundacja padła, twój nieoceniony tłum przekonana się, na jakiej próżni opierała się jego religia, opuści twoich kapłanów i zwróci się przeciw nim. Możesz się cieszyć aż do jutrzejszego południa, nie dłużej, bo możesz zatrzymać powstanie na Anakreonie, ale nie możesz zatrzymać mojej floty. Są już w drodze, a prowadzi ich krążownik, który sami naprawiliście — zachichotał radośnie.

— Tak, sam kazałem go naprawić — odparł beztrąsko Hardin — ale w sposób, który uznałem za stosowny. Powiedz mi, Wienis, słyszałeś kiedy o transmisji naddźwiękowej? Widzę po twojej minie, że nie. No więc za mniej więcej dwie minuty przekonasz się, jakie można robić rzeczy.

Kiedy domawiał tych słów, zaświecił się ekran telewizora i Hardin poprawił się:

— Nie, nie za dwie minuty — za dwie sekundy. Siadaj, Wienis, i słuchaj.

7

Theo Aporat był jednym z najbardziej liczących się kapłanów na Anakreonie. I choćby z tytułu tej wysokiej pozycji zasługiwał na stanowisko głównego kape-

lana na flagowcu „Wienis”.

Ale złożyło się na to coś więcej niż tylko pozycja w hierarchii i znaczenie. Theo Aporat znał ten statek. Pracował przy jego naprawie pod bezpośrednim kierunkiem świętych ludzi z Fundacji. Naprawiał, zgodnie z ich poleceniami, silniki, podłączał na nowo telewizory do sieci, naprawiał system łączności, pokrywał nową blachą podziurawiony kadłub statku, wzmacniał siłę promieni. Pozwolono mu nawet asystować mądrym ludziom z Fundacji przy montowaniu urządzenia zarezerwowanego tylko dla tego kolosa, a tak świętego, że podobnego mu nie było na żadnym innym statku — stacji naddźwiękowej.

Nic zatem dziwnego, że serce go bolało na myśl o niecnym poczynaniu, do których miał zostać użyty ten wspaniały statek. Nie chciał wierzyć temu, co mówił mu Verisof — że statek ma stać się narzędziem przerażającej zbrodni, że jego wyrzutnie mają się obrócić przeciw Fundacji. Przeciw tej Fundacji, w której zdobył wykształcenie, która była źródłem wszelkich łask.

Ale teraz, po tym, co usłyszał od admirała, nie miał już żadnych wątpliwości.

Jak król, który cieszy się łaską boga, mógł zezwolić na tak odrażający czyn? A może nie jest winny? Czy nie jest to aby intryga uknuta za plecami króla przez tego przekłętą regenta, Wienisa? Przecież to właśnie syn Wienisa jest tym admirałem, który zaledwie pięć minut temu powiedział:

— Zajmij się swoimi duszami i modłami, księżulku. Statkiem zajmę się ja.

Aporat uśmiechnął się krzywo. Zajmie się swoimi duszami i modłami... ale także klątwami, a księżę Lefkin już niedługo spuści z tonu.

Wszedł do głównej kabiny łączności. Poprzedzał go akolita. Żaden z dwu oficerów pełniących służbę nie zrobił najmniejszego ruchu, aby im przeszkodzić. Naczelną kapelan mógł się swobodnie poruszać po całym statku.

— Zamknąć drzwi! — rozkazał Aporat i spojrzął na chronometr. Do dwunastej brakowało pięciu minut. Dobrze go nastawił.

Szybkimi, wprawnymi ruchami przesuwając dźwignie otwierające wszystkie kanały łączności wewnętrznej. Wkrótce obraz Aporata pojawił się na ekranach wszystkich pomieszczeń długiego na dwie mile statku.

— Żołnierze królewskiego flagowca „Wienis”, słuchajcie! Mówi wasz naczelną kapelan.

Wiedział, że jego głos rozlega się od stosu atomowego na krańcu rufy aż po pomieszczenia nawigacyjne na dziobie.

— Wasz statek — krzyczał — stał się narzędziem świętokradztwa! Zostaliście, bez waszej wiedzy wciągnięci w poczynania, które skazują wasze dusze na potępienie i wieczne bytowanie w lodowatych otchłaniach przestrzeni. Słuchajcie! Zamiarem waszego dowódcy jest skierować ten statek ku Fundacji, zbombardować to źródło wszelkich łask i zmusić je, by uległo jego występnej żądzy! I dlatego, w imieniu Ducha Galaktyki, pozbawiam go dowództwa. Ten, od którego

odwrócił się Duch Galaktyki, nie może być dowódcą. Nawet król, boski pomazaniec, nie może sprawować władzy bez przyzwolenia Ducha.

Akolita słuchał z czcią, a oficerowie z rosnącą trwogą. Głos Aporata brzmiał coraz uroczyściej.

— A ponieważ statek ten jest na usługach diabła, od niego również odwraca się łaska Ducha.

Wzniósł uroczystym gestem ramiona w górę. Przed tysiącem telewizorów tłoczyła się załoga statku, patrząc jak urzeczona na swego naczelnego kapelana, który mówił:

— Przeklinam ten statek w imieniu Ducha Galaktyki, jego proroka Hariego Seldona i jego sług — świętych ludzi z Fundacji! Niechaj zgasną telewizory — jego oczy! Niechaj opadną bezwładnie wyrzutnie — jego ramiona! Niechaj staną się bezsilne pociski — jego pięści! Niechaj zamrą silniki — jego serce! Niechaj zamilknie jego głos — radio! Niechaj ustanie jego oddech — wentylacja! W imię Ducha Galaktyki, przeklinam ten statek!

Gdy domawiał ostatnich słów, biła północ.. W tej samej chwili w odległej o osiem lat świetlnych Świątyni Argolidzkiej ręka innego kapłana uruchomiła przekaźnik naddźwiękowy, który z szybkością fali ultra uruchomił inny, na statku flagowym „Wienis”.

I statek zamarł!

Zamarł, gdyż religia nauki ma to do siebie, że jest skuteczna i klątwy takie jak te, które rzucił Aporat, rzeczywiście działają.

Ciemność spowiła statek i ustało nagle odległe mruczenie hiperatomowych silników. Aporat ucieszył się i wyjął z kieszeni swej długiej szaty samozasilającej się żarówkę Atomo, która napełniła pomieszczenie perłowym światłem.

Spojrzał na oficerów. Bez wątpienia obaj byli dzielnymi żołnierzami, lecz mimo to pełzali na klęczkach u jego stóp, ogarnięci śmiertelnym przerażeniem.

— Ratuj nasze dusze, wasza wielebność! Jesteśmy biednymi ludźmi i nie mieliśmy żadnego pojęcia o zbrodniczych zamiarach naszych przywódców — wykrztusił jeden z nich.

— Pójdź za mną — rzekł surowym tonem Aporat. — Twoja dusza nie jest jeszcze stracona.

Wnętrze statku tonęło w gęstej ciemności, w której prawie namacalnie można było wyczuć przenikającą wszystkich, zaraźliwą trwogę. Gdziekolwiek pojawił się, otoczony kręgiem światła, Aporat, cisnęli się zewsząd żołnierze, usiłując dotknąć choćby rąbka jego szaty i błagając o zmiłowanie.

Aporat niezmiennie powtarzał:

— Pójdźcie za mną.

Odnalazł Lefkina, przeciskającego się po omacku przez pomieszczenia oficerskie, głośno klnącego i wołającego o światło. Admirał spojrzał z nienawiścią na naczelnego kapelana.

— Tu jesteś!

Lefkin odziedziczył po matce niebieskie oczy, ale zakrzywiony nos i zez nieomylnie wskazywały, że jest synem Wienisa. — Co mają znaczyć te zdradzieckie knowania? Włącz natychmiast zasilanie! Ja tu jestem dowódcą!

— Już nie — rzekł ponuro Aporat.

Lefkin potoczył wokół dzikim wzrokiem.

— Brać go! — krzyknął. — Aresztować go, bo inaczej — klnę się na Przestrzeń — wyrzucę nago za burtę każdego, kto mnie nie posłucha!

Przerwał, a potem wrzasnął: — To rozkaz waszego admirała! Aresztować go!

W końcu zupełnie stracił głowę i zaczął krzyczeć:

— Dacie się wodzić za nos temu oszustowi, temu błaznowi? Kulicie się ze strachu przed religią utkaną z chmur i mgieł? To oszust, a jego Duch Galaktyki to wytwór fantazji, który...

Aporat przerwał gwałtownie:

— Schwycić bluźniercę! Słuchając go, gubicie wasze dusze.

Szlachetnie urodzony admirał znalazł się natychmiast na ziemi trzymany przez tuzin rąk.

— Weźcie go i pójďte za mną.

Aporat odwrócił się i przez korytarze pełne żołnierzy ruszył z powrotem do sali łączności, za nim wleczono Lefkina. Aporat kazał postawić eks-dowódcę przed jedynym działającym telewizorem.

— Każ reszcie floty zmienić kurs i przygotować się do powrotu na Anakreona.

Pobity, krwawiący, na pół uduszony Lefkin zrobił, co mu kazano.

— A teraz — rzekł Aporat surowo — mamy łączność z Anakreonem przez ultrafale. Mów, co każe.

Lefkin pokręcił przecząco głową. Tłum za jego plecami groźnie zaszmerzał.

— Mów! — rzekł Aporat. — Zaczynaj: „Flota anakreońska...”

Kiedy na ekranie telewizora ukazał się książę Lefkin, w komnacie Wienisa zapadła absolutna cisza. Na widok nieprzytomnego wzroku i porwanego munduru syna regent wydał krótki jęk, a potem osunął się bezwładnie na krzesło, z twarzą wykrzywioną zdumieniem i trwogą.

Hardin nie zdradzał żadnych emocji — słuchał, siedząc z rękoma splecionymi na brzuchu. Natomiast świeżo koronowany król Leopold wcisnął się w najciemniejszy kąt pokoju i obgryzał w zdenerwowaniu haftowany złotem rękaw swej szaty. Nawet żołnierze nie zdołali zachować zwykłej zawodowej obojętności i od drzwi, gdzie stali rzędem, z miotaczami gotowymi do strzału, wyciągali ciekawie głowy w stronę telewizora.

Lefkin mówił z ociąganiem, zmęczonym głosem i często przerywał, jakby go ktoś poganiał i to niezbyt łagodnie.

— Flota anakreońska... świadoma charakteru swej misji... odmawia udziału... w odrażającym świętokradztwie... i powraca na Anakreona... z następują-

cym ultimatum do... tych grzeszników i bluźnierców... którzy ośmielili się targnąć... na Fundację... źródło wszelkich łask... i na Ducha Galaktyki. Przerwać od razu wszystkie działania skierowane przeciw... prawdziwej wierze... i zagwarantować w sposób zadowalający nas, ludzi z floty... reprezentowanych przez naszego... naczelnego kapelana, Theo Aporata, że działania takie nie zostaną już nigdy... podjęte i że — tu nastąpiła długa pauza, po czym książę Lefkin podjął na nowo — i że były książę regent, Wienis... zostanie uwięziony... i postawiony przed sądem kościelnym... gdzie odpowie za swe zbrodnie. W przeciwnym razie flota królewska... wróciwszy na Anakreona... obróci pałac w proch... i podejmie wszelkie inne... konieczne... kroki... aby zniszczyć gniazdo grzechu... i jaskinię wrogów naszych dusz.

Głos załamał się i urwał, a ekran zgasł.

Palce Hardina zacisnęły się szybko wokół żarówki Atomo i jej światło przygasało, a w powstałym półmroku ledwie widać było rozmazane kontury sylwetek niedawnego regenta, króla i żołnierzy, za to Hardina otoczyła poświata.

Nie było to oślepiające światło, które było atrybutem króla, lecz mniej teatralne i mniej imponujące, ale mimo to na swój sposób bardziej sugestywne i bardziej w tej sytuacji przydatne łagodne lśnienie.

W głosie Hardina wyczuć się dało lekką ironię, gdy zwrócił się on do tego samego Wienisa, który zaledwie godzinę wcześniej oznajmił że jest on jeńcem wojennym, a Terminus znajduje się o krok od zagłady, a który teraz, złamany i milczący, był tylko niepozornym cieniem.

— Jest taka stara bajka — zaczął Hardin — prawdopodobnie stara jak ludzkość, gdyż jej najstarsze przekazy są zaledwie kopiami znacznie starszych tekstów. A brzmi ona tak:

— „Koń, który miał potężnego i groźnego wroga — wilka, żył w ustawicznym strachu o swe życie. Doprowadzony do rozpacz, postanowił poszukać sobie silnego sprzymierzeńca. Jak pomyślał, tak zrobił. Udał się do człowieka i zaproponował mu przymierze, dowodząc, że wilk jest również jego nieprzyjacielem. Człowiek przystał na to chętnie i przyrzekł natychmiast zabić wilka, jeśli tylko jego nowy sprzymierzeniec pozwoli mu skorzystać ze swojej szybkości. Koń zgodził się i pozwolił, by człowiek założył mu siodło i uzdę. Zrobiwszy to, człowiek dosiadł konia, dopędził wilka i zabił go.

Koń, zadowolony i szczęśliwy, podziękował człowiekowi i rzecze:

— Teraz, gdy nasz wróg już nie żyje, zdejmij ze mnie uzdę i siodło i zwróć mi wolność. Człowiek roześmiał się na to i powiada:

— Na diabła co mówisz? Nazad, koniku! — i wpił mu w bok ostrogi.”

Panowało milczenie. Cień, który był Wienisem, nie poruszył się.

— Mam nadzieję, że dostrzegasz tu analogię — podjął Hardin. — Dążąc do zdobycia trwałej władzy nad swym ludem, władcy Czterech Królestw przyjęli religię nauki, która uświęcała i sankcjonowała ich panowanie. Ale ta religia stała

się dla nich tym, czym siodło i uzda dla konia, gdyż przekazała życiodajną energię jądrową w ręce kapłanów, którzy — zauważ — otrzymywali rozkazy od nas, a nie od was. Zabiliście wilka, ale nie możecie się pozbyć. . .

Wienis zerwał się na równe nogi. Na dnie jego czarnych oczu, wyglądających w ciemności jak dziury, zaił się obłęd. Mówił chaotycznie, ochrypłym głosem:

— A mimo to dostanę cię. Nie uciekniesz. Zginiesz tu. Niech nas zniszczą! Niech rozwalą wszystko! Ty zgnijesz! Dostanę cię!

— Żołnierze! — krzyknął histerycznie. — Zastrzelić tego diabła! Rozwalić go! Rozwalić!

Hardin obrócił się twarzą do żołnierzy i uśmiechnął się. Jeden z nich podniósł miotacz, lecz zaraz opuścił rękę. Reszta nawet nie drgnęła. Porwać się na Salvora Hardina, burmistrza Terminusa, otoczonego łagodnym światłem aureoli, uśmiechającego się z taką pewnością siebie, na Hardina, przed którym rozsypała się w proch cała potęga Anakreona, było — wbrew rozkazom wrzeszczącego maniaka — zadaniem ponad ich siły.

Wienis zaklął i pochylił się w stronę najbliższej stojącego żołnierza. Wyrwał z jego rąk miotacz, wycelował w Hardina, który nie poruszył się nawet, wcisnął dźwignię i uruchomił reakcję.

Biały płomień uderzył o ekran otaczający burmistrza i został natychmiast wchłonięty i zneutralizowany. Wienis nacisnął mocniej i roześmiał się straszonym głosem.

Hardin nadal uśmiechał się, a otaczające go świetlistym kręgiem pole siłowe rozbłysło silniej, wchłonawszy energię wybuchu jądrowego. Leopold zakrył oczy i jęczał w swoim kącie.

Z nagłym rykiem rozpaczy Wienis odwrócił miotacz i strzelił znowu — na podłogę osunął się jego bezgłowy tułów.

Hardin skrzywił się na ten widok i mruknął:

— Zwolennik „bezpośredniego działania” do ostatka. Ostatni ratunek!

8

W Krypcie Czasu było wiele osób, o wiele więcej niż miejsc do siedzenia i dlatego między krzesłami a tylną ścianą stały trzy rzędy ludzi.

Salvor Hardin porównywał to liczne towarzystwo z kilkoma osobami obecnymi przy pierwszym pojawieniu się Hari Seldona trzydzieści lat przedtem. Było ich wówczas tylko sześciu — pięciu Encyklopedystów, z których żadnego nie było już wśród żywych, i on sam — młody, marionetkowy burmistrz. Właśnie tamtego dnia, razem z Yohanem Lee, usunął piętno marionetki ze swego urzędu.

Teraz było zupełnie inaczej — pod każdym względem. Na pojawienie się Seldona czekała Rada Miejska. On sam, Hardin, nadal był burmistrzem, ale teraz

dzierzył w swym ręku pełnię władzy i, od czasu całkowitej klęski Anakreona, cieszył się niezwykłą popularnością. Kiedy powrócił z Anakreona z wieścią o śmierci Wienisa i z nowym traktatem podpisanym drżącą ręką przez Leopolda, witano go wyrażając głośno i zgodnie zaufanie i poparcie. Kiedy jeszcze, tuż potem, podpisano podobne traktaty z pozostałymi królestwami — traktaty, które przyznawały Fundacji takie prawa, że sama myśl o zaatakowaniu jej kiedykolwiek w przyszłości, za wzorem Anakreona, była niemożliwością, wszystkimi ulicami Terminusa ciągnęły procesje skandujące jego imię. Nawet nazwisko Hariego Seldona nie było przyjmowane z takim aplauzem.

Hardin skrzywił się. Po pierwszym kryzysie był tak samo popularny.

Po drugiej stronie sali Sef Sermak i Lewis Bort rozprawiali o czymś z ożywieniem. Wyglądało na to, że ostatnie wydarzenia nie wywarły na nich żadnego wrażenia. I owszem, przyłączyli się do radnych, którzy wyrazili Hardinowi votum zaufania, a nawet przyznali publicznie, że mylili się co do jego osoby i przeprosili za używanie „pewnych niestosowanych określeń, które padły z ich ust w poprzednich debatach”, mówiąc na swoje usprawiedliwienie, że kierowali się własnym rozumem i postępowali w zgodzie ze swoim sumieniem. . . po czym natychmiast wszczęli nową kampanię.

Yohan Lee pociągnął Hardina za rękaw i znacząco wskazał na zegarek.

Hardin podniósł głowę.

— Cześć, Lee. Znowu masz kwaśną minę. Co się stało?

— Pokaże się za pięć minut, co?

— Myślę, że tak. Ostatnim razem ukazał się w południe.

— A co będzie, jeśli się nie ukáže?

— Masz zamiar całe życie zadrećcać mnie swoimi obawami? Jeżeli się nie pokaże, to go nie zobaczymy i już.

— Lee zmarszczył czoło i wolno pokręcił głową.

— Jeśli to klapnie, to znowu znajdziemy się w opałach. Jeśli nie będziemy mieli poparcia Seldona dla naszej roboty, to Sermak zacznie wszystko na nowo. Teraz domaga się całkowitej aneksji Czterech Królestw i ekspansji Fundacji — przy użyciu siły, gdyby okazało się to konieczne. Już zaczął kampanię.

— Wiem. Połykacz ognia musi łykać ogień, choćby nawet miał przy tym spłonąć. A ty, Lee, musisz mieć zawsze powód do zmartwienia, choćbyś miał nawet stracić życie, starając się go znaleźć.

Lee miał już odpowiedzieć, ale nagle odebrało mu mowę, bo światła przygasły. Podniósł rękę, żeby wskazać na szklaną kabinę zajmującą pół sali, i osunął się na krzesło z głośnym westchnieniem.

Hardin sam się wyprostował na krześle na widok postaci, która nagle pojawiła się w kabinie — postaci w fotelu na kółkach! On jeden spośród zebranych pamiętał dzień sprzed kilkudziesięciu lat, w którym postać ta pojawiła się po raz pierwszy. Był wtedy młody, a postać w kabinie była podobizną starego człowieka.

Od tamtej pory obraz Seldona nie postarzał się ani o dzień, ale on sam znacznie posunął się w latach.

Postać w kabinie patrzyła wprost przed siebie, kartkując od niechcenia książkę leżącą na kolanach. W końcu przemówiła:

— Jestem Hari Seldon. — Głos był miękki, starczy.

Wszyscy wstrzymali oddech, a Hari Seldon mówił dalej tonem towarzyskiej pogawędki:

— Jestem tu drugi raz. Oczywiście nie wiem, czy ktokolwiek z was był tu za pierwszym razem. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy tu w ogóle ktoś jest — nie mogę się o tym przekonać przy pomocy zmysłów — ale to nieistotne. Jeśli przezwyciężyliście drugi kryzys, to musicie być tutaj, nie może być inaczej. Jeśli zaś nie ma tu nikogo, to drugi kryzys okazał się ponad wasze siły.

Uśmiechnął się ujmująco.

Wątpię jednak, żeby tak się stało, gdyż według naszych obliczeń stopień prawdopodobieństwa tego, że w pierwszych osiemdziesięciu latach będziecie się trzymać kursu wytyczonego Planem, wynosi dziewięćdziesiąt osiem przecinek cztery procent.

Według moich obliczeń udało się wam właśnie zapanować nad barbarzyńskimi królestwami bezpośrednio sąsiadującymi z Fundacją. Tak jak w czasie pierwszego kryzysu powstrzymaliście ich umiejętnie wykorzystując zasadę równowagi sił, tak teraz wygraliście przeciwstawiając siłę materialnej siłę duchową.

Chciałbym was jednak przestrzec, byście nie byli zbyt pewni siebie. Nie jest moim zamiarem wyjaśniać wam tajniki waszej przyszłości, ale mogę, bez żadnej szkody dla mego planu, powiedzieć, że to, co udało się wam osiągnąć, to też nic więcej jak równowaga — choć wasza pozycja jest teraz znacznie lepsza niż przedtem. Wprawdzie siła ducha wystarczy, aby udaremnić atak siły doczesnej, ale nie wystarczy do tego, żeby samemu przejść do ataku. Siła ducha nie jest w stanie przeciwstawić się stale rosnącej, przeciwstawnej jej sile, określanej mianem regionalizmu albo nacjonalizmu. Jestem pewien, że nie mówię wam nic nowego.

Nawiasem mówiąc, chciałbym przeprosić was za to, że wyrażam się tak mgliście. Określenia, których tu używam, są w najlepszym razie przybliżonymi odpowiednikami terminów psychohistorycznych, ale ponieważ nikt z was nie ma dostatecznych kwalifikacji, żeby zrozumieć język formalny psychohistorii, muszę przełożyć go na codzienną mowę.

W tym konkretnym przypadku Fundacja jest dopiero na początku drogi prowadzącej do Nowego Imperium. W porównaniu z wami, sąsiednie królestwa są wciąż znacznie silniejsze, zarówno pod względem liczby ludności, jak i zasobów naturalnych. Za nimi rozciąga się nieprzebyta dżungla barbarzyństwa, która pokryła całą Galaktykę. W jej środku znajduje się to, co pozostało z Imperium Galaktycznego i aczkolwiek są to mizerne szczątki dawnej świetności, to jednak jest to w dalszym ciągu państwo, z którym nie może się równać żadne inne.

W tym miejscu Hari Seldon wziął do ręki książkę i otworzył ją. Jego twarz przybrała wyraz uroczystej powagi.

— I nigdy nie zapominajcie o tym, że osiemdziesiąt lat temu została założona również inna fundacja, która znajduje się na drugim końcu Galaktyki. Będą tam zawsze, na wszelki wypadek. Panowie, przed wami dziewięćset dwadzieścia lat Planu. To jest wasze zadanie. Biercie się do roboty!

Pochylił się nad książką i znikł, a lampy znów zajaśniały pełnym blaskiem. Wśród powstałej wrzawy Yohan Lee szepnął Hardinowi do ucha:

— Nie powiedział, kiedy wróci.

— Tak — odparł Hardin — ale mam nadzieję, że stanie się to dopiero wtedy, kiedy obaj będziemy już od dawna spokojnie spoczywali w grobie.

CZEŚĆ IV
HANDLARZE

1

» Handlarze — [...] a politycznej ekspansji Fundacji stale torowali drogę Handlarze, przemierzając bezkresne przestrzenie Peryferii i zapuszczając wszędzie swe macki. Miesiącami, a nawet latami nie oglądali Terminusa. Ich statki były często gratami naprawionymi chałupniczym sposobem i skleconymi z przeróżnych części, ich uczciwość daleka była od wzorcowej, ich odwaga [...]

Mimo to stworzyli imperium trwalsze niż pogrążone w pseudoreligijnym despotyzmie Cztery Królestwa [...]

Można bez końca snuć opowieści o tych krzepkich, samotnych wędrowcach, których maksymę stanowiło, brane przez nich pół żartem, pół serio, powiedzenie Salvora Hardina: „Nie daj się nigdy odwieść swoim zasadom moralnym od zrobienia tego, co słuszne”. Trudno jest obecnie ustalić, ile w tych opowieściach prawdy, a ile zmyślenia. Prawdopodobnie każda z nich jest w większym lub mniejszym stopniu przesadzona [...]

Encyklopedia Galaktyczna

Limmar Ponyets namydlił się właśnie od stóp do głów, kiedy jego odbiornik zasygnalizował rozmowę, co dowodzi, że stare porzekadło o związkach telefonów z kąpielą okazuje się prawdziwe nawet w surowej i mrocznej przestrzeni Peryferii.

Na szczęście ta część niezależnego statku handlowego, która nie jest przeznaczona na skład przeróżnych towarów, jest niezwykle ciasna. Wystarczy powiedzieć, że prysznic, nawet z gorącą wodą, znajduje się w klitce o wymiarach dwie na cztery stopy, dziesięć stóp od urządzeń kontrolnych statku. Ponyets słyszał zupełnie wyraźnie miarowe trzeszczenie odbiornika.

Ociekając mydlinami i klnąc pod nosem, wyszedł spod prysznica, aby nastawić głos. Trzy godziny później do statku Ponyetsa przycumował inny statek handlowy i uśmiechnięty od ucha do ucha młodzik przelazł przez kanał powietrzny między statkami.

Ponyets podsunął mu z hałasem swoje najlepsze krzesło i usadowił się na obrotowym fotelu pilota.

— Co ty wyprawiasz, Gorm? — spytał ponurym głosem. — Gonisz za mną od samej Fundacji?

Les Gorm wyciągnął papierosa i przecząco pokręcił głową.

— Ja? Też coś! Masz przed sobą frajera, który musiał wylądować na Glyptalu IV dzień po pocście. No i posłali mnie z tym za tobą.

Malutka, błyszcząca kulka przeszła z rąk do rąk. Gorm dodał:

— To poufne. Supertajne. Nie do wysłania w eter, i tak dalej. Tak mi się przynajmniej wydaje. Tak czy inaczej, to osobista kapsułka i otworzy się tylko w two-

ich rękach.

Ponyets przyglądał się kulce z wyraźną niechęcią.

— To widzę. Ale jeszcze się nie zdarzyło, żeby któraś z nich zawierała dobre wieści.

Kapsułka otworzyła się w jego dłoni i wysunął się z niej zwój cienkiej, przezroczystej taśmy, która rozwinęła się i natychmiast zeszywniała. Ponyets przebiegł szybko wzrokiem napis na taśmie, bo kiedy ukazał się jej koniec, początek już zbrązowiał i skurczył się. Nie minęło półtorej minuty, a taśma szerniała i rozsypała się w proch. Ponyets jęknął głucho:

— O, Galaktyko!

Les Gorm spytał cicho:

— Może w czymś pomóc? A może to zbyt tajne?

— Mogę ci powiedzieć, bo należysz do gildii. Muszę lecieć na Askonę.

— Na Askonę? Jak to?

— Przyskrzynili handlarza. Ale zachowaj to dla siebie. Gorm zmarszczył się gniewnie.

— Uwięzili? To jest wbrew konwencji.

— Tak samo, jak mieszanie się do spraw wewnętrznych.

— Uuuu! To taka sprawa? — Gorm zaczął się głośno zastanawiać. — Co to za jeden? Znam go?

— Nie — uciął krótko Ponytes, a Gorm zrozumiał, że dość pytań i zamilkł.

Ponytes wstał i spojrzał ponuro na ekran. Wymruczał parę mocnych słów pod adresem tej partii mglistego, soczewkowatego kształtu, która była główną częścią Galaktyki, a potem rzekł głośno:

— Niech to szlag! Nie wyrobiłem normy. Gorm doznał nagłego olśnienia:

— Hej, stary! Askona to obszar zamknięty.

— Zgadza się. Nie sprzedasz tam nawet marnego scyzoryka. Nie ma mowy, żeby kupili jakieś urządzenie atomowe. To samobójstwo lecieć tam z towarem.

— Nie możesz się od tego wymigać? Ponyets pokręcił głową.

— Znam gościa, który się w to wpakował.

Nie mogę zostawić kumpla. A zresztą jestem w rękach Ducha Galaktyki i mogę bez obaw iść tam, gdzie mi wskaże.

— Co? — spytał zdumiony Gorm. Ponyets spojrzał na niego i roześmiał się.

— Zapomniałem. Nigdy nie czytałeś *Księgi Ducha*, co?

— Pierwsze słyżę — odrzekł krótko Gorm.

— No cóż, wiedziałbyś o co chodzi, gdybyś miał studia z teologii.

— Studia z teologii? Dla kapłanów? — Gorm był zupełnie zaszokowany.

— Niestety. To moja wstydliva tajemnica. Chociaż w pewnym momencie „wielebni ojcowie” mieli mnie już powyżej uszu. No i wywalili mnie, a powody, z których to zrobili wystarczyły, żeby zostawiony do świeckiej szkoły

w Fundacji. No, słuchaj, chyba lepiej już polecę. Jak tam z twoją normą w tym roku?

Gorm zgniótł niedopałek i poprawił czapkę.

— Lecę teraz z ostatnim ładunkiem. Wyrobię się.

— Szczęściarz — mruknął ponuro Ponyets i przez wiele minut po wyjściu Gorma siedział nieruchomo, pogrążony w rozmyślaniach.

A więc Eskel Gorov był na Askonie — a do tego w więzieniu! Niedobrze. Prawdę mówiąc, było gorzej niż mogłoby się wydawać komuś niewtajemniczonymu. Co innego przedstawić wścibskiemu młodzikowi część historii, aby go spławić, a co innego spojrzeć prawdzie w oczy.

Bo też Limmar Ponyets był jedną z tych paru osób, które przypadkiem wiedziały, że handlarz Eskel Gorov wcale nie był tym, za kogo się podawał, lecz agentem Fundacji!

2

Minęły dwa tygodnie. Zmarnowane tygodnie.

Tydzień zajęło dotarcie do Askony, na granicy której okrążyły go czujne statki wojenne. Jakikolwiek był ich system wykrywania — jedno nie ulegało wątpliwości — działał, i to dobrze.

Otoczyły go bez żadnego ostrzeżenia i utrzymując chłodny dystans, kierowały bezceremonialnie w stronę głównego słońca Askony.

Gdyby chciał, Ponyets mógłby sobie z nimi łatwo poradzić. Były to co prawda statki pozostałe po leżącym w gruzach Imperium Galaktycznym, ale były to statki sportowe, nie wojenne. Nie miały broni jądrowej. Ale w ich rękach znajdował się Eskel Gorov, a nie był on zakładnikiem, którego można było poświęcić. Askończycy musieli o tym wiedzieć.

Drugi tydzień zajęły poszukiwania dojścia do Wielkiego Mistrza, odgradzonego od świata tłumem urzędników różnych szczebli. Każdemu z nich trzeba było schlebiać i kadzić, każdego trzeba było jakoś zjednać. Zanim którykolwiek zdecydował się złożyć na papierach Ponyetsa wymyślny i zamaszty podpis, trzeba było solidnie się napocić. A podpis taki był zaledwie przepustką do następnego, wyższego o szczebel urzędnika.

Po raz pierwszy w swej karierze Ponyets stwierdził, że papiery handlarza na nic się nie zdadzą.

W końcu znalazł się przed złoconymi drzwiami, za którymi rezydował Wielki Mistrz. Po obu stronach stały strażę.

Gorov był nadal w więzieniu, a towar Ponyetsa od dwóch tygodni pokrywał się kurzem w ładowniach jego statku.

Wielki Mistrz był małym człowieczkiem o łysiejącej głowie i bardzo pomarszczonej twarzy. Ogromny kołnierz z lśniącego futra zdawał się przytłaczać go swym ciężarem i krępować swobodę ruchów.

Poruszył nieznacznie palcami i rząd uzbrojonych strażników odsunął się do tyłu, robiąc przejście dla Ponyetsa. Ponyets wielkimi krokami podszedł do podnóża tronu.

— Tylko nic nie mów! — warknął Wielki Mistrz i Ponyets, który już otwierał usta, zamknął je z powrotem.

— Dobrze — powiedział władca Askony i wyprostował się z ulgą, — Nie znoszę niepotrzebnej gadaniny. Nie możesz mi niczym zagrozić, a pochlebstw nie cierpię. O skargach nie ma mowy. Wiele razy ostrzegaliśmy, że nie chcemy na Askonie waszych diabelskich wynalazków.

— Panie — rzekł cicho Ponyets — nie mam najmniejszego zamiaru usprawiedliwiać tego handlarza. Nie mamy zwyczaju pchać się tam, gdzie nas nikt nie prosi. Ale Galaktyka jest wielka i zdarzyło się już nie raz, że ktoś przekroczył granicę jakiegoś państwa nie zdając sobie z tego sprawy. To pożałowania godna pomyłka.

— Oczywiście, że to pożałowania godne — zaskrzeczał Wielki Mistrz. — Ale pomyłka? Nie minęły dwie godziny, jak schwytaliśmy tego bezbożnego łotra, a już wasi ludzie z Glyptala IV zaczęli mnie zarzucać prośbami o rozmowy. Twoje przybycie zapowiadano wielokrotnie. Wygląda to na dobrze zorganizowaną pomoc. Wiele wskazuje na to, że byliście dobrze przygotowani na taką okoliczność — za dobrze, żeby to mogła być pomyłka, bez względu na to, czy uważasz ją za pożałowania godną czy nie.

W czarnych oczach Askończyka widać było szydercze błyski. Mówił dalej:

— Wy, handlarze, latacie z planety na planetę jak głupie muchy. Czy jesteście jednak takimi głupcami, żeby spodziewać się, że gdy wylądujecie w samym sercu Askony, na największej planecie, to ktoś wam uwierzy, że to pomyłka? Na pewno nie.

Ponyets zaklął w duchu. Powiedział, nie dając za wygraną:

— Czcigodny panie, jeżeli zrobił to celowo, z zamiarem sprzedania tu swych towarów, to postąpił nad wyraz nieroztropnie i wbrew surowym przepisom naszej gildii.

— Tak, nieroztropnie — rzekł szorstko Askończyk. — Na tyle nieroztropnie, że zapłaci za to życiem.

Żołądek podszedł Ponyetsowi do gardła. W głosie Wielkiego Mistrza nie było ani śladu niezdecydowania. Rzekł:

— Śmierć, czcigodny panie, jest tak ostatecznym i nieodwracalnym rozwiązaniem, że z pewnością musi być jakaś alternatywa.

Po chwili milczenia Wielki Mistrz powiedział ostrożnie:

— Słyszałem, że Fundacja jest bogata.

— Bogata? Oczywiście. Ale wy nie chcecie przyjąć naszych bogactw. Nasze towary atomowe są warte. . .

— Wasze towary nie są nic warte, gdyż nie mają błogosławieństwa naszych przodków. Wasze towary są złe i przeklęte, gdyż spoczywa na nich klątwa naszych przodków.

Słowa te zostały wymówione z intonacją charakterystyczną dla kogoś, kto recytuje dobrze znaną i często wypowiedaną formułę.

Wielki Mistrz opuścił powieki i spytał:

— Nie macie nic innego?

Ale znaczenie tych słów było dla handlarza zagadką.

— Nie rozumiem — odparł. — Co pan chce otrzymać, wasza czcigodność? Askończyk rozłożył ręce.

— Proponujesz, żebyśmy zamienili się rolami, Ja miałbym ci powiedzieć, czego chcę? Nic z tego. Wydaje się, że twój kolega będzie musiał ponieść karę, którą kodeks askoński przewiduje za świętokradztwo. Śmierć w komorze gazowej. U nas panuje sprawiedliwość. W podobnym przypadku najędźniejszy wieśniak nie otrzymałby wyższej kary, a ja sam — niższej.

Ponyets wymamrotał z rozpaczą:

— Wasza czcigodność, czy mogę otrzymać pozwolenie na rozmowę z więźniem?

— Prawo askońskie — rzekł zimno Wielki Mistrz — nie zezwala na porozmiewanie się z więźniami.

Ponyets wziął głęboki oddech i rzekł:

— Wasza czcigodność, proszę o litość nad duszą tego biedaka, który niedługo rozstanie się z tym światem. Od chwili, kiedy jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie, jest on pozbawiony pociechy duchowej. A teraz grozi mu, że odejdzie nieprzygotowany na łono Ducha, który włada wszystkim.

Wielki Mistrz rzekł wolno i podejrzliwie:

— Niesiesz pociechę duchową? Ponyets pokornie spuścił głowę.

— Tak mnie nauczono. Pośród pustych przestworów przestrzeni wędrowni handlarze potrzebują ludzi takich jak ja, którzy dbają o duchową stronę ich życia, tak bardzo oddanego pogoni za zyskiem i doczesnymi dobrami.

Władca Askony przygryzł w zadumie wargę.

— Każdy winien przygotować swą duszę na podróż do duchów ojców. Mimo to nigdy nie podejrzewałem, że wy, handlarze, jesteście ludźmi wierzącymi.

3

Eskel Gorov leniwie poruszył się na swej pryczy i otworzył jedno oko, gdy Limmar Ponyets wkraczał do celi. Ciężkie drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem.

Gorov coś wymamrotał i zerwał się na nogi.

— Ponyets! Przyszli cię?

— Czysty przypadek — rzekł gorzko Ponyets — albo sprawka mającego mnie na oku złośliwego ducha. Pozycja pierwsza — wpadłeś w tarapaty na Askonie. Pozycja druga — akurat w tym czasie mój szlak handlowy, o czym wie Zarząd Handlu, wiedzie o pięćdziesiąt parseków od Askony. Pozycja trzecia — pracowaliśmy przedtem razem i Zarząd o tym też wie. Czy nie układa się to logicznie w piękną całość? Wciskasz tylko odpowiednie klawisze i gotowa odpowiedź wyskakuje z dziurki.

— Uważaj — rzekł Gorov, rozglądając się czujnie. — Na pewno jesteśmy na podsłuchu. Masz zniekształcaasz pola?

Ponyets wskazał na grawerowaną bransoletkę na przegubie i Gorov odetchnął.

Ponyets rozejrzał się. Cela miała nagie ściany, ale była przestronna i dobrze oświetlona i nie było w niej przykrych zapachów.

— Nie tak źle — rzekł — Cackają się z tobą. Gorov puścił to mimo uszu.

— Słuchaj, jak się tu dostałeś? Prawie od dwóch tygodni trzymają mnie w odosobnieniu.

— Od czasu, jak przyleciałem, co? Wydaje się, że ten cwaniak, który tu jest szefem, ma słabe punkty. Można go wziąć na pobożne gadki, więc skorzystałem z tej szansy. Jestem tu w charakterze twego duchowego doradcy. Jest coś dziwnego w takich pobożnych facetach jak on. Jeśli mu się spodoba, to poderżnie ci gardło bez mrugnięcia okiem, ale za nic nie narazi na szwank twojej bezcielesnej i problematycznej duszy. W takiej sytuacji przydaje się praktyczna znajomość psychologii. Handlarz musi znać się po trochu na wszystkim.

Gorov uśmiechnął się sardonicznie.

— No, byłeś przecież w szkole teologicznej. Masz rację, Ponyets. Cieszę się, że to właśnie ciebie przyszli. Ale Wielki Mistrz troszczy się nie tylko o moją duszę. Mówił ci coś o okupie?

Oczy Ponyetsa zwęziły się.

— Coś niejasno napomykał. A także groził śmiercią w komorze gazowej. Wołałem nie ryzykować i wykręciłem się — w końcu to mogła być pułapka. A więc tu chodzi o okup, tak? A co to ma być?

— Złoto.

— Złoto? — Ponyets zmarszczył brwi. — Sam metal? Po co?

— To ich środek płatniczy.

— Naprawdę? A skąd ja wezmę złoto?

— Skąd tylko możesz. Słuchaj mnie, to ważne. Dopóki Wielki Mistrz ma nadzieję dostać złoto, nic mi się nie stanie. Obiecuj mu, że dostanie tyle, ile będzie chciał. A potem, jeśli będzie trzeba, wracaj do Fundacji. Kiedy mnie uwolnią, odeskortują nas do granicy układu i wtedy się rozstaniemy.

Ponyets spojrział na niego z dezaprobatą.

— A potem wrócisz tu i zaczniesz od nowa.
— Mam zadanie sprzedać Askonie urządzenia atomowe.
— Złapią cię, zanim zdążysz przelecieć jeden parsek. Myślę, że wiesz o tym.
— Nie — odparł Gorov. — A gdyby nawet, to i tak nie zmienię moich zamiarów.

— Następnym razem zabiją cię. Gorov wzruszył ramionami. Ponyets rzekł spokojnie:

— Jeśli mam znowu targować się z Wielkim Mistrzem o twoją skórę, to muszę znać całą prawdę. Na razie poruszam się po omacku. Kilka moich niewinnych uwag o mało nie wprawiło Jego Czcigodność we wściekłość.

— Sprawa jest prosta — powiedział Gorov. — Jedyne sposoby, żeby zapewnić Fundacji bezpieczeństwo na Peryferiach to utworzyć imperium handlowe, na które będziemy mieć wpływ za pomocą religii. Na razie jesteśmy za słabi, żeby zdobyć władzę polityczną. To wszystko, co możemy zrobić, żeby utrzymać Cztery Królestwa w ryzach.

Ponyets pokiwał głową.

— Rozumiem. System, który nie przyjmie urządzeń jądrowych, nie znajdzie się nigdy pod kontrolą naszej religii. . .

— I może stać się ośrodkiem walki o samostanowienie i działań wymierzonych przeciw Fundacji.

— No, dobrze — powiedział Ponyets — starczy już teorii. A teraz powiedz, co konkretnie stoi na przeszkodzie. Ich religia? Tak wywnioskowałem z tego, co mówił Wielki Mistrz.

— To forma kultu przodków. Ich podania mówią o złych czasach, które udało im się przetrwać tylko dzięki prostoduszności i cnotom ich bohaterskich przodków. Jest to po prostu zniekształcony obraz anarchii sprzed stu lat, kiedy to udało im się wypędzić oddziały Imperium i utworzyć własny rząd. Zaawansowana nauka i energia jądrowa kojarzą im się z dawnym reżimem, który wspominają z przerażeniem.

— A więc to tak? Ale mają przecież ładne statki, które całkiem zgrabnie przejęły mnie dwa parseki stąd. To mi pachnie energią jądrową.

Gorov wzruszył ramionami.

— Te statki to spadek po Imperium. Prawdopodobnie mają napęd jądrowy. Co zostało, to trzymają. Chodzi o to, że nie mają ochoty na żadne innowacje, a ich gospodarka w najmniejszym stopniu nie korzysta z energii jądrowej. I to właśnie musimy zmienić.

— Jak chciałeś to zrobić?

— Wystarczy choćby mały wyłom. Krótko mówiąc, gdyby udało mi się sprzedać jakiemuś arystokracie choćby zwykły scyzoryk działający na zasadzie pola siłowego, to byłoby w jego interesie tak zmienić prawo, żeby mógł go używać legalnie. Może wyda ci się to idiotyczne, ale z psychologicznego punktu widzenia

to nie jest takie głupie. Strategiczne transakcje w strategicznych miejscach — to wystarczy, żeby na dworze powstało stronnictwo proatomowe.

— I to ciebie wysłali w tym celu? A ja znalazłem się tu tylko po to, żeby cię wykupić i żebyś mógł dalej próbować, co? Czy to nie jest stawianie sprawy na głowie?

— A to dlaczego — spytał podejrzliwie Gorov.

— Słuchaj — Ponyets nagle się zirytował — jesteś dyplomata, a nie handlarzem. Żeby zostać handlarzem, nie wystarczy tak się nazwać. To jest sprawa dla kogoś, kto zjadł zęby na handlowaniu — a tymczasem ja siedzę tu z całym towarem, patrzę jak się bezużytecznie marnuje, i wygląda na to, że nigdy nie wyrobię swojej normy.

— Chcesz powiedzieć, że masz zamiar narazić życie dla czegoś, co cię nie obchodzi? — zapytał Gorov z bladym uśmiechem.

— Chcesz powiedzieć, że to obowiązek patriotyczny, a handlarze nie są patriotami? — odparował Ponyets.

— Oczywiście, że nie są. Pionierzy nigdy nie są patriotami.

— Zgoda. Masz rację. Nie mam zamiaru uganiać się po całej przestrzeni, żeby ocalić Fundację i tak dalej. Ale latam po to, żeby zarobić, a tu akurat jest okazja. Jeśli przy tej sposobności pomogę Fundacji, to tym lepiej. A jeśli chodzi o narażanie życia, to zdarzało mi się już bardziej ryzykować.

Ponyets wstał, a za nim podniósł się Gorov.

— Co chcesz zrobić? Handlarz uśmiechnął się.

— Jeszcze nie wiem. Ale jeśli problem polega na tym, żeby coś tu sprzedać, to ja jestem właściwym człowiekiem. Nie lubię się chwalić, ale powiem ci, że jeszcze mi się nie zdarzyło, żebym nie wyrobił normy.

Kiedy zapukał, drzwi celi otworzyły się niemal natychmiast i wpadło dwóch strażników.

4

— Pokaż! — rzekł ponuro Wielki Mistrz. Opatulił się w swoje futra, wystawiając tylko jedną chudą dłoń, która spoczywała na żelaznej palce służącej mu za laskę.

— I złoto, wasza czcigodność.

— I złoto — powtórzył niedbale Wielki Mistrz.

Ponyets postawił pudełko i otworzył je, starając się przybrać jak najbardziej pewny siebie wyraz twarzy. Był zupełnie sam wobec otaczającej go wrogości. Czuł się dokładnie tak samo jak w pierwszym roku podróży w przestrzeni. Otaczający go półkolem brodaci doradcy Wielkiego Mistrza patrzyli na niego nieprzyjaźnie. Znajdował się wśród nich Pherl, faworyt Mistrza, który siedział obok

władcy z wyrazem nieprzejednanej wrogości na twarzy. Ponyets miał okazję spotkać go już wcześniej. Od razu wyczuł w nim swego największego wroga i właśnie dlatego postanowił zastawić na niego sidła.

Na zewnątrz stała w gotowości armia. Ponyets nie mógł nawet marzyć o tym, że uda mu się dostać na statek. Był bez broni i mógł liczyć jedynie na to, że uda mu się przekupić Wielkiego Mistrza. Poza tym Gorov wciąż był zakładnikiem.

Podregulował jeszcze toporne urządzenie, nad którego skonstruowaniem łamał sobie głowę przez tydzień. Modlił się w duchu, żeby obudowany ołowiem kwarc wytrzymał próbę.

— Co to jest? — spytał Wielki Mistrz.

— To jest — odparł Ponyets odsuwając się od stołu — urządzenie, które sam skonstruowałem.

— To widać, ale nie takiej informacji chciałem. Czy to jest jedna z tych paskudnych czarnoksiężskich sztuczek z waszego świata?

— Istota jego działania polega na wykorzystaniu energii jądrowej — przyznał z powagą Ponyets — ale nikt z was nie musi go dotykać. To urządzenie jest tylko dla moich potrzeb i jeżeli jest w nim coś paskudnego, to odpowiedzialność za to spada na moją głowę.

Wielki Mistrz groźnie wznosił swą żelazną pałkę nad maszynką Ponyetsa, a jego wargi poruszyły się szepcząc zaklęcie odpędzające urok. Bładolicy faworyt nachylił się ku niemu, muskając rzadkim rudym wąsikiem jego ucho. Wielki Mistrz z rozdrażnieniem odsunął głowę.

— A jaki związek ma to urządzenie Złego ze złotem, które może ocalić twego rodaka od śmierci?

— Przy pomocy tej maszyny — zaczął Ponyets wkładając ręce do głównej komory i gładząc jej twarde, obłe ścianki — mogę przemienić żelazo, którym gardzicie, w złoto najwyższej próby. To jedyne znane człowiekowi urządzenie, wasza czcigodność, które może zamienić żelazo — to brzydkie żelazo, które tworzy szkielet konstrukcji krzesła waszej czcigodności i podtrzymuje ściany tego budynku — w lśniące, żółte złoto.

Ponyets czuł, że knoci sprawę. Normalnie nie miał żadnych kłopotów z zachwalaniem towaru — mówił z łatwością, gładko i przekonywująco, ale tym razem nie wychodziło mu. Jednakże Wielkiego Mistrza interesowała treść, nie forma.

— Ach tak? Już niejeden głupiec chwalił się, że to potrafi. Wszyscy zapłacili za swe beczelne i oburzające świętokradztwo.

— Czy któremuś się udało?

— Nie — Wielki Mistrz wydawał się mówić z chłodną satysfakcją. — Gdyby się któremuś udało, to tym samym odkupiłby swoje przestępstwo. Zgubne dla winowajcy są tylko te próby, które kończą się niepowodzeniem. No, zobaczmy, co zrobisz z moją laską — walnął nią o podłogę.

— Proszę mi wybaczyć, wasza dostojność. Moje urządzenie to tylko model o małych wymiarach i sporządzony przeze mnie naprędce... Laska waszej dostojności jest za długa.

Wielki Mistrz powiódł wzrokiem po zebranych.

— Randel, twoje sprzączki! No, ruszaj się, jeśli będzie trzeba, zwrócę ci to w dwójnasób.

Podawane z ręki do ręki, sprzączki powędrowały w stronę Wielkiego Mistrza. Mistrz ważył je przez chwilę w rękę.

— Masz! — powiedział i rzucił je Ponyetsowi pod nogi.

Ponyets podniósł sprzączki. Musiał się porządnie namęczyć, zanim otworzył cylinder. Mrużąc z napięcia oczy, starał się je umieścić dokładnie pośrodku anodowego ekranu. Później pójdzie łatwiej, ale za pierwszym razem nie może sobie pozwolić na żaden błąd.

Przez dziesięć minut transmutator wydawał złowrogie trzaski. W powietrzu unosił się lekki zapach ozonu. Pomrukując, Askończycy odsunęli się na bezpieczną odległość, a Pherl znowu szeptał coś natarczywie do ucha władcy. Twarz Wielkiego Mistrza zastygła jak kamień. Nie drgnął w niej nawet jeden mięsień.

Żelazo przemieniło się w złoto!

Ponyets wyjął sprzączki i wyciągnął je w stronę Wielkiego Mistrza, mrużąc „wasza dostojność”. Starzec zawahał się, a potem zrobił przeczący ruch dłonią. Nie mógł oderwać oczu od transmutatora.

Ponyets rzekł szybko:

— Panowie, oto złoto. Szczere złoto. Jeżeli chcecie się upewnić, możecie je poddać dowolnej, chemicznej czy fizycznej próbie. W niczym nie różni się ono od złota naturalnego. Można to zrobić z dowolnym kawałkiem żelaza. Nie przeszkadza ani rdza, ani nawet mała domieszka innych metali.

Ale Ponyets mówił tylko po to, aby wypełnić ciszę. Złote sprzączki leżące na jego wyciągniętej dłoni były najlepszym argumentem.

W końcu Wielki Mistrz wysunął z ociąganiem rękę, co pobudziło Pherla do otwartego sprzeciwu.

— Wasza dostojność, to złoto z nieczystego źródła. Ponyets natychmiast odparł atak.

— Wasza dostojność, róża może przecież wyrosnąć nawet na błocie. Utrzymując kontakty handlowe z sąsiadami i kupując od nich przeróżne towary, nie sprawdzacie przecież, skąd one pochodzą, czy są produktem starych maszyn, opatrzonych błogosławieństwem waszych czcigodnych przodków, czy też zrodzonych gdzieś w zakamarkach przestrzeni niegodziwych urzędów. Nie dają tej maszyny. Dają złoto.

— Wasza dostojność — rzekł znowu Pherl — nie odpowiada za grzechy cudzoziemców, którzy działają bez zgody i wiedzy waszej dostojności. Ale przyjecie

tego niesamowitego pseudozłota wyprodukowanego w obecności Waszej dostojności sprawiłoby ból wiecznie żywym duchom naszych świętych przodków.

— Tym niemniej złoto to złoto — powiedział niezdecydowanie Wielki Mistrz. — A poza tym to tylko okup za pogańską duszę uwięzionego przez nas złoczyńcy. Przesadzasz, Pherl.

Mimo to cofnął rękę.

— Wasza dostojność jest wcieleniem mądrości — rzekł Ponyets. — Proszę zważyć — wydanie poganina nie da nic waszym przodkom, natomiast za złoto, które dostaniecie w zamian, możecie upiększyć świątynie będące przybytkami ich świętych dusz. Zresztą gdyby nawet to złoto zawierało w sobie zło, to niechybnie całe zło zniknęłoby bez śladu, gdyby metal ten został użyty w tak zbożnym celu.

— Na kości moich przodków! — zawołał Wielki Mistrz z dziwną gwałtownością i roześmiał się piskliwie. — I co na to powiesz, Pherl? Jego słowa są prawdziwe. Tak prawdziwe, jak słowa moich przodków.

— Tak by się wydawało — odparł Pherl ponuro. — Kto może zaręczyć, że to nie jest podstęp Złego Ducha?

— Ja — rzekł nagle Ponyets. — Weźcie to złoto na próbę i złożcie w ofierze na ołtarzach przodków. Jeśli w ciągu trzydziestu dni ich dusze nie objawią w żaden sposób swego niezadowolenia, jeśli nie zdarzy się żadne nieszczęście, to będzie to znak, że ofiara została przyjęta. Czy można zaproponować lepszą próbę?

Kiedy Wielki Mistrz powstał, ucinając w ten sposób dalszą dyskusję, nikt spośród członków rady nie miał wątpliwości, że jest to znak jego zgody na propozycję Ponyetsa. Nawet Pherl skinął lekko głową, przygryzając tylko nieznacznie wargi.

Ponyets uśmiechnął się do siebie i oddał się rozmyśleniom nad pożytkiem płynącym z wykształcenia teologicznego.

5

Minął jeszcze tydzień zanim udało się zaaranżować spotkanie z Pherlem. Ponyets był napięty, ale przez czas pobytu na Askonie zdążył już przywyknąć do uczucia fizycznej niemożności. Za granice miasta odprowadziła go straż. Teraz, w podmiejskiej willi Pherla, również był pod strażą. Ponieważ nie można było na to nic poradzić, trzeba się było pogodzić z sytuacją i nawet nie oglądać się za siebie.

Pherl wydał się Ponyetsowi wyższy i młodszy niż za pierwszym razem, kiedy stał w kręgu Rady Starszych. W sportowym ubraniu w ogóle nie wyglądał na członka Rady.

Powiedział szorstko:

— Dziwny z pana człowiek. Przez cały ostatni tydzień, a szczególnie przez ostatnie dwie godziny, nie robi pan nic innego tylko usiłuje mnie pan przekonać,

że potrzebuję złota. To zupełnie zbyteczne, bo czy ktoś go nie potrzebuje? Dlaczego nie posunie się pan o krok dalej?

— Tu nie chodzi tylko o złoto — powiedział ostrożnie Ponyets. — Nie tylko o złoto. Nie o parę monet, lecz raczej o to wszystko, co się za tym kryje.

— A co może się kryć za złotem? — uśmiechając się krzywo, Pherl starał się pociągnąć Ponyetsa za język. — Myślę, że to nie jest wstęp do kolejnego niezdarnego pokazu.

— Niezdarnego? — Ponyets zmarszczył lekko brwi.

— Oczywiście — Pherl złożył dłonie i potarł nimi lekko podbródek. — To nie jest zarzut. Jestem przekonany, że ta niezdarność była zamierzona. Przestrzegalbym przed tym Wielkiego Mistrza, gdybym w porę domyślił się pana zamiarów. Gdybym był na pana miejscu, zrobiłbym złoto na statku i przyniósł gotowe. W ten sposób oszczędziłby pan sobie i nam i tego pokazu, i niechęci, którą pan wzbudził.

— To prawda — przyznał Ponyets — ale ponieważ to byłem ja, a nie pan, wolałem zaryzykować i narazić się na niechęć, żeby tylko wzbudzić w was zainteresowanie.

— Ach, więc to o to chodziło? Tylko o to? — Pherl nie starał się nawet ukryć pogardliwego uśmiechu. — Przypuszczam, że zaproponował pan trzydziestodniowy okres próbny, aby zyskać czas na zainteresowanie nas czymś nieco istotniejszym. A co będzie, jeśli okaże się, że to złoto jest nieczyste?

W odpowiedzi Ponyets pozwolił sobie na ironię:

— W sytuacji kiedy jego ocena zależy od tych, którzy są najbardziej zainteresowani tym, żeby było czyste?

Pherl podniósł wzrok i popatrzył uważnie na handlarza. Wydawał się jednocześnie zdziwiony i zadowolony.

— Rozsądna uwaga. A teraz niech pan powie, czym pan chciał mnie zainteresować?

— Już mówię. Przez ten krótki czas, od kiedy tutaj jestem, zwróciłem uwagę na pewne fakty, dotyczące pana, które mnie zainteresowały. Na przykład na to, że jest pan młody — bardzo młody, jak na członka Rady, a poza tym, że pochodzi pan ze względnie młodego rodu.

— Nie podoba się panu mój ród?

— Bynajmniej. Miał pan wielkich i świętych przodków — każdy to przyzna. Ale niektórzy mówią, że nie wywodzi się pan z żadnego z Pięciu Plemion.

Pherl przechylił się do tyłu.

— Pozostając z całym szacunkiem dla tych, o których pan mówi — powiedział zjadliwie — trzeba stwierdzić, że lędźwie członków pięciu Plemion nie są już zdolne do dawania życia, a w ich żyłach płynie zła krew. Nie zostało już nawet pół setki ludzi należących do tych rodów.

— Tym niemniej są tacy, którzy mówią, że naród nie życzy sobie na Wielkiego Mistrza nikogo spoza Pięciu Plemion. Mówi się też, że tak młody i niedawno

wyniesiony faworyt Wielkiego Mistrza musi mieć wrogów wśród wielkich panów. Jego dostojność starzeje się, a jego protekcja skończy się z chwilą jego śmierci, kiedy to niewątpliwie któryś z pańskich wrogów będzie wyjaśniał znaczenie słów jego ducha.

Pherl spojrział groźnie na Ponyetsa.

— Jak na cudzoziemca, dużo pan słyszy. Takie uszy aż się proszą o przycięcie.

— O tym można będzie zdecydować później.

— Spróbuję zgadnąć — Pherl wiercił się niecierpliwie na krześle. — Chce mi pan zaofiarować bogactwo i siłę w zamian za przyjęcie przeze mnie tych diabelskich maszyn, które ma pan na statku, tak?

— Załóżmy, że tak. Co stałoby na przeszkodzie, żeby skorzystał pan z mojej oferty? Tylko normy dobra i zła?

Pherl potrząsnął głową.

— Bynajmniej. Słuchaj, cudzoziemcze, w swoim pogańskim agnostycyzmie możesz sobie o nas myśleć, co chcesz... ale nie jestem takim niewolnikiem naszych wierzeń, jak ci się wydaje. Jestem, szanowny panie, człowiekiem wykształconym i — myślę — oświeconym. Ścisłe przestrzeganie naszych zwyczajów religijnych, w sensie rytualnym raczej niż etycznym, jest dobre dla nas.

— A więc co stoi na przeszkodzie? — naciskał łagodnie Ponyets.

— Właśnie to — masy. Mógłbym coś od pana kupić, ale żeby mieć jakiś pożytek z waszych maszynek, trzeba ich używać. W jaki sposób miałbym się wzbogacić, gdybym musiał korzystać z tych... co to pan sprzedaje? No, na przykład z brzytwy, w ścisłej tajemnicy przed wszystkimi, drżąc ze strachu, że ktoś się o tym dowie? Nawet gdybym mógł się ogolić szybciej i dokładniej, to czy przez to stałbym się bogatszy? A jak udałoby mi się uniknąć śmierci z rąk rozwścieczonego tłumu albo w komorze gazowej, gdyby mnie ktoś przyłapał na używaniu takiej brzytwy?

Ponyets wzruszył ramionami.

— Ma pan całkowitą rację. Mógłbym co prawda wskazać sposób, jak zmienić sytuację — można by nauczyć ludzi, dla ich własnej wygody i pańskiej namacalnej korzyści, posługiwania się narzędziami atomowymi... Byłaby to gigantyczna praca, nie przeczę, ale też zyski byłyby równie gigantyczne. No, ale to pana zmartwienie, a nie moje. Bo ja nie oferuję panu ani brzytwy, ani noża, ani mechanicznego urządzenia do usuwania śmieci.

— A co?

— Złoto. Od razu złoto. Może pan mieć tę maszynkę, którą pokazałem w zeszłym tygodniu.

Pherl zeszywniał, a skóra na jego czole zaczęła drgać nerwowo.

— Transmutator?

— Tak. Miałby pan tyle złota, ile ma pan teraz żelaza. Myślę, że to wystarczy, żeby zaspokoić wszelkie życzenia. Wystarczy nawet, na przekór wrogom i mimo

młodego wieku, na zdobycie tytułu Wielkiego Mistrza. A przy tym jest to zupełnie bezpieczne.

— W jakim sensie?

— W takim, że z urządzenia tego można korzystać w największej tajemnicy — w takiej tajemnicy, jaka według pana gwarantuje bezpieczne korzystanie z urządzeń atomowych. Może pan ukryć transmutator w najgłębszym lochu swej najodleglejszej posiadłości, a i tak zdobędzie pan natychmiast bogactwo. Kupuje pan złoto, a nie maszynę, i to złoto, które nie nosi najmniejszego śladu transmutacji, bo w niczym nie różni się od naturalnego.

— A kto miałby obsługiwać tę maszynę?

— Pan. Wystarczy pięć minut, żeby się tego nauczyć. Zainstaluję ją tam, gdzie pan sobie życzy.

— A co pan chce w zamian?

— No — Ponyets zaczął ostrożnie — cena jest wysoka. Muszę zarabiać na życie. Powiedzmy... stopa sześcienna kutego żelaza za stopę złota.

Pherl roześmiał się, a Ponyets zdenerwował się. — Chciałbym zauważyć — rzekł chłodno — że zwróci się to panu w ciągu dwóch godzin.

— Tak, a za godzinę pan odleci i wtedy maszyna może się nagle okazać do niczego. Muszę mieć gwarancję.

— Ma pan moje słowo.

— Jest na pewno wiele warte — Pherl skłonił się z ironicznym uśmiechem — ale pana obecność byłaby jeszcze lepszą gwarancją. Daję swoje słowo, że zapłacę w ciągu tygodnia od dostarczenia maszyny gotowej do produkcji.

— To niemożliwe.

— Niemożliwe? Zdążył już pan zarobić na karę śmierci przez sam fakt zaproponowania mi kupna czegokolwiek. Jediną alternatywą jest moje słowo, że w przeciwnym wypadku zostanie pan skazany na komorę gazową.

Twarz Ponyetsa była bez wyrazu, ale w jego oczach pojawiły się dziwne błyski. Powiedział:

— To nieuczciwa gra. Da mi pan przynajmniej obietnicę na piśmie?

— Żeby się narazić na pewną śmierć? Nic z tego, mój panie! — Pherl uśmiechnął się z wyraźną satysfakcją. — Tylko jeden z nas jest durniem.

— A więc trudno — rzekł handlarz cicho. — Zgoda.

6

Po trzydziestu dniach uwolniono Gorova, a jego miejsce zajęło pięćset funtów najprawdziwszego złota. Razem z Gorovem uwolniono nietknięte, obłożone kwarantanną paskudztwo, czyli jego statek.

A potem, tak samo jak w czasie podróży do systemu Askony, odprowadzał ich rój lśniących stateczków.

Ponyets patrzył na statek Gorova, który z tej odległości i w blasku słońca wydawał się małą, mglistą plamką i słuchał jego czystego i wyraźnego głosu niesionego przez zwarty, niepodatny na zniekształcenia promień eteru.

Gorov mówił:

— Ale to nie jest to, czego nam trzeba, Ponyets. Transmutator nie wystarczy. Nawiasem mówiąc, skąd go wytrzasnąłeś?

— Znikąd — odparł cierpliwie Ponyets. — Zmajstrowałem go ze skrzynki ir-radiacji żywności. Prawdę mówiąc, jest niewiele wart. Przy produkcji na większą skalę zużywa tyle energii, że przestaje się to opłacać. W przeciwnym razie Fundacja już od dawna uzyskiwałaby ciężkie metale drogą transmutacji zamiast szukać ich po całej Galaktyce. To jedna z tych sztuczek, które zna każdy handlarz, tyle tylko, że jeszcze nie widziałem transmutatora do przemiany żelaza w złoto. Ale to robi wrażenie i działa... chociaż już niedługo.

— W porządku. Ale ta akurat sztuczka na nic się nie zdała.

— Wyciągnąłem cię dzięki temu z przykrego położenia.

— To nie ma nic do rzeczy. Tym bardziej, że muszę tam wracać jak tylko pozbędziemy się naszej troskliwej eskorty.

— Dlaczego?

— Sam to już wyjaśniłeś temu swojemu politykowi — zirytował się Gorov. — Cała ta transakcja opierała się na fakcie, że transmutator jest środkiem do osiągnięcia pewnego celu, ale sam w sobie nie ma żadnej wartości — że Pherl kupuje złoto, nie maszynę. Było to dobre zagranie psychologiczne, bo poskutkowało, ale...

— Ale co? — spytał ironicznie Ponyets. Głos płynący z odbiornika zabrzmiał ostro:

— Ale chcemy im sprzedać maszynę, która ma wartość sama w sobie, taką, której chcieliby używać otwarcie, taką, która skłoniłaby ich do przyjęcia techniki jądrowej dla ich własnej wygody.

— Wszystko to rozumiem — powiedział Ponyets łagodnie. — Już mi to kiedyś wyjaśniałeś. Ale zastanów się nad skutkami mojej transakcji. Dopóki transmutator będzie działał, Pherl będzie produkował złoto, a będzie on działał wystarczająco długo, żeby Pherl mógł sobie kupić wybór na Wielkiego Mistrza. Obecny nie pożyje długo.

— Liczysz na wdzięczność? — spytał zimno Gorov.

— Nie. Na dobrze pojęty interes. Transmutator zapewni mu wybór, a inne mechanizmy...

— Nie! Nie! Opierasz się na złej przesłance. On nie będzie pokładał wiary w transmutator, lecz w stare, dobre złoto. To właśnie próbuję ci powiedzieć.

Ponyets wyszczerzył zęby w uśmiechu i przyjął bardziej wygodną pozycję. No, dobrze. Już dość nadreńczył biedaka. Gorov zaczyna tracić panowanie nad sobą. Rzekł:

— Nie tak szybko, Gorov. Jeszcze nie skończyłem. Wchodzą w grę także inne urzędnicy.

Zapadła krótka cisza. Wreszcie Gorov spytał niepewnie:

— Jakie inne urzędnicy? Ponyets, automatycznie i zgoła niepotrzebnie, machnął ręką.

— Widzisz tę eskortę?

— Widzę — odparł krótko Gorov. — Powiedz mi, jakie to urzędnicy.

— Powiem... jeśli będziesz słuchać. Eskortuje nas prywatna flota Pherla... Wielki Mistrz wyświadczył mu ten honor. To znaczy, udało mu się to z niego wycisnąć.

— No i?

— A jak myślisz — dokąd nas wiodą? Do jego kopalń na krańcach Askony. Słuchaj! — Ponyets rzekł nagle porywczo: — Mówiłem ci, że pakuję się w to, żeby zarobić, a nie po to, żeby zbawiać światy. W porządku. Oddałem mu ten transmutator za nic. Za nic, jeśli nie liczyć ryzyka komory gazowej, a tego się nie wlicza do normy.

— Ponyets, wróć do tych kopalń. Z czym się to wiąże?

— Z zyskiem. Lecimy po cynę, Gorov. Po cynę, która zapełni każdą wolną stopę tego starego pudła i której zostanie jeszcze trochę dla ciebie. Zejdę z Pherlem, żeby ją zabrać, a ty będziesz mnie z góry osłaniał przy pomocy całej broni, jaką masz na pokładzie — na wypadek gdyby Pherl okazał się mniej uczciwy niż to okazuje. Ta cyna to moja zapłata.

— Za transmutator?

— Za cały ładunek urządzeń atomowych. Po podwójnej cenie, plus premia. — Wzruszył ramionami, prawie przepaszająco. — Przyznaję, że go oszukałem, ale musiałem wyrobić normę, nie?

Gorov był wyraźnie zbity z pantałyku. Powiedział słabym głosem:

— Mógłbyś to wyjaśnić?

— A co tu wyjaśniać? To proste, Gorov. Ten spryciarz myślał, że ma mnie w garści, ponieważ jego słowo więcej znaczy dla Wielkiego Mistrza niż moje. Wziął transmutator. To największa zbrodnia na Askonie. Ale w każdej chwili mógł powiedzieć, że z czystego patriotyzmu zastawił na mnie sidła, i zadenuncjować mnie jako handlarza zabronionym towarem.

— To oczywiste.

— Na pewno, ale to jeszcze nie wszystko. Widzisz, Pherl nie miał najmniejszego pojęcia o istnieniu kamer mikrofilmowych.

Gorov roześmiał się nagle.

— Tak jest — rzekł Ponyets. — Był górą. Pokazał mi, kto rządzi. Ale kiedy z miną zbitego psa nastawiałem transmutator, zamontowałem w środku mikrokamerę, a następnego dnia, podczas przeglądu maszyny, wyjąłem ją. Miałem dokładny zapis wszystkiego, co biedaczek Pherl wyczyniał z maszyną w swoim sanktuarium. Kamera zarejestrowała, jak wyciskał z transmutatora wszystkie ergy, żeby się jak najszybciej wzbogacić i jak piszczał z zachwytu, niczym kura nad świeżo zniesionym jajem, nad pierwszymi kawałkami złota.

— Pokazałeś mu to?

— Dwa dni potem. Biedak widział pierwszy raz w życiu trójwymiarowy, kolorowy i dźwiękowy film. Utrzymuje, że nie jest przesądny, ale jeśli kiedykolwiek przedtem widziałem tak wystraszonego faceta, to możesz mnie nazwać łgarzem. Kiedy mu powiedziałem, że zamontowałem na głównym placu projektor i że w samo południe będzie to mógł zobaczyć milion fanatycznych Askończyków, którzy niewątpliwie rozszarpia go na sztuki, to w pół sekundy był przede mną na kolanach. Gotów był zawrzeć ze mną każdą transakcję.

— Zrobiłeś to? — Gorov ledwie mógł powstrzymać śmiech. — To znaczy, zainstalowałeś projektor na placu?

— Nie, ale to nieważne. Ubiłem interes, a to się liczy. Pherl kupił od ręki wszystkie urządzenia, jakie miałem i wszystkie, jakie są na twoim statku — za tyle cyny, ile zdołamy zmieścić na naszych statkach. W tamtej chwili wierzył, że jestem zdolny do wszystkiego. Umowa jest na piśmie i zanim z nim zejdem, dam ci kopię jako jeszcze jedną gwarancję.

— Ale zniszczyłeś jego osobowość — rzekł Gorov. — Czy on zrobi jakiś użytek z tych urządzeń?

— A dlaczego nie? To jedyny sposób, żeby mógł odrobić straty, a jeśli na tym zarobi, to odzyska dobre samopoczucie. Poza tym, on zostanie Wielkim Mistrzem, a lepszego człowieka dla poparcia naszych interesów nie mogliśmy znaleźć.

— Tak — rzekł Gorov — to był rzeczywiście dobry interes. Muszę jednak stwierdzić, że masz przykre metody handlowania. Nic dziwnego, że wyrzucili cię z seminarium. Czy ty nie masz żadnych zasad moralnych?

— A jakie to ma znaczenie? — spytał obojętnie Ponyets. — Wiesz, co Salvor Hardin po wiedział kiedyś o zasadach moralnych?

CZEŚĆ V

MAGNACI HANDLOWI

1

»Handlarze — [...] Zgodnie z przewidywaniami psychohistorii, rosła potęga gospodarcza Fundacji. Handlarze bogacili się, a bogactwo daje siłę [...] Niekiedy zapomina się o tym, że Hober Mallow zaczynał jako zwykły handlarz. Natomiast zawsze pamięta się o tym, że w końcu stał się pierwszym z Magnatów Handlowych [...]«

Encyklopedia Galaktyczna

Jorane Sutt złożył razem koniuszki wypielęgowanych palców i rzekł:

— W pewnym sensie jest to zagadką. Prawdę mówiąc — ale to ścisła tajemnica — może to być jeden z kryzysów Seldona.

Mężczyzna siedzący naprzeciw niego sięgnął do kieszeni swej krótkiej smyrneńskiej kurtki i wyjął papierosa.

— Nie znam się na tym, Sutt. Politycy z reguły zaczynają krzyczeć o kryzysie Seldona przed każdymi wyborami burmistrza.

Sutt uśmiechnął się nieznacznie.

— Tym razem to nie jest kampania wyborcza, Mallow. Zaczyna się pojawiać broń jądrowa i nie wiemy, skąd się ona bierze.

Hober Mallow ze Smyrno, licencjonowany handlarz, palił ze spokojem, niemal obojętnie, papierosa.

— No, mów — słucham. Jeśli masz coś jeszcze do powiedzenia, to wyduś to wreszcie.

Mallow zawsze starał się, żeby nie być zbyt uprzejmym dla ludzi z Fundacji. Jest obcokrajowcem — zgoda, ale przede wszystkim jest człowiekiem.

Sutt wskazał na trójwymiarową mapę gwiazdną na stole. Pokręcił gałkami przy pulpicie i rój punkcików oznaczających ciała należące do jakiegoś pół tuzina układów gwiazdnych rozbliżył na czerwono.

— To jest — powiedział — Republika Korelska.

Handlarz skinął głową.

— Byłem tam. Śmierdząca dziura! Możesz to sobie nazywać republiką, ale Komodorem zawsze zostaje ktoś z rodu Argo. A jeśli się to komuś nie podoba, to może mu się coś przydarzyć. — Wykrzywił usta i powtórzył: — Byłem tam.

— Ale wróciłeś stamtąd, co nie każdemu się zdarza. W ubiegłym roku zaginęły na terytorium republiki trzy statki handlowe, nietykalne na mocy postanowień Konwencji. Wszystkie miały normalne uzbrojenie — pociski nuklearne i ekrany siłowe.

— A jakie były ostatnie wiadomości przekazane przez nie?

— Zwykłe raporty. Nic poza tym.

— A co na to Korelia? Sutt uśmiechnął się gorzko.

— Nie wypadało pytać. Największym osiągnięciem Fundacji na Peryferiach jest ogólne przekonanie o jej potędze. Myślisz, że możemy stracić trzy statki i po prostu pytać, co się z nimi stało?

— No, tak. Może mi teraz powiesz, czego chcesz ode mnie?

Jorane Sutt nie pozwalał sobie nigdy na luksus irytacji, który oznaczał zwykłą stratę czasu. Jako sekretarz burmistrza musiał stawiać czoła opozycyjnym radnym, poszukującym pracy, reformatorom i wariatom utrzymującym, że udało im się całkowicie ustalić przyszły bieg historii opracowanej przez Hariego Seldona. Po takiej zaprawie niełatwo było wyprowadzić go z równowagi. Zaczął metodycznie:

— Za chwilę. Widzisz, trzy statki, które przepadły w ciągu jednego roku w tym samym sektorze, to nie może być przypadek, a kogoś, kto ma broń jądrową, można pokonać tylko za pomocą potężniejszej broni jądrowej. Nasuwa się automatycznie pytanie — jeśli Korelia ma broń jądrową, to skąd ją bierze?

— No, skąd?

— Są dwie możliwości. Albo Korelianie skonstruowali ją sami. . .

— To mało prawdopodobne.

— Tak. Albo mamy tu do czynienia ze zdradą.

— Tak myślisz? — spytał Mallow chłodno.

— Nie ma w tym nic niezwykłego — odparł spokojnie sekretarz. — Od czasu jak Cztery Królestwa podpisały Konwencję Fundacyjną, mamy stale do czynienia z dość dużymi grupami nastawionej opozycyjnie do Fundacji ludności królestw. W każdym z dawnych królestw są pretendenci do korony i dawna arystokracja, która nawet nie bardzo potrafi udawać miłość do Fundacji. Być może niektórzy z nich się uaktywnili?

Mallow zrobił się czerwony jak rak.

— Rozumiem. I to akurat mnie chcesz o czymś powiedzieć? Jestem Smyrneńczykiem.

— Wiem. Jesteś Smyrneńczykiem — urodziłeś się w Smyrno, jednym z byłych Czterech Królestw. Tylko z wykształcenia jesteś człowiekiem Fundacji. Z urodzenia jesteś obcokrajowcem, człowiekiem z zewnątrz. Niewątpliwie twój dziad był baronem w czasach wojen z Anakreonem i Locris. Bez wątplenia straciłeś posiadłość rodową, kiedy Sef Sermak rozparcelował ziemię.

— Nie, na Czarną Przestrzeń, nie! Mój dziad był biedakiem, który zmarł rozładowując węgiel za głodową płacę jeszcze przed Fundacją. Nic nie zawdzięczam staremu ustrojowi. Ale urodziłem się na Smyrno i — na Galaktykę! — nie wstydzę się tego. Twoje chytre aluzje do zdrady na nic się nie zdadzą. Nie myśl, że się przestraszę i zacznę się czołgać przed Fundacją! Możesz albo wydać rozkaz, albo mnie przeprosić. Nie dbam o to, co wybierzesz.

— Mój kochany, to, czy twój dziad był królem Smyrno, czy największym ńędzarzem na planecie, obchodzi mnie tyle, co marny elektron. Wygłosiłem tę całą bzdurną gadkę o twoim urodzeniu i pochodzeniu tylko po to, żeby ci pokazać, że mnie to w ogóle nie interesuje. Najwidoczniej źle mnie zrozumiałeś. Ale przejdźmy do rzeczy. Jesteś Smyrneńczykiem. Znasz ludzi z zewnątrz. A poza tym jesteś handlarzem, i to jednym z najlepszych. Byłeś w Korelii i znasz Korelian. I właśnie tam masz lecieć.

Mallow wziął głęboki oddech.

— Jako szpieg?

— Skądże. Jako handlarz — ale będziesz miał oczy szeroko otwarte. Jeśli uda ci się dowiedzieć, skąd biorą broń... skoro jesteś Smyrneńczykiem, warto chyba przypomnieć, że dwa z zaginionych statków miały smyrneńską załogę.

— Kiedy mam wystartować?

— A kiedy będzie gotowy twój statek?

— Za sześć dni.

— A więc wtedy wystartujesz. Wszystkich szczegółów dowiesz się w Admirałcji.

— Zgoda — handlarz wstał, uściśnął rękę Suttowi i wyszedł wielkimi krokami.

Sutt chwilę odczekał, rozprostowując delikatnie palce i rozładowując napięcie, a potem wzruszył ramionami i wszedł do gabinetu burmistrza.

Burmistrz wyłączył monitor i odchylił się do tyłu.

— I co o tym myślisz, Sutt? — spytał.

— Z niego może być dobry aktor — rzekł Sutt i popatrzył z zadumą przed siebie.

2

Tego samego dnia, wieczorem, w kawalerskim apartamencie Jorane Sutta, na dwudziestym pierwszym piętrze Budynku Hardina, Publis Manlio popijał małymi łydkami wino.

Drobny, starzejący się Publis Manlio skupiał w swym ręku dwa wysokie urzędy Fundacji. Był ministrem spraw zagranicznych w gabinecie burmistrza, a dla wszystkich słońc przestrzeni, z wyjątkiem jedynie Fundacji, był w dodatku Prymasem Kościoła, Dostarczycielem Świętego Pokarmu, Mistrzem Świątyni i tak dalej — jego uroczyście brzmiące, lecz pokrętne i mało zrozumiałe tytuły można by wyliczać niemal bez końca.

Mówił właśnie:

— Ale pozwolił ci wysłać tego handlarza. To sukces.

— Niewielki — rzekł Sutt. — Na razie nic nam to nie daje. To wyjątkowo niezgrabny fortel, gdyż nie możemy w żaden sposób przewidzieć, jak się ta cała sprawa zakończy. To tak, jakbyś popuszczał linę w nadziei, że gdzieś tam znajdzie się jakiś węzeł.

— To prawda. Ale ten Mallow to zdolny facet. Co będzie, jeśli okaże się, że nie tak łatwo go nabrać?

— Trzeba zaryzykować. Jeśli to zdrada, to maczają w tym palce zdolni ludzie. A jeśli nie, to potrzebujemy kogoś zdolnego, żeby odkrył prawdę. Poza tym, będziemy mieć Mallowa na oku. Masz pusty kieliszek.

— Nie, dziękuję. Już starczy.

Sutt nalał sobie i cierpliwie czekał, aż jego gość ocknie się z zadumy.

Cokolwiek było przedmiotem niewesołych rozmyślań prymana, nie doszedł on najwidoczniej do żadnego wniosku, gdyż rzekł nagle, prawie gwałtownie:

— Sutt, co o tym myślisz?

— Powiem ci, Manilo. Jesteśmy w samym środku kryzysu Seldona.

Manilo wytrzeszczył oczy, a potem rzekł cicho:

— Skąd wiesz? Czyżby Seldon znowu pojawił się w Krypcie Czasu?

— Przyjacielu, nie potrzeba aż takich dowodów. Zastanów się. Odkąd Imperium Galaktyczne wycofało się z Peryferii i pozostawiło nas samym sobie, nie mieliśmy nigdy przeciwnika dysponującego bronią atomową. Teraz mamy go. Już to jedno wystarczy. Ale to nie wszystko. Po raz pierwszy od przeszło siedemdziesięciu lat jesteśmy świadkami potężnego kryzysu politycznego w samej Fundacji. Myślę, że zbieżność w czasie obu tych kryzysów mówi sama za siebie.

Manilo spojrział na niego spod oka.

— To za mało. Do tej pory mieliśmy dwa kryzysy Seldona i za każdym razem nad Fundacją zawisła groźba zagłady. Dopóki taka groźba się nie pojawi, nie ma mowy o trzecim kryzysie.

Sutt nie okazał ani odrobiny zniecierpliwienia.

— Ta groźba wisi w powietrzu — rzekł. — Każdy dureń stwierdzi kryzys w momencie, gdy on już nastąpi. Prawdziwą zasługą dla kraju jest odkrycie go w zarodku. Słuchaj, Manilo, kroczymy dokładnie zaplanowaną drogą dziejową. Wiemy, że Hari Seldon wyliczył prawdopodobieństwo wszystkich możliwych przyszłych zdarzeń. Wiemy, że pewnego dnia odbudujemy Imperium Galaktyczne. Wiemy, że zajmie to tysiąc lat albo coś koło tego. Wiemy też, że po drodze przyjdzie nam pokonać różne konkretne kryzysy.

Otóż pierwszy kryzys nastąpił pięćdziesiąt lat po założeniu Fundacji, a drugi trzydzieści lat po pierwszym. Od tamtej pory minęło siedemdziesiąt pięć lat. Już czas na następny, Manilo, już czas.

Manilo potarł z zakłopotaniem nos.

— A ty masz projekt przewyciężenia tego kryzysu, co?

Sutt skinął potakująco głową.

— I ja mam w tym odegrać jakąś rolę? Sutt ponownie skinął głową i rzekł:
— Zanim będziemy mogli przeciwstawić się zagrożeniu jądrowemu z zewnątrz, musimy zrobić porządek na własnym podwórku. Ci handlarze...
— Ach! — prymas nagle zeszywniał, a w jego oczach pojawił się ostry błysk.
— Niestety, handlarze. Są przydatni, ale zbyt silni... i za bardzo niezależni. Są obcokrajowcami, ale wykształcenie mają świeckie. Tak więc z jednej strony dajemy im wiedzę, z drugiej — pozbawiamy się najlepszego środka kontroli nad nimi.

— A gdybyśmy mogli udowodnić im zdradę?

— Wtedy sprawa byłaby prosta. Wystarczyłyby działania bezpośrednie. Ale to nie ma najmniejszego znaczenia. Nawet gdyby nie było wśród nich zdrajców, to wystarczy, że są niepewnym elementem w naszym społeczeństwie. Nie łączy ich z nami ani wspólne pochodzenie, ani patriotyzm... Nie czują bojaźni bożej. Pod ich przywództwem mogą się od nas oderwać zewnętrzne prowincje, które od czasów Hardina uważają nas za świętą planetę.

— Rozumiem to, ale środki zaradcze...

— Środki zaradcze trzeba przedsięwziąć zaraz, zanim zaostry się kryzys Seldona. Jeśli z zewnątrz zagrażać nam będzie broń jądrowa, a wewnątrz będzie panować niezadowolenie, to możemy sobie z tym nie poradzić — Sutt odstawił pusty kieliszek, którym bawił się przez cały czas. — To oczywiście twoje zadanie.

— Moje?

— Ja nie mogę tego zrobić. Mój urząd pochodzi z nominacji — nie mam żadnych uprawnień prawodawczych.

— Burmistrz...

— Na niego nie ma co liczyć. To asekurant. Wykazuje energię tylko wtedy, kiedy trzeba uniknąć odpowiedzialności. Ale gdyby powstała niezależna partia, która mogłaby przeszkodzić mu w ponownym wyborze na stanowisko burmistrza, to może dałby sobą pokierować.

— Zgoda, Sutt, ale ja nie nadaję się do polityki.

— Zostaw to mnie. Kto wie, Manilo? Nie zdażyło się od czasów Salvora Hardina, żeby jedna osoba pełniła urząd burmistrza i sprawowała godność prymasa... Ale może się tak zdarzyć — jeśli dobrze wywiążesz się ze swojego zadania.

3

Na drugim końcu miasta, w bardziej swojskim otoczeniu, Hober Mallow odbywał swe drugie tego dnia spotkanie. Najpierw długo słuchał, a potem powiedział ostrożnie:

— Tak, słyszałem o twoich kampaniach na rzecz wprowadzenia do Rady bezpośredniej reprezentacji handlarzy. Ale dlaczego to mam być właśnie ja?

Jaim Twer, który nawet nie pytany przypominał stale wszystkim i każdemu z osobna, że znajdował się w pierwszej grupie obcokrajowców, którzy otrzymali w Fundacji świeckie wykształcenie, rozpromienił się.

— Wiem, co robię — rzekł. — Pamiętam, jak spotkałem cię pierwszy raz, w zeszłym roku.

— Na zjeździe handlarzy.

— Zgadza się. Przytrzymałeś tych grubych byków na miejscach, a potem poprowadziłeś ich za sobą jak na sznurku. Jesteś też w dobrych stosunkach z szerokimi masami w Fundacji. Masz powodzenie, a w każdym razie ustaloną opinię ryzykanta, co na jedno wychodzi.

— W porządku — rzekł sucho Mallow. — Ale dlaczego teraz?

— Bo teraz mamy szansę. Wiesz, że minister oświaty złożył rezygnację? Na razie to tajemnica, ale już niedługo wszyscy się o tym dowiedzą.

— A skąd ty wiesz o tym?

— To... mniejsza z tym — machnął ręką z niesmakiem. — Sytuacja wygląda tak: Partia Akcjonistów jest podzielona i jeśli teraz postawimy na porządku dziennym sprawę równych praw dla handlarzy, czy raczej demokracji, to możemy ich dobić — będą musieli głosować za lub przeciw.

Mallow rozwalił się na krześle i przyglądał się w zamyśleniu swym grubym palcom.

— Taaa... Przykro mi, Twer. W przyszłym tygodniu wylatuję w interesach. Musisz znaleźć kogoś innego.

Twer rozdziawił usta.

— W interesach? W jakich interesach?

— To ściśle tajne. Zadanie najwyższej wagi i tak dalej, rozumiesz. Miałem dzisiaj rozmowę z osobistym sekretarzem burmistrza.

— Z Sutttem Wężem? — Jaim Twer wyraźnie się podniecił. — To podstęp. Ten skosmitysyn chce cię spławić stąd. Mallow...

— Powoli! — ręka Mallowa spoczęła na zwiniętej w pięść dłoni Twera. — Nie wściekaj się. Jeśli to podstęp, to zdążymy się policzyć, Jak wróć. A jeśli nie, to ten — jak mówisz — Wąż Sutt sam pcha się nam w ręce. Słuchaj, Twer, nadchodzi kryzys Seldona!

Mallow na próżno czekał na reakcję Twera. Twer tylko gapił się w milczeniu. Potem spytał:

— Kryzys Seldona? A co to takiego?

— Na Galaktykę! — rozczarowanie Mallowa przerodziło się w nagły wybuch gniewu. — Co, u licha, robiłeś w szkole? A w ogóle czemu zadajesz takie idiotyczne pytania?

Twer zmarszczył czoło.

— Gdybyś mi wyjaśnił...

Zapanowała długa cisza. W końcu Mallow rzekł:

— Zaraz wyjaśnię, o co chodzi. — Ściągnął brwi i zaczął wolno: — Kiedy Imperium Galaktyczne zaczęło tracić władzę nad peryferiami, które zaczęły cofać się do okresu barbarzyństwa i odpadać od Imperium, Hari Seldon z paczką psychologów założyli tutaj, w samym środku tego bałaganu, kolonię — Fundację, żeby przechować sztukę, naukę i technikę dla przyszłych pokoleń i utworzyć w ten sposób załączek Drugiego Imperium.

— A tak, tak...

— Jeszcze nie skończyłem — powiedział zimno Mallow. — Przyszły los Fundacji został określony zgodnie z regułami psychohistorii, bardzo wówczas zaawansowanej nauki, i zostały stworzone takie warunki, żeby nastąpiła — musiała nastąpić — seria kryzysów, które miały zmusić nas do szybkiego wkroczenia na drogę prowadzącą do stworzenia nowego imperium. Każdy kryzys — kryzys Seldona — wyznacza epokę w naszych dziejach. I teraz zbliżamy się do jednego z nich — trzeciego z kolei.

— Oczywiście! — Twer wzruszył ramionami. — Jak mogłem o tym zapomnieć! Ale w końcu już tak dawno skończyłem szkołę... wcześniej niż ty.

— Tak myślę. Nieważne. Ważne jest, że wysyłają mnie w sam środek wydarzeń prowadzących do tego kryzysu. Nie można przewidzieć z czym wrócę, a wybory do Rady są przecież co roku.

Twer spojrzał na niego.

— Masz jakiś trop?

-. Nie.

— A jakiś plan?

— Nawet zarysu planu.

— A więc...

— A więc nic. Hardin powiedział kiedyś:

„Żeby coś osiągnąć, nie wystarczy planować. Trzeba też umieć improwizować”. I ja to właśnie będę robił.

Twer potrząsnął niezdecydowanie głową i obaj wstali. Popatrzyli na siebie.

Mallow rzekł niespodzianie:

— Wiesz co, a może byś poleciał ze mną? Nie gap się tak, człowieku. Byłeś przecież handlarzem, zanim doszedłeś do wniosku, że polityka jest bardziej zajmującym zajęciem. Przynajmniej tak słyszałem.

— Możesz mi powiedzieć, gdzie lecisz?

— W kierunku Rozpadliny Whassaliańskiej. Dopóki nie znajdziemy się w przestrzeni, nie mogę nic więcej powiedzieć. No więc, co ty na to?

— A jeśli Sutt będzie wolał mieć mnie gdzieś bliżej, żebym był na oku?

— To mało prawdopodobne. Jeśli tak mu zależy, żeby się mnie pozbyć, to dlaczego nie miałby się przy okazji pozbyć ciebie? Poza tym, żaden handlarz nie wytknie nosa z domu, jeśli nie będzie mógł sobie dobrać załogi według własnego uznania. Wezmę kogo zechcę.

W oczach Tvera pojawił się dziwny błysk.

— Dobrze. Lecę — wyciągnął rękę. — To będzie moja pierwsza podróż od trzech lat. Mallow uściskał podaną mu dłoń.

— W porządku. Wszystko wypaliło! Teraz muszę ściągnąć swoich chłopców. Wiesz, gdzie stoi „Odległa Gwiazda”? No to bądź tam jutro. Na razie.

4

Korelia to przykład częstego w historii zjawiska — republika, której władca posiada wszelkie atrybuty monarchy absolutnego z wyjątkiem tytułu. Dlatego panował w Korelii zwyczajny despotyzm, nie ograniczony ani dbałością władcy o honor królewski, ani etykietą dworską — czynnikami powstrzymującymi nieco niektóre zapędy władców w prawdziwych monarchiach.

Poziom życia był niski. Dni Imperium Galaktycznego odeszły w przeszłość. Pozostały jedynie nieme pomniki dawnej świetności i milczące ruiny okazałych gmachów. Dni Fundacji jeszcze nie nadeszły i — wobec zdecydowanie wrogiej postawy władcy, Komodora Aspera Argo, surowych przepisów dotyczących handlarzy i jeszcze surowszego zakazu wstępu dla misjonarzy — wydawało się, że nigdy nie nadejdą.

Port kosmiczny był zaniedbany i zniszczony, co przygnębiająco wpływało na załogę „Odległej Gwiazdy”. Rozsypane się hangary sprawiały wrażenie zupełnego opuszczenia i beznadziei i Jaim Twer wiercił się niespokojnie nad pasjansem.

Hober Mallow rzekł w zadumie:

— Można tu nieźle pohandlować.

Patrzył spokojnie przez iluminator. Jak na razie, niewiele można było powiedzieć o Korelii. Podróż przebiegała spokojnie, bez przygód. Eskadra, która wyleciała im na spotkanie, składała się z niewielkich, zdezelowanych stateczków, będących odległym wspomnieniem świetnej przeszłości i poobijanych, niezgrabnych wraków. Trzymały się od nich z daleka, z wyraźnym respektem i sytuacja ta nie zmieniła się po wylądowaniu. Już od tygodnia Mallow bezskutecznie starał się uzyskać posłuchanie u miejscowych władz. Jego prośby pozostawały bez odpowiedzi.

— Można tu pohandlować — powtórzył Mallow. — Można powiedzieć, że to zupełnie dziewiczy kraj.

Jaim Twer rzucił karty i spojrzał na niego z irytacją.

— Co, u diabła, masz zamiar robić, Mallow? Załoga szemra, oficerowie niepokoją się, a ja zastanawiam się...

— Zastanawiasz się? Nad czym?

— Nad naszą sytuacją. I nad tobą. Co zrobimy?

— Poczekamy.

Twer poczerwieniał i parsknął ze złością:

— Chyba jesteś ślepy, Mallow. Dookoła stoją strażę, a nad głowami mamy ich statki. Załóżmy, że przygotowują się, żeby tak w nas walnąć, że zostanie po nas tylko dziura w ziemi.

— Mieli na to tydzień.

— Może czekają na posiłki — wzrok Twera stał się twardy. Mallow nagle usiadł.

— Myślałem o tym. Widzisz, to nie jest takie proste. Po pierwsze, dostaliśmy się tu bez kłopotu. Oczywiście, to może nic nie znaczyć, bo w zeszłym roku przepadły tylko trzy statki spośród ponad trzystu. To niski procent. Ale równie dobrze może to znaczyć, że mają mało statków z bronią jądrową i że dopóki nie będą mieli więcej, nie chcą ich niepotrzebnie narażać.

Z drugiej strony, może to świadczyć o tym, że w ogóle nie mają broni jądrowej. Albo mają i trzymają ją w ukryciu, w obawie, że coś wywączymy. W końcu co innego napadać na zbłąkane, lekko uzbrojone statki kupieckie, a co innego zadzierać z pełnomocnym posłem Fundacji, szczególnie w sytuacji, kiedy już sam fakt przybycia tego posła może wskazywać na to, że Fundacja zaczyna coś podejrzewać. Połącz to...

— Powoli, Mallow, powoli — Twer podniósł rękę. — Zasypujesz mnie słowami. Przejdź do rzeczy. Mniejsza o drobiazgi.

— Muszę mówić o drobiazgach, bo inaczej nic nie zrozumiesz. Chodzi o to, kto kogo przetrzyma. Oni nie wiedzą, co tu robię, a ja nie wiem, co oni tu mają. Ale ja jestem w gorszej sytuacji, bo jestem sam, a oni mają za sobą cały swój świat... a może też broń jądrową. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby ulec. Na pewno jest to niebezpieczne. Na pewno może po nas zostać tylko dziura w ziemi. Ale wiedzieliśmy o tym od początku. Czy możemy zrobić coś więcej niż czekać?

— Nie... a to co?

Mallow spokojnie podniósł głowę i włączył odbiornik. Na ekranie pojawiła się twarz sierżanta trzymającego wachtę.

— O co chodzi, sierżancie?

— Przepraszam, sir — rzekł sierżant. — Ludzie wpuścili na pokład misjonarza z Fundacji.

— Kogo?! — Mallow posiniał z wściekłości.

— Misjonarza, sir. Potrzebuje pomocy lekarskiej...

— Zaraz będziecie jej sami potrzebować za tę robotę. Zająć stanowiska bojowe!

Świetlica dla załogi była prawie pusta. Pięć minut po wydaniu rozkazu nawet ci, którzy tego dnia nie mieli służby, byli już przy wyrzutniach. Szybkość była największą cnotą w zanarchizowanych rejonach przestrzeni międzygwiazdnej na Peryferiach, a celowały w niej załogi statków licencjonowanych handlarzy.

Mallow wszedł wolnym krokiem i obejrzał misjonarza ze wszystkich stron. Jego wzrok prześlizgnął się na porucznika Tintera, który z zakłopotaniem odsunął się na bok, a potem na sierżanta Demena, dowódcę wachty, który stał spokojnie, z twarzą bez wyrazu, po drugiej stronie misjonarza.

Potem odwrócił się do Twera. Rozejrzał się zamyślonym wzrokiem po pokoju i rzekł:

— No cóż, Twer, sprowadź tu po cichu oficerów. Wszystkich, oprócz koordynatora i balistyka. Ludzie mają zostać na stanowiskach i czekać na dalsze rozkazy.

Potem nastąpiła pięciominutowa przerwa, w czasie której Mallow otworzył kopnięciem drzwi do ubikacji, zajrzał za bar i zaciągnął zasłony na oknach. Na pół minuty w ogóle wyszedł z pokoju, a kiedy wrócił, mrucał coś pod nosem. Weszli rzędem oficerowie. Na końcu Twer, który zamknął cicho drzwi.

Mallow spytał spokojnie:

— Po pierwsze, kto wpuścił tego człowieka bez mojego rozkazu?

Z szeregu wysunął się sierżant wachtowy. Pozostali odwracali wzrok.

— Przepraszam, sir. Nie zrobił tego nikt konkretny. To było coś w rodzaju ogólnego porozumienia. On jest jednym z nas, można powiedzieć, a ci cudzoziemcy tutaj. . .

— Rozumiem wasze uczucia, sierżancie i podzielam je — uciął krótko Mallow. — Wy dowodziliście tymi ludźmi?

— Tak, sir.

— Kiedy to się skończy, mają zakaz opuszczania przez tydzień swoich pomieszczeń. A wy przez ten czas będziecie pozbawieni dowództwa. Zrozumiano?

W twarzy sierżanta nie drgnął żaden mięsień, ale jego ramiona zgarbiły się nieznacznie. — Tak jest, sir — odparł krótko.

— Możecie odejść. Zajmijcie swoje stanowisko przy wyrzutniach.

Za sierżantem zamknęły się drzwi i wtedy podniósł się szmer.

— Dlaczego go ukarałeś, Mallow? — wtrącił się Twer. — Wiesz o tym, że Korelianie zabijają schwytanych misjonarzy.

— Działanie wbrew moim rozkazom jest karygodne bez względu na to, co można znaleźć na jego usprawiedliwienie. Bez mojego zezwolenia nie wolno było nikogo wpuszczać ani wypuszczać ze statku.

Porucznik Tinter mruknął buntowniczo:

— Siedem dni bezczynności. W takich warunkach nie można utrzymać dyscypliny.

— **Ja** mogę — rzekł lodowato Mallow. — Dyscyplina w idealnych warunkach to żadna sztuka. Albo utrzymam ją w obliczu zagłady, albo jest w ogóle niepotrzebna. Gdzie ten misjonarz? Przyprowadzić go tu!

Handlarz usiadł. Wprowadzono ostrożnie postać zakutaną w szkarłatny płaszcz.

— Jak się nazywasz, wielbny ojczy?

— He? — postać w szkarłatnych szatach obróciła się całym ciałem w stronę Mallowa. Jej oczy patrzyły tępo. Na skroni widniał potężny siniak. Aż do tej pory misjonarz nic nie powiedział ani, o ile Mallow zauważył, nie poruszył się.

— Jak się nazywasz, wielebny ojcze? W drżące ciało misjonarza zaczęło nagle powracać życie. Wyciągnął ramiona, jakby chciał nimi objąć Mallowa.

— Synu... moje dzieci! — wyszeptał. — Oby Duch Galaktyki miał was zawsze w swej opiece!

Twer postąpił krok w stronę Mallowa. Wzrok miał zmartwiony, a głos ochrypły.

— Ten człowiek jest chory. Niech go ktoś zaprowadzi do łóżka. Każ go położyć, Mallow, i zająć się nim. On jest ciężko poturbowany.

Mallow odsunął go swą potężną ręką z drogi.

— Nie wtrącaj się, Twer, bo każę cię stąd wyrzucić. Jak się nazywasz, wielebny ojcze?

Misjonarz złożył naraz ręce w błagalnym geście.

— O oświeceni, wybawcie mnie z rąk pogan! — z ust jego popłynął rwący potok słów. — Ocalcie mnie przed tymi bestiami błędzącymi w ciemności! Ocalcie mnie przed tymi, którzy mnie tropią i zasmucają swymi zbrodniami Ducha Galaktyki! Jestem Jord Parma ze światów anakreońskich. Kształciłem się w Fundacji, w samej Fundacji, dziatki moje. Jestem sługą Ducha, wprowadzonym we wszystkie tajemnice wiary, który udał się tam, gdzie kazał mu iść jego głos wewnętrzny — przerwał i z trudem łapał powietrze. — Cierpiałem z rąk tych synów ciemności. O dzieci Ducha, chrońcie mnie w Jego imię przed nimi!

Naraz rozległ się głos, któremu towarzyszył metaliczny dźwięk dzwonek alarmowych:

— Oddziały wroga w polu widzenia. Czekamy na rozkazy.

Oczy wszystkich skierowały się automatycznie na głośnik.

Mallow zaklął siarczyście. Włączył nadajnik i wrzasnął:

— Trwać w pogotowiu! To wszystko. Wyłączył nadajnik i przecisnął się do okna. Za jego dotknięciem rozsunęły się ciężkie zasłony i ponuro wyrzwał na zewnątrz.

Oddziały wroga! Dobrych parę tysięcy oddziałów w osobach pojedynczych Korelian tworzących złowrogi tłum. Falujący motłoch wypełniał całą przestrzeń portu, a w zimnym, ostrym świetle magnezjowych rakiet jego najbardziej wysunięte do przodu macki przybliżyły się z wolna do statku.

— Tinter! — Mallow nie odwrócił się nawet, ale jego kark poczerwieniał. — Włącz głośnik zewnętrzny i dowiedz się, czego chcą. Spytaj, czy jest wśród nich jakiś przedstawiciel prawa. Żadnych obietnic ani gróźb, jeśli ci życie miłe.

Tinter odwrócił się i wyszedł.

Mallow poczuł na ramieniu szorstką dłoń. Stracił ją. Za nim stał Twer. Wyszczał mu gniewnie do ucha:

— Mallow, twoim obowiązkiem jest zatrzymać tego człowieka. Inaczej nie ma mowy o tym, żebyśmy mogli wyjść z tego cało i z honorem. On jest z Fundacji, a poza tym to kapłan. Te dzikusy na zewnątrz. . . Słyszysz, co mówię?

— Słyszę, Twer — głos Mallowa nabrał ostrości. — Mam tu coś ważniejszego do roboty niż ochraniać misjonarzy. Zrobię to, co będę chciał i — na Seldona i całą Galaktykę — jeśli spróbujesz mnie powstrzymać, to wyrwę ci ten parszywy jęzor! Nie wchodź mi w drogę, Twer. bo będzie to twój koniec.

Odwrócił się i przeszedł obok niego.

— Hej, ty! Wielebny Parmo! Wiedziałeś o tym, że zgodnie z konwencją żaden misjonarz z Fundacji nie może się znaleźć na terytorium Korelii?

Misjonarz trząśł się.

— Idę tam, gdzie mnie Duch prowadzi, synu. Jeśli ci, którzy pogrążeni są w ciemności, nie chcą przyjąć światła, to czy nie świadczy to tym wymowniej, że go potrzebują?

— To nie ma nic do rzeczy, wielebny ojciec. Jesteś tu zarówno wbrew prawu Korelii, jak i wbrew prawu Fundacji. Nie mam prawa cię osłaniać.

Ręce misjonarza ponownie uniosły się w górę. Jego poprzednie oszołomienie minęło bez śladu. Zza okna dobiegał ochryply głos gigantofonów statku i odpowiadający mu, to opadający, to znów wznoszący się szmer głosów rozwścieczonej tłuszczy. Na dźwięk tych głosów w oczach misjonarza pojawił się obłęd.

— Słyszysz ich? Czemu mówisz mi o prawie, o prawie ustanowionym przez człowieka? Jest wyższe prawo. Czyż Duch Galaktyki nie powiedział: „Nie będziesz biernie patrzył na krzywdę swego bliźniego”? Czy nie powiedział też: „Tak jak ty się obejdziesz z bezbronnymi i pokornego serca, tak i ja z tobą się obejdem”?

Czyż nie macie dział? Czy nie macie statku? Czy nie stoi za wami Fundacja? I czy nie stoi nad wami i nad wszystkim, co was otacza, Duch, który sprawuje rządy nad wszechświatem? — przerwał dla nabrania oddechu.

Niemal równocześnie zamilkły gigantofony „Odległej Gwiazdy” i wrócił zakłopotany porucznik Tinter.

— Mów! — rzucił krótko Mallow.

— Domagają się wydania Jorda Parmy, sir.

— A jeśli go nie wydamy?

— Rzucają różne groźby. Trudno się w tym rozeznąć. Jest ich mnóstwo i zachowują się jak szaleńcy. Jest tam ktoś, kto rządzi tym okręgiem i ma ze sobą policję, ale najwyraźniej nie panuje nad sytuacją.

— Panuje czy nie — wzruszył ramionami Mallow — ale jest przedstawicielem prawa. Powiedz im, że jeśli ten gubernator, policjant, czy kim on tam jest, zbliży się sam do statku, to dostanie wielebnego Parmę.

Przy ostatnich słowach w rękę Mallowa pojawił się rewolwer. Dodał:

— Nie wiem, co to niesubordynacja. Nigdy nie miałem okazji się przekonać. Ale jeśli ktoś tu myśli, że może mi to pokazać, to ja mu pokażę, jakie mam na to

lekarstwo.

Rewolwer obrócił się wolno w jego rękę i lufa spoczęła na Twerze. Z widocznym wysiłkiem stary handlarz opuścił ręce i rozluźnił ściśnięte w pięści dłonie. Jego twarz, wykrzywiona grymasem, powoli wygładzała się. Oddychał z ostrym świstem przez nos.

Tinter wyszedł i po pięciu minutach od tłumu oderwała się drobna postać. Zbliżała się do statku wolno i z ociąganiem. Widać było wyraźnie, że jest pełna obaw. Dwukrotnie odwróciła się i dwukrotnie popchnęła ją do przodu groźna postawa tego wielogłowego potwora, jakim był tłum.

— W porządku — Mallow machnął ręcznym miotaczem, którego zresztą przez cały czas nie wyciągnął z pochwy. — Grun i Upshur, zabierzcie go!

Misjonarz zaczął skomleć. Wzniósł w górę ręce. Jego sztywno wyprostowane palce godziły w niebo jak włócznie, a szerokie, fałdziste rękawy opadły, ukazując chude, żylaste ramiona. W pokoju pojawił się lekki, krótki jak mgnienie oka błysk światła. Mallow zmrużył oczy i z pogardą ponownie machnął miotaczem.

Rzucając się w uścisku czterech rąk, misjonarz ciskał przekleństwa:

— Niech będzie przeklęty ten, który wydaje bliźniego na gniew i śmierć! Niech ogłuchną uszy, które głuche są na prośby bezbronných! Niech oślepną oczy, które widzieć nie chcą niewinności! Niechaj szernieje na zawsze dusza, która sprzymierza się z siłami ciemności. . .

Twer z całej siły zatykał uszy rękami.

Mallow zakręcił miotaczem młynka wokół palca i odłożył broń na bok. — Rozejść się — rzekł spokojnym głosem — na stanowiska. Trzymać pogotowie przez sześć godzin po rozejściu się tłumu. Na następne czterdzieści osiem godzin podwoić strażę. Czekać dalszych rozkazów. Twer, chodź ze mną.

Znaleźli się sami w kajucie Mallowa. Mallow wskazał krzesło i Twer usiadł. Jego zwalista postać jakby zmaląła.

Mallow popatrzył na niego ironicznie.

— Twer — rzekł — jestem zły. Wygląda na to, że przez te ostatnie trzy lata, kiedy zajmowałeś się polityką, zapomniałeś o zwyczajach handlarzy. Pamiętaj, w Fundacji mogą być demokratą, ale tu nie cofnę się nawet przed tyranią, jeśli zajdzie taka potrzeba. Na statku ma być tak, jak ja chcę. Nigdy dotąd nie musiałem straszyć swoich ludzi miotaczem i teraz też bym nie musiał, gdyby nie ty.

Nie masz żadnej oficjalnej funkcji, Twer, ale jesteś tu moim gościem i wyświadczę ci każdą grzeczność — ale prywatnie. Natomiast w obecności moich oficerów jestem dla ciebie od tej chwili „sir”, nie „Mallow”. A kiedy wydam jakiś rozkaz, to masz się rzucić, żeby go wykonać szybciej niż rekrut trzeciej kategorii, bo w przeciwnym razie znajdziesz się w kajdankach na dolnym pokładzie. Zrozumiano?

Przywódca partii handlarzy głośno przełknął ślinę. Powiedział z ociąganiem.

— Przepraszam.

— W porządku. Graba?

Miękkie palce Tvera zniknęły w potężnej dłoni Mallowa. Twer rzekł:

— Miałem dobre intencje. Trudno jest wysłać człowieka na pewną śmierć. Ten gubernator o trzęsących się łydkach, czy kto to tam był, nie zdoła powstrzymać tłumu przed samosądem. To po prostu morderstwo.

— Nic na to nie mogę poradzić. Szczerze mówiąc, ten cały incydent brzydko pachnie. Nie zauważyłeś?

— Czego?

— Tego, że port położony jest w samym środku prawie pustego, oddalonego od wszelkich osiedli obszaru. Nagle ucieka misjonarz. Skąd? Przybywa tu. Przypadek? Zbiera się ogromny tłum. Skąd? Najbliższe miasto jakiej takiej wielkości musi się znajdować przynajmniej sto mil stąd. A oni byli już po pół godziny. Jak się tu dostali?

— Jak? — powtórzył pytanie Twer.

— A jeśli przywieźli tu tego misjonarza i puścili na przynętę? Nasz przyjaciel, wielbny Parma, był niezwykle zmieszany. Ani przez chwilę nie wydawał się być przy zupełnie zdrowych zmysłach.

— Ciężkie traktowanie. . . — mruknął gorzko Twer

— Może. A może chodziło o to, żebyśmy szlachetnie i po rycersku stanęli w obronie tego człowieka. . . Jest to wbrew prawu Korelii i Fundacji. Gdybym nie chciał go wydać, to byłby to wrogi akt wobec Korelii, a Fundacja nie miałaby żadnego pretekstu, żeby ująć się za nami.

— To. . . to za bardzo naciągana argumentacja.

Zadudnił głośnik i uprzedził odpowiedź Mallowa:

— Sir, otrzymaliśmy oficjalną przesyłkę. W szczelinie pojawił się z trzaskiem lśniący cylinder. Mallow otworzył go i wytrząsnął ze środka kartkę papieru przytękaną srebrem. Potarł ją z uznaniem palcami i powiedział:

— Teleportowane prosto ze stolicy. Prywatny papier Komodora.

Przeczytał jednym spojrzeniem i roześmiał się.

— Więc to, co mówiłem, było za bardzo naciągane, tak?

Rzucił kartkę Twerowi i rzekł:

— Zaledwie pół godziny po wydaniu misjonarza otrzymujemy bardzo uprzejme zaproszenie od czcigodnego Komodora, zaproszenie, na które czekaliśmy przez siedem dni. Myślę, że po prostu pomyślnie przeszliśmy próbę.

5

Komodor Asper był człowiekiem z ludu. Sam się nim obwołał. Resztki siwych włosów okalające łysinę opadały mu miękko na ramiona, a koszula dawno nie widziała pralni. Mówił przez nos.

— Nie znajdziesz tu przepychu, handlarzu Mallow — powiedział. — Nienawidzę fałszywych pokazów. Widzisz we mnie po prostu pierwszego obywatela tego kraju. To właśnie znaczy Komodor, a jest to mój jedyny tytuł.

Wydawał się czerpać niezwykłą satysfakcję ze swych słów.

— Prawdę mówiąc, uważam, że to jest właśnie to, co ściśle łączy Korelię z naszym narodem. Myślę, że korzystacie z dobrodziejstw ustroju republikańskiego w nie mniejszym stopniu niż my.

— Istotnie, Komodorze — rzekł poważnie Mallow, lecz w duchu pomyślał coś zgoła innego. — Moim zdaniem jest to poważny argument przemawiający za utrzymaniem stałego pokoju i nawiązaniem przyjaźni między naszymi narodami.

— Ach, pokój! — rzadka, siwa bródka Komodora drgnęła, a na jego twarzy pojawił się wyraz rozmarzenia. — Myślę, że nie ma na Peryferiach nikogo, komu ideały pokoju byłyby tak drogie jak mnie. Mogę śmiało rzec, że odkąd objąłem po moim znakomitym ojcu rządy w tym kraju, panuje tu nieprzerwanie niczym nie zmacony spokój i pragnienie pokoju. Może nie powinienem tego mówić — kaszlnął z udanym zakłopotaniem — ale doszły mnie słuchy, że mój lud, a raczej moi współobywatele, mówią o mnie Asper Umiłowany.

Wzrok Mallowa błędził po dobrze utrzymanym ogrodzie. Może potężni osobnicy z dziwnie, lecz mimo to złowrogo wyglądającą bronią czający się po kątach znaleźli się tu po prostu z okazji jego wizyty, na wypadek gdyby mu coś strzeliło do głowy. To można było zrozumieć. Ale potężne, najwidoczniej świeżo wzmocnione stalowymi szynami mury okalające to miejsce nie pasowały jakoś do rezydencji kogoś tak umiłowanego przez lud jak Asper.

— Dobrze się więc składa, że to właśnie z panem, Komodorze, mam rozmawiać o interesach — rzekł. — Despotycznym monarchom okolicznych światów, które nie mają szczęścia cieszyć się oświeconą władzą, często brak cech wzbudzających u ludzi miłość ku władzy.

— Takich jak... — rzekł Komodor ostrożnie.

— Takich jak troska o dobro ludu. Pan przecież rozumie.

Komodor nie odrywał oczu od zwirowej ścieżki, po której się przechadzali. Założył ręce z tyłu i bawił się dłońmi.

Mallow ciągnął gładko:

— Dotychczas handel między naszymi państwami nie mógł się należycie rozwijać z powodu restrykcji nałożonych przez pana rząd. Na pewno już od dawna jest dla pana jasne, że nieskrępowany handel...

— Wolny handel! — mruknął Komodor.

— No więc, wolny handel. Musi pan zdawać sobie sprawę z tego, że skorzystałyby na tym obie strony. Wy macie to, czego nam potrzeba, a my to, czego wam brak. Tak oświecony władca jak pan, przyjaciel ludu, rzekłbym nawet — człowiek z ludu, nie potrzebuje dodatkowych wyjaśnień. Gdybym je zaproponował, znaczyłoby to, że mam niskie zdanie o pana inteligencji.

— Prawda! Zdaję sobie z tego sprawę. Ale cóż pan chce? — jego głos przypominał teraz żalosne skomlenie. — Wasi ludzie zawsze byli tacy nierozsądni. Jestem za tym, żeby handel odpowiadał możliwościom naszej gospodarki, ale nie na waszych warunkach. Nie jestem udzielnym władcą. Jestem tylko sługą ludu i wypełniam jego wolę — rzekł podniesionym głosem. — Mój lud za nic nie przyjmie handlarzy odzianych w purpurę i złoto.

Mallow wyprostował się.

— Chodzi o religię narzuconą siłą? — spytał.

— Tak się to zawsze kończyło. Na pewno pamięta pan przypadek Askony sprzed dwudziestu lat. Najpierw sprzedano tam trochę waszych wyrobów, a potem wasi ludzie poprosili o zgodę na całkowitą swobodę działania dla waszych misjonarzy, którzy mieli dbać o to, żeby wyrobów tych właściwie używano i którzy mieli założyć świątynie zdrowia. Potem pojawiły się szkoły teologiczne, urzędnicy kościelni uzyskali autonomię — a skutek jaki? Taki, że Askona jest teraz integralną częścią Fundacji, a Wielki Mistrz nawet o swoich gaciach nie może powiedzieć, że to jego własność. O, nie! Wolny naród, naród, który ceni swoją godność, nigdy na to nie przystanie!

— Nie sugeruję nic takiego — zachnął się Mallow.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Jestem wolnym handlarzem. Moją religią jest pieniądz. Cały ten mistycyzm i sztuczki misjonarzy irytują mnie i cieszę się, że nie chce się pan na to zgodzić. Widzę, że jest pan człowiekiem mojego pokroju.

Komodor zaśmiał się piskliwym, urywanym głosem:

— Dobrze powiedziane! Fundacja już dawno powinna mi była przysłać takiego człowieka.

Położył przyjacielskim gestem rękę na masywnych barkach handlarza.

— Ale powiedział mi pan dopiero połowę. Powiedział pan, jakiego haczyka w tym nie ma. A teraz niech pan powie, jaki haczyk w tym tkwi.

— Tylko taki, Komodorze, że zasypię pana nieprzeliczonymi bogactwami.

— Naprawdę? A co ja zrobię z tymi bogactwami? — zdziwił się Komodor obłudnie. — Prawdziwym bogactwem jest miłość ludu, a to już mam.

— Może pan mieć i jedno, i drugie. Można jedną ręką obejmować miłośnię, a drugą zgarniać złoto.

— Otóż byłoby to bardzo interesujące, młody człowieku, gdyby było możliwe. Jak pan by się do tego zabrał?

— No, cóż, jest wiele sposobów. Problem polega na tym, który wybrać. Zastanówmy się.

Weźmy na przykład artykuły luksusowe. Ten oto przedmiot... — mówiąc to, Mallow wyciągnął ostrożnie z wewnętrznej kieszeni kurtki płaski łańcuszek z polerowanego metalu. — To, na przykład — rzekł.

— Co to jest?

— To trzeba zademonstrować. Może się pan postarać o jakąś dziewczynę? Jakąkolwiek. I o duże lustro.

— Hmm. Wobec tego wejdźmy do środka. Swoją siedzibę Komodor określał mianem domu. Pospółstwo niewątpliwie nazwałoby ją pałacem. Dla Mallowa była to po prostu forteca. Zbudowana była na wzniesieniu górującym nad stolicą. Miała grube, wzmocnione ściany. Dostępu do niej strzegły straże. Cała budowla zaplanowana została z myślą o obronie przed nagłym atakiem. Idealna siedziba — pomyślał Mallow — dla Aspera Umiłowanego.

Przed nimi stała młoda dziewczyna. Złożyła głęboki ukłon Komodorowi, który rzekł:

— To jedna z dziewcząt Komodory. Będzie dobra?

— Znakomita!

Komodor przyglądał się uważnie poczynaniom Mallowa. Mallow szybkim ruchem zaplął łańcuszek wokół talii dziewczyny i odstał do tyłu.

Komodor sapnął:

— No tak. To wszystko?

— Czy mógłby pan zaciągnąć zasłonę, Komodorze? Słuchaj, panno, przy zatrasku jest mały guziczek. Naciśnij go, dobrze? Śmiało, nic ci się nie stanie.

Dziewczyna zrobiła to, o co prosił, wzięła głęboki oddech, spojrzała na swoje odbicie w lustrze i krzyknęła z zachwytem: — Och!

Od pasa w górę spowijało ją blade, zimne opalizujące światło, które tworzyło nad jej głową oślepiająco jasną koronę, jakby zrobioną z żywego ognia. Wyglądało to tak, jakby ktoś ściągnął z nieba zorzę polarną i uczynił z niej welon wokół głowy dziewczyny. Podeszła do lustra i zamarła w zachwycie.

— Masz, weź to — Mallow podał jej naszyjnik z matowych kamyków. — Załóż na szyję

Gdy naszyjnik znalazł się w polu luminescencji łańcuszka, każdy z jego kamyków zamienił się w płomień, który drgał i mienił się odcieniami złota i purpury.

— Co o tym myślisz? — spytał Mallow dziewczynę. Nie odpowiedziała, ale w jej oczach widać było zachwyt. Komodor skinął dłonią i dziewczyna z ociąganiem przesunęła guzik w dół. Aureola zgasła. Dziewczyna wyszła, unosząc ze sobą wspomnienie niezwyklej chwili.

— To jest pana, Komodorze — rzekł Mallow.

— Dla Komodory. Proszę to potraktować jako drobny upominek od Fundacji.

— Hmm. . . — Komodor obracał łańcuszek i naszyjnik w ręku, jakby obliczał ich wagę. — Jak to się robi?

Mallow wzruszył ramionami.

— To pytanie do naszych ekspertów technicznych. Ale to działa bez — proszę pamiętać — bez pomocy kapłanów.

— No, cóż, to w końcu tylko babskie świecidełka. Co można z tym zrobić? Skąd się wezmą pieniądze?

— Macie tu bale, przyjęcia, bankiety — coś w tym rodzaju?

— O, tak.

— Czy zdaje pan sobie sprawę, ile zapłaci każda kobieta za taką biżuterię? Przynajmniej dziesięć tysięcy kredytów.

Komodor rzekł tylko: — Ach! — Wydawał się zupełnie oszołomiony.

— A ponieważ baterie zasilające te świcidelka starczą tylko na pół roku, trzeba je będzie często zmieniać. No więc, możemy sprzedać tego tyle, ile pan zechce — za równowartość tysiąca kredytów w kutym żelazie. Zarobi pan na tym dziewięćset procent.

Komodor w milczeniu skubał swą rzadką bródkę. Wydawał się całkowicie pogrążony w jakichś straszliwych obliczeniach. Nagle jego oblicze się rozjaśniło.

— Na Galaktykę! Już widzę, jak te bogate wdowy biją się o nie! Postaram się, żeby dostawy były niewielkie — niech się licytują, która da więcej. Oczywiście nie można dopuścić, żeby się domyślały, że ja osobiście...

— Jeśli pan sobie życzy, możemy wyjaśnić zasady działania fikcyjnych korporacji... A potem niech pan bierze, jak leci, artykuły gospodarstwa domowego. Możemy dostarczyć kompletne wyposażenie domu. Mamy składane piecyki, w których najtwardsze mięso dojdzie do żądanej miękkości w ciągu dwu minut. Mamy noże, których nie trzeba ostrzyć. Mamy całkowite wyposażenie pralni, które zmieści się w niewielkim pomieszczeniu i działa zupełnie automatycznie. Mamy zmywarki do naczyń. Mamy automatyczne odkurzacze, maszyny do czyszczenia podłóg, maszyny do czyszczenia mebli, zapalarki do gazu — słowem, wszystko, czego potrzebuje gospodyni domowa. Proszę pomyśleć, jak wzrośnie pana popularność, kiedy pan to udostępni ogółowi. Proszę pomyśleć, jak wzrosną pana... hmm... zasoby, jeśli na sprzedaż tego wszystkiego, z dziewięćsetprocentowym zyskiem, rząd będzie miał monopol. Zresztą te rzeczy będą dla nich więcej warte niż to, co za to zapłacą, a nie muszą przecież wiedzieć, po ile pan je kupuje. I niech pan weźmie pod uwagę, że żaden z tych artykułów nie wymaga opieki ze strony kapłanów. Wszyscy będą zadowoleni.

— Z wyjątkiem pana, jak się zdaje. Co pan będzie miał z tego?

— To, co każdy handlarz zgodnie z prawami Fundacji. Moi ludzie i ja będziemy mieć połowę zysków ze sprzedaży. Niech pan kupi to, co chcę sprzedać i obydwaj na tym całkiem dobrze wyjdziemy. Całkiem dobrze.

Komodor delectował się już w myślach swoimi zyskami.

— Co pan za to chce? Jak pan powiedział — żelazo?

— Tak, a także węgiel, boksyty... Również tytoń, pieprz, magnez, drewno. Tylko to, czego macie pod dostatkiem.

— To brzmi zachęcająco.

— Tak myślę, Aha, przy okazji jeszcze jedna sprawa, Komodorze. Mógłbym wymienić wyposażenie waszych fabryk.

— Hę? Jak to?

— No, weźmy choćby wasze stalownie. Mam takie poręczne urządzenia, które obniżyłyby koszty produkcji do wysokości jednego procenta kosztów obecnych. Mógłby pan zmniejszyć ceny o połowę, a i tak przynosiłoby to przedsiębiorcom grube zyski, w czym miałby pan oczywiście udział. Mógłbym pokazać, dokładnie, w czym rzecz. Macie jakąś stalownię w tym mieście? To nie zajmie dużo czasu.

— To się da załatwić, handlarzu Mallow. Ale to jutro, jutro. Może zjadłby pan z nami kolację dziś wieczorem?

— Moi ludzie... — zaczął Mallow.

— Oni niech też przyjdą — rzekł wspaniałomyślnie Komodor. — Takie symboliczne zbratanie naszych narodów. Będziemy mieli okazję do dalszej przyjacielskiej rozmowy. Ale jedna uwaga — jego twarz przybrała surowy wyraz — ani słowa o waszej religii. Niech pan nie myśli, że to okazja dla wkroczenia misjonarzy.

— Komodorze — rzekł sucho Mallow. — Daję panu słowo, że religia zmniejszyłaby moje zyski.

— No, to na razie tyle. Straż odprowadzi pana na statek.

6

Komodora była znacznie młodsza od męża. Twarz miała bladą i chłodną, a jej czarne włosy były gładko zaczesane do tyłu.

Powiedziała zgryźliwie:

— Czy raczyłeś już skończyć, mój szlachetny mężu? Czy raczyłeś już skończyć? Mam nadzieję, że gdyby mi przyszła na to ochota, to mogłabym teraz pójść nawet do ogrodu.

— Licia, niepotrzebnie dramatyzujesz, kochanie — powiedział łagodnie Komodor. — Ten młody człowiek będzie dziś na kolacji i możesz z nim porozmawiać, o czym tylko zapragniesz, a nawet, jeśli będziesz miała na to ochotę, możesz się przysłuchiwać temu, o czym ja będę z nim mówił. Trzeba gdzieś tu przygotować miejsce dla jego ludzi. Oby gwiazdy zrzędziły, by nie było ich zbyt wielu.

— Najprawdopodobniej okażą się wielkimi żarłokami, którzy będą pochłaniać całe poście zwierzyny i pić wino beczkami. A potem będziesz jęczał przez dwie noce z rzędu, kiedy obliczysz wydatki.

— Hmm, może nie będzie tak źle. Wbrew temu, co myślisz, kolacja będzie bardzo wystawna.

— Ach, tak, rozumiem — spojrzała na niego pogardliwie. — Bardzo się zaprzyjaźniłeś z tymi barbarzyńcami. Może właśnie dlatego nie chciałeś, żebym była obecna przy waszej rozmowie. A może w swej nędznej duszyczce knujesz coś przeciw memu ojcu?

— Nic podobnego.

— Myślisz, że ci uwierzę, co? Jeśli kiedykolwiek poświęcono biedną kobietę dla polityki, zmuszając ją do zawarcia okropnego małżeństwa, to tą kobietą byłam właśnie ja. Bardziej odpowiedniego mężczyznę mogłabym znaleźć nawet w błotnistych zaułkach mego rodzinnego świata.

— Tak? No więc, słuchaj, co ci powiem, moja pani. Możesz sobie wracać w swoje rodzinne strony, tylko zostawię sobie na pamiątkę tę część twojej osoby, którą mogłem poznać najlepiej — twój język. A żeby — przechylił głowę na bok, obrzucając ją taksującym spojrzeniem — ostatecznie i całkowicie poprawić twoją urodę, każę ci również obciąć uszy i koniuszek nosa.

— Nie ośmieliłbyś się, ty mopsie! Mój ojciec obróciłby twój lilipuci kraj w pył gwiazdny. Zresztą zrobiłby to i bez tego, gdybym tylko powiedziała mu, że zadajesz się z tymi barbarzyńcami.

— Hmm... No, już dobrze — nie będziemy się straszyć. Dziś wieczorem będziesz sama mogła wypytać tego młodego człowieka. A na razie, pani, trzymaj język za zębami.

— Bo tak mi każesz?

— Weź to i bądź wreszcie cicho — mówiąc to, okręcił jej łańcuszek wokół talii i założył naszyjnik na szyję. Przekręcił gałkę i odstał krok do tyłu.

Komodora wstrzymała oddech i sztywno wyciągnęła ręce. Delikatnie pogładziła naszyjnik i westchnęła.

Komodor zatarł ręce z zadowolenia i rzekł:

— Możesz to włożyć na siebie dziś wieczorem. Postaram się o więcej. A teraz bądź cicho.

Po raz pierwszy Komodora nie rzekła ani słowa.

7

Jaim Twer chodził nerwowo z kąta w kąt. W pewnej chwili przystanął i spytał:

— Dlaczego się tak wykrzywiasz?

Hober Mallow ocknął się z zadumy.

— Wykrzywiam się? Nie wiem dlaczego.

— Musiało się wczoraj coś wydarzyć... to znaczy, coś oprócz tej uczty. — Zamilkł, a potem dorzucił nagle z przekonaniem: — Mallow, są jakieś kłopoty, tak?

— Kłopoty? Nie. Wprost przeciwnie. Powiem ci, że czuję się tak, jakbym rzucił się całym ciałem na drzwi, które właśnie wtedy same się otworzyły. Za łatwo nam poszło z uzyskaniem pozwolenia na wejście do tej stalowni.

— Myślisz, że to pułapka?

— Och, na Seldona, nie bądź melodramatyczny! — Mallow opanował zniecierpliwienie i dodał spokojnym tonem: — Chodzi po prostu o to, że łatwy dostęp

oznacza, iż nie ma tam czego oglądać.

— Energia jądrowa, co? — Twer zastanawiał się głośno. — Powiem ci coś — nic nie wskazuje, żeby korzystali z energii jądrowej, a byłoby raczej trudno zatrzeć wszelkie ślady korzystania z tak podstawowej technologii.

— Ale nie w stadium początkowym, kiedy stosowano by ją tylko w przemyśle zbrojeniowym, to znaczy w stoczniach i stalowniach.

— A więc, jeśli jej nie znajdziemy, to...

— To jej nie mają... albo nie pokazują. Orzeł czy reszka? Spróbuj zgadnąć.

Twer pokręcił głową.

— Szkoda, że nie byłem tam wczoraj z tobą.

— Ja też tego żałuję — rzekł Mallow lodowatym tonem. — Nie mam nic przeciw moralnemu wsparciu. Niestety, warunki spotkania ustalił Komodor, a nie ja. Ten wehikuł na zewnątrz wygląda na samochód Komodora, który ma nas zabrać do stalowni. Masz przyrządy?

— Mam wszystko, co trzeba.

8

Stalownia była duża, ale sprawiała wrażenie opuszczonej i zaniedbanej, czego nie były w stanie zatrzeć ślady powierzchniowych napraw. Gdy w jej murach zjawiał się niezwykle gość — Komodor, ze swą świtą, była zupełnie pusta i panował w niej nienaturalny spokój.

Mallow rzucił niedbale arkusz stalowej blachy na dwie podpory. Wziął przyrząd, który podał mu Twer i ujął palcami skórzaną rączkę umieszczoną w ołowianej osłonie.

— Ten przyrząd — rzekł — jest wprawdzie niebezpieczny, ale nie bardziej niż zwykła piła mechaniczna. Po prostu trzeba trzymać palce z daleka.

Mówiąc to, zbliżył wylot rozcinacza do blachy i przesunął go szybko w poprzek arkusza, który natychmiast rozpadł się na dwie części.

Wszyscy odskoczyli, a Mallow roześmiał się. Podniósł jedną z połówek arkusza i oparł o kolano.

— Długość cięcia można ustawić z dokładnością do setnych części cala — rzekł. — Dwu-calowy arkusz przecina się z taką samą łatwością. Jeśli głębokość cięcia jest dokładnie obliczona, to można ciąć na drewnianym stole nie zostawiając najmniejszej rysy.

Jego słowom towarzyszyły ruchy atomowego noża i za każdym cięciem leciał na podłogę lekko wygięty kawałek blachy.

— To jest — powiedział — struganie stali. Cofnął nóż.

— Można też używać tego jako hebla. Trzeba zmniejszyć grubość arkusza, wygładzić nierówności albo usunąć rdzę? Proszę bardzo. — Mówiąc to, zaczął

zdzierać z drugiej połowy arkusza cienkie jak folia, przezroczyste warstwy metalu o szerokości najpierw sześciu, potem ośmiu, a wreszcie dwunastu cali.

— A może trzeba wywiercić dziury? Wszystko odbywa się na tej samej zasadzie.

Wokół niego zrobiło się tłoczno. Mogło to wyglądać na kuglarskie sztuczki, pokaz ulicznego magika, ale Mallow był po prostu dobrym handlarzem. Komodor Asper obracał w palcach wiórki stali. Wysocy urzędnicy wspinali się na palce, zaglądali sobie przez ramię i wymieniali szeptem uwagi, a Mallow za każdym przyłożeniem swego atomowego wiertła zostawiał w twardej stali śliczną, okrągłą dziurkę o zupełnie gładkich brzegach.

— Jeszcze tylko jeden pokaz. Niech ktoś przyniesie dwa krótkie kawałki rury.

Poderwał się jakiś dostojny szambelan, nie zwracając w podnieceniu uwagi na to, że plami sobie ręce niczym zwykły robotnik.

Mallow ustawił oba kawałki na sztorc obok siebie i jednym pociągnięciem noża ściął ich końce. Potem złożył je razem, ściętymi końcami do siebie.

I była to jedna rura. Świeżo ścięte końce, bez choćby atomowych nieregularności, utworzyły po połączeniu jedną gładką rurę, bez śladu szwu.

Wreszcie Mallow podniósł głowę, popatrzył na zgromadzonych wokół niego ludzi i zaczął mówić, ale nagle zająknął się i zamilkł. Serce zabiło mu żywiej, a w żołądku poczuł chłód.

W zamieszaniu wywołanym pokazem osobista ochrona Komodora precyzyjnie przesuwała się aż do pierwszego rzędu widzów i Mallow znalazł się po raz pierwszy wystarczająco blisko, aby zobaczyć dokładnie ich dziwną broń.

Była to broń Jądrowa! Nie było żadnych wątpliwości — broń palna o takiej lufie nie mogła istnieć. Ale nie to było najważniejsze. To w ogóle nie miało znaczenia.

Na kolbach wyraźnie widniały złote, nieco starte od używania plakietki z rysunkiem statku kosmicznego i słońca!

Z takim samym rysunkiem jak ten, który widniał na oprawie każdego z potężnych tomów Encyklopedii, której wydanie rozpoczęła dziesiątka lat temu Fundacja. Z rysunkiem tego samego statku kosmicznego i słońca, które przez tysiąclecia rozślawiały imię Imperium Galaktycznego.

Mallow gadał teraz jak najęty:

— Proszę sprawdzić tę rurę. To jeden kawałek. Nie jest to doskonałe, jasna sprawa, że nie można ręcznie połączyć dwóch kawałków.

Ale myślami był gdzie indziej.

Nie było już potrzeby uciekania się do sztuczek. To się skończyło. Mallow nie potrzebował już nic więcej. Miał to, czego szukał. W głowie wciąż tkwił mu jeden obraz — złota kula z konwencjonalnie przedstawionymi promieniami i obły kształt cygara, który przedstawiał statek kosmiczny.

Statek kosmiczny i słońce Imperium!

Imperium! Słowa te drażyły jego mózg. Minęło półtora wieku, ale gdzieś w głębi Galaktyki wciąż istniało Imperium. I znowu wyłaniało się z tych głębi i sięgało po Peryferie.

Mallow uśmiechnął się.

9

„Odległa Gwiazda” już od dwu dni znajdowała się w przestrzeni, kiedy Hober Mallow poprosił do swej prywatnej kajuty starszego porucznika Drawta i wręczył mu kopertę, mikrofilm i srebrzysty sferoid.

— Za pół godziny od tej chwili, poruczniku, przejmie pan obowiązki kapitana „Odległej Gwiazdy”. Do mego powrotu lub... na zawsze.

Draft uczynił ruch, jakby chciał się podnieść, ale Mallow stanowczym gestem nakazał mu pozostanie na miejscu.

— Proszę słuchać. Ta koperta zawiera dokładny opis położenia planety, ku której macie się kierować. Tam będziecie na mnie czekać przez dwa miesiące. Jeśli przed upływem tego czasu zlokalizuje was Fundacja, to ten mikrofilm zawiera mój raport.

— Gdybym jednak — w jego głosie pojawił się posępny ton — nie powrócił w czasie dwóch miesięcy, a statki Fundacji nie odkryły was, to ruszajcie na Terminusa i wręczcie kapsułkę czasową jako mój oficjalny raport. Rozumie pan?

— Tak, sir.

— I nigdy nie wolno ani panu, ani nikomu innemu z załogi powiedzieć nic ponad to, co jest w tym raporcie. Na żaden temat.

— A jeśli będą nas przesłuchiwać?

— Nic nie wiecie.

— Tak, sir.

I na tym skończyła się rozmowa, a pięćdziesiąt minut później od burty „Odległej Gwiazdy” odbiła kosmiczna łódź ratunkowa.

10

Onum Barr był starym człowiekiem, zbyt starym, aby się czegokolwiek obawiać. Od czasu ostatnich rozruchów mieszkał samotnie na skraju posiadłości, z książkami, które udało mu się wydobyć z ruin. Nie miał niczego, co bałby się stracić, a już najmniej dbał o te resztki życia, które mu jeszcze pozostały, więc bez strachu spojrzął w twarz intruza.

— Drzwi były otwarte — rzekł obcy. Miał dziwną, szorstką wymowę, a na biodrze, co nie umknęło uwagi Barra, kołysała się dziwna, wykonana z błękitnej

stali broń. W półmroku panującym w niewielkim pokoiku Barr zauważył również lekko jarzący się ekran ochronny otaczający sylwetkę przybysza. Odparł znużonym głosem:

— Nie ma powodu, żeby były zamknięte. Czy chcesz czegoś ode mnie?

— Tak.

Obcy nadal stał pośrodku pokoju. Był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną. — To jedyny dom tutaj.

— To bezludne miejsce — zgodził się Barr — ale na wschód stąd znajduje się miasto. Mogę wskazać drogę.

— Za chwilę. Mogę usiąść?

— Jeśli krzesło wytrzyma — rzekł poważnie starzec. Krzesła również były stare. Były pamiątkami lepszych czasów.

Obcy rzekł:

— Nazywam się Hober Mallow. Przybywam z odległej prowincji.

Barr kiwnął głową i uśmiechnął się.

— Twój język zdradził cię od razu. Jestem Onum Barr z Siwenny... niegdyś patrycjusz Imperium.

— A więc to jest Siwenna. Mam stare mapy.

— Muszą rzeczywiście być stare, skoro pomyliłeś pozycje gwiazd.

Barr siedział nieruchomo, a oczy jego gościa zasnuły się mgłą zadumy. Barr zauważył, że jądrowy ekran ochronny otaczający jeszcze niedawno przybysza znikł, i pomyślał gorzko, że jego osoba nie może już zaimponować obcym... nawet — bez względu na to, czy dobrze to czy źle — wrogom.

Powiedział:

— Mój dom jest ubogi, a zasoby mam mizerne. Mogę się z tobą podzielić, jeśli twój żołądek zniesie czarny chleb i suszoną kukurydzę.

Mallow potrząsnął głową.

— Dziękuję, już jadłem i muszę zaraz iść. Potrzebuję tylko wskazówek, jak dotrzeć do centrum rządowego.

— To nic trudnego i przy całej mojej biedzie nic mnie nie kosztuje. Chodzi ci o stolicę planety czy sektora Imperium?

Oczy przybysza zwięziły się.

— A czy to nie jedno i to samo? Czy to nie Siwenna?

Stary patrycjusz wolno pokiwał głową.

— Tak, Siwenna. Ale Siwenna nie jest już stolicą Sektora Normanicznego. Zwiodły cię twoje stare mapy. Gwiazdy mogą nie zmieniać się przez wieki, ale granice polityczne są płynne.

— To niedobrze. Prawdę mówiąc, to bardzo źle. Czy nowa stolica jest daleko stąd?

— Jest na Orshy II. Dwadzieścia parseków stąd. Twoja mapa wskaże ci drogę. Bardzo jest stara? J

— Ma sto pięćdziesiąt lat.

— Aż tyle? — starzec westchnął. — Wiele się zmieniło od tamtej pory. Słyszałeś coś o tym?

Mallow wolno potrząsnął głową.

Barr rzekł:

— Masz szczęście. Z wyjątkiem okresu panowania Stannella VI były to złe czasy dla prowincji, a Stannell VI zmarł pięćdziesiąt lat temu. Od tamtego czasu nic tylko przewrót za przewrotem i ruiny.

Barr zaczął się zastanawiać, czy nie staje się gadatliwy. Wiódł życie samotnika i rzadko miał okazję, żeby z kimś porozmawiać.

Mallow rzekł nagle ostro:

— Ruiny? Mówisz tak, Jakby prowincja była pogrążona w nędzy.

— Może nie w skali bezwzględnej. Minie dużo czasu, nim zużyją się zasoby naturalne dwudziestu pięciu planet pierwszej klasy. Ale w porównaniu z bogatym poprzednim stuleciem nisko upadliśmy i, jak dotąd, nic nie wskazuje na to, żeby ta sytuacja miała się zmienić. Dlaczego to wszystko tak cię interesuje, młodzieńcze? Bardzo się ożywiłeś. . . oczy aż ci się świecą.

Handlarz nieomal się zarumienił, gdy starzec zajrzał mu zbyt głęboko w oczy i uśmiechnął się na widok tego, co w nich zobaczył.

Powiedział więc:

— Jestem handlarzem stamtąd — z obrzeża Galaktyki. Zlokalizowałem parę starych map i wyleciałem, żeby zdobyć nowe rynki. Jest zupełnie naturalne, że niepokoi mnie wiadomość o biednych prowincjach. Nie można zdobyć pieniędzy tam, gdzie ich nie ma. A jak ma się rzecz z Siwenną?

Starzec pochylił się do przodu.

— Nie potrafię powiedzieć. Może nawet jeszcze teraz nieźle prosperuje. Ale ty i handlarz? Bardziej wyglądasz mi na człowieka walki. Trzymasz rękę w pobliżu broni, a na szczęce masz bliznę.

Mallow szarpnął głową.

— Tam, skąd przybywam, nie bardzo przestrzega się prawa. Walki i blizny są wliczone w koszty mojego zawodu. Ale walka ma sens tylko wtedy, kiedy jej ukoronowaniem są pieniądze, a jeśli uda się je zdobyć bez walki, to tym lepiej. Otóż interesuje mnie czy znajdę tu dosyć pieniędzy, żeby warto było o nie walczyć. Myślę, że ta walka okaże się dosyć łatwa.

— Dosyć łatwa — zgodził się Barr. — Możesz przystać do niedobitków Wiscarda w Czerwonych Gwiazdach. Chociaż nie wiem, czy to, co oni robią, nazywałbyś walką czy piractwem. Albo możesz się zaciągnąć do armii miłościwie nam panującego wicekróla — panującego miłościwie dzięki mordom, gwałtom, grabieżom i słowu nieletniego imperatora, zresztą tuż po daniu tej obietnicy zamordowanego w całym majestacie prawa.

Twarz patrycjusza poczerwieniała. Przymknął oczy, a gdy je otworzył, jarzyły się niczym ognie.

— Wygląda na to, że nie żywisz zbyt przyjaznych uczuć do wicekróla, patrycjusza Barr — rzekł Mallow. — A jeśli jestem szpiclem?

— Jeśli jesteś szpiclem — powtórzył Barr gorzko. — Co możesz mi zabrać? — wskazał wychudłą dłonią puste wnętrze rozpadającego się dworu.

— Życie.

— Łatwo by mi przyszło je oddać. I tak żyję o pięć lat za długo. Ale nie jesteś człowiekiem wicekróla. Gdybyś nim był, to może, mimo wszystko, instynkt samozachowawczy zamknąłby mi usta.

— Skąd wiesz, że nie jestem? Starzec roześmiał się.

— Jesteś podejrzliwy. Założę się, że myślisz, iż próbuję zwabić cię w pułapkę i zadenuncjować. Nie, nie. Polityka już mnie nie obchodzi.

— Już nie? Czy człowieka kiedykolwiek przestaje obchodzić polityka? A słowa, którymi opisałeś wicekróla, to co? Morderstwa, grabieże i tak dalej. Nie był to obiektywny opis. W każdym razie nie taki, jaki dałbyś, gdyby cię nie obchodziła polityka.

Starzec wzruszył ramionami.

— Wspomnienia ranią, jeśli nadejdą nagle. Posłuchaj i sam osądź. Kiedy Siwenna była stolicą prowincji, byłem patrycjuszem i członkiem senatu. Pochodzę ze starego, ogólnie szanowanego rodu. Jeden z moich przodków był... no, mniejsza z tym. Miniona chwała jest mizerną pociechą.

— Z tego, co mówisz, wnoszę, że miała tu miejsce wojna domowa albo rewolucja. Twarz Barra pociemniała.

— W tych czasach zepsucia wojny domowe są chlebem powszednim, ale Siwenna trzymała się od tego z daleka. Pod rządami Stannella VI prawie powróciły dawne dobre czasy. Ale potem nastąpili słabi imperatorzy, a kiedy imperatorzy są słabi, silni są wicekrólowie. Nasz ostatni wicekról — ten właśnie Wiscard, którego ludzie łupią teraz handlarzy między Czerwonymi Gwiazdami — zapragnął dla siebie cesarskiej purpury. Nie on pierwszy zresztą. A gdyby udało mu się ją zdobyć, to również nie byłby to pierwszy taki przypadek.

Ale nie udało mu się. Bo kiedy admirał Imperium zbliżył się do granic prowincji na czele całej floty, Siwenna zbuntowała się i powstała przeciw zbuntowanemu wicekrólowi... — urwał i pogrzyżył się w smutnych wspomnieniach.

Mallow uświadomił sobie, że siedzi sztywno wyprostowany na brzeżku krzesła i powoli się rozluźnił.

— Proszę mówić dalej — rzekł.

— Dziękuję — odparł Barr zmęczonym głosem. — To uprzejmie z twojej strony, że starasz się być miły dla starca. Zbuntowali się, a raczej powinienem powiedzieć — zbuntowaliśmy się, bo byłem jednym z niższych przywódców. Wiscard opuścił Siwennę w ostatniej chwili i cała planeta i prowincja stały otworem

przed admirałem, wyrażając każdym gestem wierność wobec imperatora. Dlaczego to zrobiliśmy, trudno mi powiedzieć. Może czuliśmy przywiązanie do symbolu władzy, jeśli nie do osoby imperatora, okrutnego i złego dziecka. Może lękaliśmy się okropieństw oblężenia...

— No i? — Mallow łagodnie go ponaglił.

— No i — odrzekł ponuro starzec — to nie było po myśli admirała. Chciał sławy dowódcy ujarzmiającego zbuntowaną prowincję, a jego ludzie pragnęli łupów, które dostałyby się im przy tym. Tak więc, podczas gdy mieszkańcy Siwenny byli wciąż zgromadzeni w większych miastach i wychwalali imperatora i jego admirała, on zajął wszystkie fortyfikacje, a potem wydał rozkaz do ataku na ludność cywilną.

— Pod jakim pretekstem?

— Pod pretekstem, że zbuntowaliśmy się przeciw swemu wicekrólowi, naznaczonemu przez imperatora. A potem, po miesięcznej masakrze niewinnych ludzi, rabunkach i zupełnym terrorze, admirał sam został wicekrólem. Miałem sześciu synów. Pięciu zginęło w różnych okolicznościach. Miałem córkę. Mam nadzieję, że w końcu też zginęła. Ja unikałem śmierci, bo byłem stary. Wróciłem tu, bo byłem za stary na to, żeby wzbudzić obawę w sercu naszego wicekróla. — Pochylił siwą głowę. — Nie zostawili mi nic dlatego, że pomogłem usunąć zbuntowanego zarządcę prowincji i pozbawiłem w ten sposób admirała należnej mu sławy.

Mallow siedział milcząc i czekał. Potem spytał łagodnym głosem:

— A co się stało z szóstym synem?

— He? — Barr ocknął się z zadumy i uśmiechnął się krzywo. — On jest bezpieczny, bo zaciągnął się pod przybranym nazwiskiem, jako prosty żołnierz, do wojska admirała. Jest kanonierem w osobistej flocie wicekróla. Widzę po twoich oczach, co myślisz. O, nie, on nie jest wyrodnym synem. Podtrzymuje mnie przy życiu. A któregoś dnia nasz wielki i zwycięski wicekról poczołga się na spotkanie swej śmierci, a mój syn będzie tym, który wykona wyrok.

— I mówisz to obcemu? Narażasz syna, na niebezpieczeństwo.

— Nic podobnego. Udzielając informacji nowemu wrogowi wicekróla, pomagam mu w ten sposób. Ale gdybym był takim przyjacielem wicekróla, jakim jestem wrogiem, to poradziłbym mu, żeby jego statki spenetrowały zewnętrzne rejony przestrzeni, na skraju Galaktyki.

— Nie ma tam żadnych statków?

— A spotkałeś jakiegoś? Zatrzymywały cię statki straży granicznej? Przy niewielkiej ilości statków, w sytuacji gdy pograniczne prowincje grożą cały czas rebelią, nie można przeznaczyć ani jednego statku na pilnowanie granic od strony odległych barbarzyńskich systemów. Zresztą nie groziło nam nigdy żadne niebezpieczeństwo od strony zakrzywionego końca Galaktyki — nie groziło, dopóki ty się nie zjawiałeś.

— Ja? Ja nie jestem niebezpieczny.

— Za tobą przyjdą inni. Mallow wolno potrząsnął głową.

— Nie jestem pewien, czy cię dobrze rozumiem.

— Słuchaj! — głos starca drżał z przejęcia. — Jak tylko wszedłeś, od razu wiedziałem, z kim mam do czynienia. Masz, a przynajmniej miałeś, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, ekran ochronny wokół ciała.

Mallow przez chwilę milczał, jakby się wahał, a potem przyznał:

— Tak. Miałem.

— Dobrze. To był błąd, ale nie wiedziałeś o tym. Ja wiem co nieco. W tych czasach upadku naukowcy nie są w modzie. Jedno wydarzenie goni drugie i zaraz potem odchodzi w niepamięć, i kto nie potrafi stawić im czoła z miotaczem w dłoni, tego fala unosi ze sobą — tak, jak mnie. Ale ja byłem kiedyś naukowcem i wiem, że w całej historii atomistyki nie było wypadku, żeby gdziekolwiek wynaleziono kieszonkowy ekran ochronny. Mamy pola ochronne, ale są to olbrzymie, niezgrabne siłownie, które mogą chronić miasto czy nawet statek, ale nigdy pojedynczego człowieka.

— No i co z tego? — Mallow wydał dolną wargę. — Jaki z tego wyciągasz wniosek?

— Docierały do nas z przestrzeni różne wieści. Wędrowały różnymi drogami i z każdym parsekiem stawały się coraz bardziej zniekształcone, ale... kiedy byłem młody, wylądował pewnego razu mały statek z dziwnymi ludźmi, którzy nie znali naszych obyczajów i nie potrafili powiedzieć, skąd pochodzą. Opowiadali dziwne historie o magach mieszkających gdzieś na skraju Galaktyki, o magach, którzy świecą w ciemności, potrafią się poruszać w powietrzu bez pomocy jakichkolwiek urządzeń, i których nie ma się żadna broń.

Śmiałyśmy się z tych opowieści. Ja też się śmiałem. A potem zapomniałem o tym. Ale dziś zobaczyłem ciebie, a ty rzeczywiście świecisz w ciemności i myślę, że gdybym miał miotacz i chciał go użyć przeciw tobie, to nie poniósłbyś żadnej szkody. Powiedz mi — potrafisz latać? Mógłbyś się wznieść w powietrze bez niczego — tak jak teraz siedzisz?

Mallow rzekł spokojnie:

— Nic z tego nie rozumiem. Barr uśmiechnął się.

— Zadowolę się tą odpowiedzią. Nie egzaminuję swoich gości. Ale jeśli rzeczywiście istnieją tacy magowie i jeśli jesteś jednym z nich, to pewnego dnia będzie ich tu cała gromada. Może to dobrze. Może potrzebujemy dopływu nowej krwi — mruknął jeszcze coś bezgłośnie, a potem rzekł powoli: — Ale ten kij ma dwa końce. Nasz nowy wicekról też marzy o tym, o czym marzył stary Wiscard.

— O koronie imperatora?

Barr skinął głową.

— Mój syn słyszy różne rzeczy. Będąc w otoczeniu wicekróla, trudno tego nie słyszeć. Opowiada mi o tym. Nasz wicekról nie odmówiłby przyjęcia korony, gdyby mu ją zaproponowano, ale sam o to nie występuje, bo chce mieć zapew-

nioną drogę odwrotu. Mówi się też, że ponieważ nie udaje mu się wspiąć na tron imperatora, zamierza wykroić sobie nowe imperium z odległych barbarzyńskich ziem. Powiada się też, ale za prawdziwość tego nie ręczę, że wydał jedną ze swych córek za jakiegoś królika gdzieś na nieznanych peryferiach.

— Gdyby słuchać wszystkiego, co ludzie mówią. . .

— Wiem o tym. Mówi się o wiele więcej. Jestem stary i plotę bzdury. Ale co ty na to powiesz? — starzec spojrział przenikliwie w oczy Mallowa.

Handlarz chwilę zastanawiał się, po czym rzekł:

— Nic. Chciałbym natomiast o coś spytać. Czy Siwenna dysponuje energią jądrową? Zaraz, chwileczkę — wiem, że ma wiadomości z atomistyki. Chodzi mi o to, czy generatory są nietknięte, czy też może zostały zniszczone podczas ostatnich grabieży.

— Zniszczone? O, nie. Pół planety zostałyby starte w proch zanim najmniejsza siłownia zostałaby tknięta. Są one niezastąpione, a dostarczają energii flocie. Mamy największą i najlepszą flotę po tej stronie Trantora — dodał prawie z dumą.

— A więc od czego powinienem zacząć, gdybym chciał zobaczyć te generatory?

— Od niczego — odparł Barr stanowczo. — Jeśli tylko zbliżysz się do jakiegokolwiek ośrodka wojskowego, zastrzelą cię na miejscu. Zresztą nikt nie ma tam wstępu. Na Siwennie wciąż trwa stan wojenny i zawieszono prawa obywatelskie.

— Chcesz powiedzieć przez to, że wszystkie siłownie znajdują się pod nadzorem wojskowym?

— Nie. Są jeszcze niewielkie siłownie miejskie, które dostarczają energii do ogrzewania i oświetlania domów, napędu pojazdów i tak dalej. Ale są prawie tak samo niedostępne. Nadzorują je techmani.

— A kto to taki?

— Grupa specjalistów zajmujących się siłowniami. Tytuł jest dziedziczny, przechodzi z ojca na syna. Młodzi praktykują u swych ojców. Ich hasła to poczucie obowiązku, honor i takie tam sprawy. Nikt, z wyjątkiem techmanów, nie ma prawa wstępu do siłowni.

— Rozumiem.

— Nie powiem jednak — dodał Barr — żeby nie zdarzały się wśród nich przypadki przekupstwa. Przypuszczam, że w czasach, gdy w przeciągu pięćdziesięciu lat mieliśmy dziewięciu imperatorów, z których pięciu padło ofiarą zabójstwa, w czasach kiedy każdy kapitan statku aspiruje do godności wicekróla, a każdy wicekról myśli o władzy nad Imperium, nawet techmani dają się skusić na pieniądze. Ale na to trzeba fortuny, której nie posiadam. A ty masz?

— Pieniądze? Nie, ale czy tylko pieniądze mogą być łapówką?

— A co innego, skoro za pieniądze można dostać wszystko inne?

— Jest dość dużo rzeczy, których nie dostanie się za pieniądze. A teraz byłbym wdzięczny, gdybyś mógł mi wskazać drogę do najbliższego miasta z taką siłownią.

— Zaczekaj! — Barr wyciągnął chudą rękę. — Dokąd się śpieszysz? Przyszedłeś do mnie, ale nie zadaję ci żadnych pytań. W mieście, którego mieszkańców wciąż nazywa się buntownikami, zostaniesz zatrzymany przez pierwszego strażnika czy nawet zwykłego żołnierza, który usłyszy twoją obcą wymowę i zobaczy twoje ubranie.

Podniósł się i z kąta starej skrzyni wyciągnął niewielką książeczkę. — To mój paszport. . . fałszywy — rzekł. — Ułatwił mi ucieczkę.

Wcisnął go w dłoń Mallowa.

— Rysopis się nie zgadza, ale jeśli go odpowiednio ozdobisz, masz szansę, że nie będą zbyt dociekliwi.

— Ale co z tobą? Zostaniesz bez paszportu. Stary wygnaniec wzruszył ramionami.

— I co z tego? I jeszcze jedna rada — trzymaj język za zębami, Masz barbarzyńską wymowę, posługujesz się dziwnymi słowami i co jakiś czas używasz zdumiewających archaizmów. Im mniej będziesz mówił, tym mniej ściągniesz na siebie podejrzeń. A teraz wyjaśnię ci, jak dostać się do miasta. . .

Po pięciu minutach Mallowa już nie było. Ale zanim opuścił na dobre posiadłość starego patrycjusza, wrócił jeszcze na chwilę. A kiedy rankiem następnego dnia Onum Barr wyszedł do swego ogródka, znalazł tam pudełko. Były w nim zapasy żywności — koncentraty, jakie można znaleźć na pokładzie każdego statku, ale dziwnie przyrządzone i o dziwnym smaku.

Mimo to były dobre i starczyły na długo.

11

Techman był niski i pulchny. Miał puciołowatą twarz i różowawą łysą czaszkę, którą otaczał wianuszek włosów. Na palcach lśniły grube, ciężkie pierścienie, a ubranie rozsiewało woń perfum. Był pierwszym spotkanym przez Mallowa człowiekiem, który nie wyglądał na głodnego.

Techman skrzywił ironicznie usta i rzekł:

— No, mój człowieku, szybko. Czekają na mnie sprawy wielkiej wagi. Wyglądasz na obcego. . .

Patrząc podejrzliwie spod ciężkich powiek zdawał się szacować ewidentnie niesiweński ubiór Mallowa.

— Nie pochodzę z sąsiedztwa — rzekł spokojnie Mallow — ale ta sprawa nie ma znaczenia. Wczoraj miałem zaszczyt przesłać panu malutki upominek. . .

Nos techmana uniósł się w górę.

— Otrzymałem to. Interesująca błyskotka. Może będę miał okazję z niej skorzystać.

— Mam inne, bardziej interesujące prezenty. Zupełnie nieporównywalne z tą błyskotką.

— Ooo! — rzekł przeciągle techman domyślnym tonem. — Myślę, że wiem, do czego zmierzasz. Nie jesteś pierwszy. Chcesz mi ofiarować jakiś nędzny drobiazg — parę kredytów, płaszcz albo tandetną biżuterię — coś, czym według ciebie można przekupić techmana. — Wysunął wojowniczo dolną wargę. — I wiem, co chcesz w zamian. Byli tu już przed tobą tacy, których olśnił ten sam pomysł. Chcesz się wślizgnąć do naszego klanu. Chcesz, abym cię zapoznał z tajnikami atomistyki i nauczył konserwować maszyny. Spotyka was, psy siweńskie, codziennie kara za wasz bunt — prawdopodobnie udajesz cudzoziemca dla własnego bezpieczeństwa — więc myślisz, że możesz uciec od tego, na co zasłużyłeś, zaskarbując sobie przywileje i protekcję cechu techmanów.

Mallow chciał coś powiedzieć, ale głos techmana przeszedł nagle w ryk:

— Zmiataj stąd, zanim powiadomię o tym Protektora Miasta! Myślisz, że zdradzę okazane mi zaufanie? Może zrobiliby tak zdrajcy siweńscy, którzy byli tu przede mną, ale teraz masz do czynienia z ludźmi innego pokroju. Na Galaktykę, sam się sobie dziwię, że nie uduszę cię własnymi rękami!

Mallow uśmiechnął się pod wąsem. Ta przemowa była tak oczywiście sztuczna, zarówno w formie, jak i w treści, że całe szlachetne oburzenie techmana przerodziło się w zwykłą farsę.

Handlarz obrzucił ironicznym spojrzeniem sflaczałe ręce techmana — narzędzia jego niedoszłej kaźni i powiedział:

— O naczynie mądrości, mylisz się w trzech punktach. Po pierwsze, nie jestem szpiclem wicekróla, który ma sprawdzić twoją lojalność. Po drugie, ofiarowuję ci coś, czego, mimo całego otaczającego go splendoru, nie ma i mieć nie będzie sam imperator. Po trzecie, to, czego chcę w zamian, to zupełna drobnostka, prawie nic, mniej niż tchnienie.

— Co ty powiesz! — techman zmienił ton i rzekł z sarkazmem — a jakimż to cesarskim darem wasza dostojność zechce mnie łaskawie obdarować? Czymś, czego nie ma imperator, tak? — wybuchnął skrzekliwym, pogardliwym śmiechem. Mallow wstał i odsunął krzesło.

— O naczynie mądrości! Czekałem trzy dni na zaszczyt zobaczenia ciebie, ale pokaz zajmie tylko trzy sekundy. Gdybyś zechciał łaskawie wyciągnąć miotacz, którego kolbę widzę tuż przy twojej dłoni. . .

— Co?!

— . . . i strzelić do mnie, byłbym bardzo zobowiązany.

— Co?!

— Jeśli zginę, możesz powiedzieć policji, że próbowałem cię nakłonić, abyś zdradził mi za pieniądze tajemnice cechu. Otrzymasz pochwałę. A jeśli wyjdę

z tego cało, dostaniesz moją osłonę.

Techman dopiero teraz spostrzegł, że jego gościa otacza i spowija ciasno, niczym obłok perłowego kurzu, niewyraźna biała poświata. Lufa jego miotacza wzniosła się wolno do góry, a potem techman z wyrazem zdumienia i niedowierzania w oczach, nacisnął spust.

Cząstki powietrza ogarnięte nagle falą reakcji jądrowej zmieniły się w rozżarzone, płonące jony, które oślepiającym, cienkim strumieniem uderzyły w pierś Mallowa — i odbiły się od niej, rozpryskując się na wszystkie strony.

Spokojna twarz Mallowa nawet nie drgnęła, gdy fala energii jądrowej, która uderzyła w niego, została zneutralizowana przez delikatną perłową otoczkę, odbiła się od niej i rozplynęła bez śladu w powietrzu.

Miotacz wypadł techmanowi z ręki i potoczył się po podłodze.

— Czy imperator ma osobisty ekran ochronny? — spytał Mallow. — Ty możesz mieć. Techman wyjąkał:

— Czy pan jest techmanem?

— Nie.

— A więc... więc skąd pan to ma?

— A co cię to obchodzi? — rzekł Mallow pogardliwym tonem. — Chcesz to? — cienki łańcuszek z drobnych kulek upadł na biurko. — Proszę bardzo.

Techman schwycił łańcuszek i nerwowo przebierał w palcach jego ogniwa.

— To kompletne urządzenie? — spytał.

— Kompletne.

— A gdzie siła?

Palec Mallowa spoczął na największej, ale niepozornej kulce w ołowianej otoczce.

Techman podniósł głowę. Do twarzy napłynęła mu krew.

— Panie, jestem starszym techmanem. Mam za sobą dwadzieścia lat pracy w charakterze kontrolera i studiowałem u wielkiego Blera na Uniwersytecie Trantorskim. Jeśli chce mi pan wmówić, że taki malutki pojemnik wielkości... wielkości orzecha zawiera, niech to diabli, zawiera reaktor atomowy, to ręczę, że za trzy sekundy znajdzie się pan przed Protektorem.

— Mówię, że to kompletne urządzenie. Jeśli potrafisz, to sam to sobie wyjaśnij.

Rumieniec zaczął z wolna znikać z twarzy techmana. Owinął sobie łańcuszek wokół pasa, a potem, idąc za wskazówkami Mallowa, nacisnął gałkę. Otoczyła go niewyraźna poświata w kształcie półkuli. Wzniósł miotacz, ale zawahał się i cofnął rękę. Wolno nastawił go na niemal nieszkodliwy płomień. A potem drżącą ręką zamknął obwód. Ogień uderzył go w dłoń, nie czyniąc mu najmniejszej szkody.

— A co będzie, jeśli cię teraz zabiję i zatrzymam osłonę? — krzyknął.

— Spróbuj — rzekł Mallow. — Myślisz, że dałem ci swój jedyny egzemplarz?

On również otoczony był poświęcią. Techman zachichotał nerwowo. Rzucił miotacz na stół i spytał:

— A co to za drobiazg, to prawie nic, które pan chce w zamian?

— Chcę zobaczyć wasze reaktory.

— Zdaje pan sobie sprawę z tego, że to zabronione? Obaj narazilibyśmy się na wyrzucenie w przestrzeń.

— Nie chcę ich dotykać — nie chcę w ogóle nic robić. Chcę je tylko zobaczyć... z pewnej odległości.

— A jeśli się nie zgodzę?

— No cóż, masz teraz ekran ochronny, ale ja mam inne rzeczy. Między innymi miotacz przeznaczony specjalnie do przebijania takich osłon.

— Hmm... — oczy techmana biegały niespokojnie. — Niech pan idzie za mną.

12

Techman zajmował mały jednopiętrowy budynek przylegający do wielkiej, sześciokątnej, pozbawionej okien budowli, która wznosiła się w centrum miasta. Mallow do owej budowli dostał się przez podziemne przejście z mieszkania techmana. Otoczyło go przesycone ozonem powietrze.

Przez piętnaście minut szedł za swym przewodnikiem nic nie mówiąc. Nic nie uszło jego uwagi, chociaż niczego nie dotykał. W końcu techman rzekł zduszonym głosem:

— Starczy? W tym przypadku nie mogę ufać swoim podwładnym.

— A w ogóle możesz im ufać? — spytał ironicznie Mallow. — Starczy.

Znaleźli się z powrotem w biurze. Mallow spytał z zadumą:

— A więc te wszystkie generatory są w waszych rękach?

— Wszystkie — odrzekł techman z dumą w głosie.

— Utrzymujecie je w dobrym stanie i dbacie o to, żeby działały?

— Tak jest.

— A jeśli któryś się zepsuje? Techman pokręcił głową.

— Nie zepsują się. Nigdy się nie psują. Tak je zbudowano, żeby działały wiecznie.

— Wieczność to długi okres czasu. Założmy...

— To nienaukowe podejście zakładać coś, co się nie może zdarzyć.

— No, dobrze. Założmy więc, że wysadziłbym w powietrze jakąś ważną część. Przypuszczam, że te maszyny nie są uodpornione na działanie energii jądrowej, co? Założmy, że spaliłbym jakieś ważne połączenie albo rozbił lampę kwarcową...

— Wtedy — krzyknął techman z wściekłością — zostałbyś zabity!

— Wiem o tym! — Mallow także zaczął krzyżeć. — Ale co z generatorem? Mógłbyś go naprawić?

— Panie! — ryknął techman. — Dostał pan uczciwą zapłatę. Dostał pan, co pan chciał. A teraz wynocha! Nie jestem panu nic dłużny.

Mallow skłonił się szyderczo i wyszedł.

Dwa dni potem był już z powrotem w bazie, gdzie czekała „Odległa Gwiazda”, gotowa do powrotu na Terminusa.

Dwa dni potem zgasł też ekran techmana i mimo jego usiłowań i zaklęć nigdy już nie rozbłysł na nowo.

13

Po raz pierwszy od niemal pół roku Mallow odpoczywał. Leżał nago na plecach w pokoju słonecznym swego nowego domu. Przeciągnął się, napinając wszystkie mięśnie swych potężnych, opalonych na brązowo ramion, a potem rozluźnił je i, wygodnie rozciągnięty, zastygł w bezruchu.

Mężczyzna leżący obok włożył mu cygaro w zęby i przypalił. Przygryzł koniuszek swojego cygara i rzekł:

— Musisz być przepracowany. Może przydałby ci się dłuższy odpoczynek?

— Może by się przydał, ale wolę odpocząć w fotelu radnego. Bo chcę zdobyć ten fotel, a ty mi w tym pomożesz.

Ankor Jael uniósł brwi i spytał:

— A w jaki sposób ja się w tym znalazłem?

— W sposób zupełnie oczywisty. Po pierwsze, jesteś szanowanym politykiem. Po drugie, wyleciałeś z gabinetu przez Jorane’a Sutta, który raczej da sobie uciąć rękę, niż pozwoli, żebym znalazł się w Radzie. Nie dajesz mi dużych szans, co?

— Nie — przyznał były minister oświaty. — Jesteś Smyrneńczykiem.

— Z prawnego punktu widzenia to nie jest żadna przeszkoda. Mam świeckie wykształcenie.

— Daj spokój. Uprzedzenie jest samo dla siebie prawem. A co z tym twoim człowiekiem — z tym Jaimem Twerem? Co on na to?

— Rok temu mówił, że chce mnie wysunąć na członka Rady — odparł beztro-skim tonem Mallow — ale teraz przerosłem go. W każdym razie on nie mógłby tego przeforsować. Ma ograniczone horyzonty. Jest hałaśliwy i energiczny, ale to za mało. Ja chcę przeprowadzić prawdziwy zamach. Dlatego jesteś mi potrzebny.

— Jorane Sutt jest najsprytniejszym politykiem na planecie i będzie przeciw tobie. Nie sądzę, żebym był w stanie go przechytrzyć. Będzie zawzięcie walczył i nie myśl, że to będzie czysta walka.

— Mam pieniądze.

— To pomaga. Ale żeby przekonać uprzedzonych, trzeba mieć bardzo dużo... ty brudny Smyrnencyku.

— Mam dużo.

— No, cóż, zobaczę, co się da zrobić. Ale pamiętaj, żebyś potem nie łąził za mną i nie jęczał, że to ja cię do tego namówiłem. Kto tam?

Mallow opuścił kącki ust i rzekł:

— Myślę, że to Jorane Sutt we własnej osobie. Pospieszył się — domyślam się dlaczego. Unikałem go przez miesiąc. Słuchaj, Jael, przejdź do drugiego pokoju i nastaw cicho odbiornik. Chcę, żebyś słyszał naszą rozmowę.

Ruchem bosej stopy pomógł członkowi Rady opuścić pokój, a potem zgramolił się z materaca i włożył jedwabny szlafrok. Syntetyczne światło słoneczne przygasło i wyglądało jak blask zwykłej żarówki.

Sekretarz burmistrza wszedł sztywno, a uroczysty majordomus zamknął za nim cicho drzwi.

Mallow zawiązał pasek i rzekł:

— Usiądź, gdzie ci wygodnie, Sutt. W odpowiedzi Sutt skrzywił usta w nikłym uśmiechu. Wybrał wygodne krzesło, ale siadł sztywno na jego brzegu. Powiedział:

— Jeśli na początek przedstawiś swoje warunki, to będziemy mogli od razu przystąpić do interesów.

— Jakie warunki?

— Chcesz, żebym je z ciebie wyciągnął? No, dobrze... a więc, na przykład, co robiłeś w Korelii? Twój raport nie zawierał wszystkiego.

— Dałem ci go parę miesięcy temu. Wtedy byłeś zadowolony.

— Tak — Sutt w zamyśleniu potarł czoło palcem. — Ale od tego czasu twoje poczynania dają dużo do myślenia. Dobrze wiemy o tym, co robisz, Mallow. Wiemy dokładnie, ile otwierasz fabryk, wiemy, jak ci się z tym śpieszy i ile cię to kosztuje. No, i ten pałac — obrzucił pokój chłodnym, taksującym spojrzeniem — który kosztował cię znacznie więcej niż wynoszą moje całoroczne zarobki. A poza tym ta sieć, którą zarzucasz w wyższych warstwach naszej społeczności — bardzo kosztowna sieć.

— No i co z tego? O czym to świadczy oprócz tego, że masz dobrych informatorów?

— O tym, że masz pieniądze, jakich nie miałeś rok temu. A to może świadczyć o wszystkim... na przykład o tym, że w Korelii robiłeś dużo rzeczy, o których nic nie wiemy. Skąd bierzesz pieniądze?

— Mój drogi, chyba nie spodziewasz się, że ci powiem?

— No pewnie, że nie.

— Wiedziałem o tym. I właśnie dlatego powiem ci. Biorę je wprost ze skarbcza Komodora Korelii.

Sutt zmrużył oczy.

Mallow uśmiechnął się i mówił dalej:

— Muszę cię zmartwić, ale to pieniądze zarobione zupełnie legalnie. Jestem licencjonowanym handlarzem i zarobiłem je na sprzedaży stali zgrzewanej i chromitów, które dostałem za świecidełka. Dostarczyłem im tyle, ile zdołałem. Na mocy umowy z Fundacją pięćdziesiąt procent zysku ze sprzedaży jest moje. Drugą połowę bierze rząd — pod koniec roku, kiedy wszyscy dobrzy obywatele płacą podatek dochodowy.

— W raporcie nie było żadnej wzmianki o umowie handlowej.

— Nie było też żadnej wzmianki o tym, co miałem tamtego dnia na śniadanie, ani o mojej ostatniej kochance, ani o innych nieistotnych szczegółach — Mallow uśmiechnął się szyderczo. — Wysłano mnie — cytuję ciebie — po to, żebym miał oczy szeroko otwarte. No i nie zamykałem ich. Chciałeś wiedzieć, co się stało z zaginionymi statkami Fundacji. Ani ich nie widziałem, ani o nich nie słyszałem. Chciałeś się dowiedzieć, czy Korelia ma energię jądrową. Mój raport mówi o miotaczach atomowych będących na uzbrojeniu osobistej ochrony Komodora. Nic więcej nie widziałem. A te miotacze pochodzą z czasów Imperium i o ile wiem, mogą być tylko atrapami nie nadającymi się do użytku.

Jeśli o to chodzi, trzymałem się rozkazów, ale poza tym byłem i nadal jestem wolnym handlarzem. Zgodnie z prawami Fundacji licencjonowany handlarz może otwierać nowe rynki zbytu gdzie zechce i ma z tego połowę zysków. Masz coś przeciwko temu? Nie widzę podstaw.

Sutt spojrzął z nagłym zainteresowaniem na ściany i rzekł, z trudem hamując gniew:

— Jest dobrym zwyczajem handlarzy wprowadzać religię do nowych światów przy okazji uprawiania handlu.

— Stosuję się do prawa, a nie do zwyczaju.

— Niekiedy zwyczaj jest ważniejszy niż prawo.

— Zwróć się z tym do sądu.

Sutt podniósł głowę i spojrzął ponuro na Mallowa. Jego oczy wydawały się nikać w głębi oczodołów. Powiedział:

— W końcu jesteś Smyrneńczykiem. Wydaje się, że wykształcenie i naturalizacja nie są w stanie zatrzeć różnicy krwi. Mimo to posłuchaj i postaraj się mnie zrozumieć.

To wykracza poza sprawy pieniędzy czy rynku. Mamy naukę wielkiego Hariego Seldona, która dowodzi, że od nas tylko zależy, czy powstanie przyszłe Imperium Galaktyczne — i z drogi, która prowadzi do tego Imperium, nie możemy zawrócić. Mamy religię, która jest najważniejszym środkiem prowadzącym do tego celu. To dzięki niej udało nam się zdobyć kontrolę nad Czterema Królestwami, i to w chwili, kiedy omal nas nie zgmiotły. Jest to najpotężniejszy ze znanych nam instrumentów sprawowania władzy nad ludźmi i światami. Głównym powodem popierania rozwoju handlu i wspierania handlarzy była chęć jak najszybszego

zaszczepienia tej religii w innych światach oraz uzyskanie pewności, że wprowadzenie nowych technologii i nowej gospodarki będzie się odbywać pod naszą dokładną i wnikliwą kontrolą.

Przerwał dla nabrania tchu, co Mallow natychmiast wykorzystał, by rzec spokojnie:

— Znam tę teorię. Dokładnie ją rozumiem.

— Czyżby? To więcej niż się spodziewałem. Zatem z pewnością rozumiesz, że handel dla samego handlu, masowa produkcja bezwartościowych urządzeń, które tylko powierzchownie mogą wpłynąć na gospodarkę danego świata, podporządkowanie polityki międzygwiazdnej bożkowi zysków i wyrwanie energii jądrowej spod kontroli religii mogą się skończyć jedynie odrzuceniem i całkowitym przekreśleniem polityki, którą z takim powodzeniem prowadzimy już od stu lat.

— I która — rzekł obojętnym tonem Mallow — jest już tak przestarzała i niebezpieczna, że czas ją wreszcie zarzucić. Chociaż nasza religia zapanowała w Czterech Królestwach, to nie przyjął jej prawie żaden inny świat na Peryferiach. Kiedy uzyskaliśmy kontrolę nad Królestwami, uciekło stamtąd dosyć ludzi, aby roznieść wszędzie wiadomości o tym, jak to Salvor Hardin wykorzystał swych kapłanów i ciemnotę ludu dla złamania potęgi świeckich władców i odebrania królestwom niezależności. A jeśli to nie wystarczyło, to historia Askony dwadzieścia lat później jasno pokazała, jak się sprawy mają i o co w tej religii chodzi. Nie ma teraz władcy na Peryferiach, który by nie wolał raczej sam sobie poderżnąć gardło niż wpuścić choćby jednego kapłana z Fundacji na terytorium swojego państwa.

Nie mam zamiaru zmuszać Korelii ani żadnego innego państwa do przyjęcia czegoś, czego zdecydowanie nie chcą. Nie, Sutt. Jeśli uzyskają dostęp do energii jądrowej i przez to staną się niebezpieczni, to szczerą przyjaźń, nawiązana i podtrzymywana przez wymianę handlową, będzie stokroć lepszą gwarancją naszego bezpieczeństwa niż niepewne panowanie oparte na znienawidzonej hierarchii kapłańskiej, która — jeśli choć raz, choćby nieznacznie osłabnie — musi runąć, nie pozostawiając po sobie nic oprócz być może strachu i nienawiści.

— Bardzo zgrabnie to ująłeś — rzekł cynicznie Sutt. — A więc, wracając do interesów, jakie są twoje warunki? Co chcesz za przyjęcie moich poglądów za swoje?

— Myślisz, że moje przekonania są na sprzedaż?

— A dlaczego nie? — odparł chłodno Sutt. — Przecież żyjesz z tego, co sprzedajesz.

— Sprzedaję tylko z zyskiem — rzekł Mallow, puszczając obelgę mimo uszu.

— Możesz mi zaoferować więcej niż mam teraz?

— Zamiast połowy mógłbyś mieć trzy czwarte zysków. Mallow zaśmiał się krótko.

— Znakomita propozycja. Cały handel na twoich warunkach nie przyniósłby mi nawet jednej dziesiątej tego, co mam teraz. Przebij mocniej.

— Mógłbyś wejść do Rady...
— I tak wejść — bez ciebie i wbrew tobie.
Sutt nagle zacisnął pięści.
— Mógłbyś też uniknąć więzienia. Dwudziestu lat. Tyle dostaniesz, jeśli nie skorzystasz z mojej propozycji. Policz, jaki z tego zysk.
— Żaden, jeśli nie uda ci się zrealizować tej groźby.
— Grozi ci proces o zabójstwo.
— Jakie zabójstwo? — spytał pogardliwie Mallow.
Sutt rzekł szorstko, ale nie podnosząc głosu:
— O zabójstwo duchownego anakreońskiego będącego w służbie Fundacji.
— A więc tak się sprawy mają? A jakie masz dowody?
Sekretarz burmistrza nachylił się ku niemu.
— Mallow, ja nie żartuję. Wstępne dochodzenie jest już zakończone. Potrzeba tylko mojego podpisu, żeby sprawa znalazła się w sądzie. Wydałeś poddanego Fundacji na mękę i śmierć z rąk rozwścieczonego tłumu i masz tylko pięć sekund, aby uniknąć należytej kary. Jeśli mam być szczery, to wolałbym, żebyś z tego nie skorzystał. Będziesz mniej niebezpieczny jako pokonany wróg niż jako niepewny sojusznik.
— Twojemu życzeniu stało się zadość — rzekł uroczystym tonem Mallow.
— Znakomicie! — na wargach sekretarza burmistrza pojawił się okrutny uśmiech. — To burmistrz życzył sobie, żeby najpierw spróbować kompromisu, nie ja. Musisz przyznać, że zbytnio nie nalegałem.
Otworzyły się drzwi i Sutt wyszedł. Kiedy do pokoju wrócił Ankor Jael, Mallow podniósł głowę. — Słyszałeś? — spytał.
Jael usiadł na podłodze.
— Odkąd go znam, nie słyszałem, żeby był taki zły.
— Mniejsza z tym. Co powiesz o tej rozmowie?
— No, cóż, mogę coś powiedzieć. Polityka dominacji nad innymi światami za pomocą teologii to jego idee fixe, ale mam wrażenie, że celem ostatecznym nie są tu bynajmniej sprawy ducha. Nie muszę ci mówić, że wywalono mnie z rządu dlatego, że miałem inne zdanie na ten temat.
— Nie musisz. A jakie — twoim zdaniem — są te cele odległe od spraw ducha?
Jael spoważniał.
— Hmm, on nie jest taki głupi, żeby nie dostrzegać bankructwa naszej teokratycznej polityki, która przez ostatnie siedemdziesiąt lat nie przyniosła nam prawie żadnych korzyści w postaci nowych podbojów. Najwyraźniej chce ją wykorzystać dla swoich własnych celów.
Każdy dogmat oparty pierwotnie na wierze i emocjach jest bardzo niebezpieczną bronią, gdyż nie można mieć pewności, że nie obróci się kiedyś przeciw temu, kto go pierwszy użył. Od stu lat popieramy rytuał i mitologię, które coraz

bardziej obrastają tradycją i stają się coraz bardziej szacowne i... niewzruszone. W pewnym sensie już dawno straciliśmy nad tym kontrolę.

— W jakim sensie? — spytał Mallow. — Powiedz do końca. Chcę wiedzieć, co o tym myślisz.

— No więc, przypuśćmy, że jakiś człowiek, człowiek ambitny, postanowi użyć siły religii nie dla nas, ale przeciw nam...

— Masz na myśli Sutta?

— Tak, Sutta. Słuchaj, człowieku — jaką mielibyśmy szansę wyjścia cało z opresji, gdyby udało mu się zmobilizować i obrócić przeciw Fundacji wszystkich kapłanów z podległych nam planet? Stając na czele zastępów wiernych, mógłby ogłosić świętą wojnę przeciw heretykom, takim jak ty na przykład, a potem ogłosić się królem. W końcu to Hardin powiedział: „Miotacz atomowy to bardzo dobra broń, ale może strzelać w dwie strony”.

Mallow trzepnął się dłonią w nagie udo.

— Dobra, Jael, wprowadź mnie do Rady, a ja go załatwię.

Jael chwilę milczał, a potem rzekł znacząco:

— Może tak, a może nie. Co miało znaczyć to gadanie o samosądzie nad kapłanem? To chyba nieprawda, co?

— To szczerą prawdą — odparł niedbale Mallow.

Jael gwizdnął przez zęby.

— Ma konkretne dowody?

— Powinien mieć. — Mallow zawahał się chwilę i dodał: — Jaim Twer był od samego początku jego człowiekiem, chociaż żaden z nich nie przypuszczał, że ja wiem o tym. A Twer był naocznym świadkiem tego zajścia.

Jael potrząsnął głową.

— Uuu... To źle.

— Źle? Dlaczego? Ten kapłan, zgodnie z prawem samej Fundacji, przebywał tam nielegalnie. Było zupełnie oczywiste, że za jego zgodą czy nie, rząd korelijski wykorzystał go do sprowokowania nas. Nie miałem wyboru. Zdrowy rozsądek podpowiadał tylko jedno jedyne rozwiązanie — i to rozwiązanie całkowicie zgodne z prawem. Jeśli wytoczy mi proces, to wyjdzie na dumnie.

Jael znowu potrząsnął głową.

— Nie rozumiesz tego, Mallow. Mówiłem ci, że on prowadzi brudną grę. On wcale nie ma zamiaru udowodnić ci winy — wie, że mu się to nie uda. Chce po prostu pograć cię w oczach ludzi. Słyszałeś, co powiedział — niekiedy zwyczaj jest silniejszy niż prawo. Możesz wyjść z tego procesu czysty jak łąza, ale jeśli ludzie uwierzą, że rzuciłeś kapłana na pożarcie, to twoją popularność diabli wzięli.

Każdy przyzna, że postąpiłeś zgodnie z prawem, a nawet, że było to jedyne rozsądne wyjście. Ale mimo to będziesz w ich oczach tchórzliwym kundlem i potworem bez serca. I za nic nie wybiorą cię do Rady. Ba, możesz nawet stracić

licencję, jeśli pozbawią cię obywatelstwa. Wiesz o tym, że nie urodziłeś się tutaj. Myślisz, że to nie wystarczy Suttowi?

Mallow zmarszczył czoło i rzekł z zawziętością:

— A więc to tak!

— Mój chłopcze — powiedział Jael — nie opuszczę cię, ale ja nie mogę ci pomóc. Jesteś w kropce — w martwym punkcie.

14

W czwartym dniu procesu licencjonowanego handlarza Hobera Mallowa sala posiedzeń Rady była dosłownie pełna. Jedyny nieobecny radny przeklinał pęknięcie czaszki, które unieruchomiło go w łóżku. Ci nieliczni szczęśliwcy spośród zgromadzonego przed budynkiem Rady tłumu, którym udało się — dzięki znajomościom, pieniądзом lub niezwyklej wytrwałości — dostać się do wnętrza, wypełniali galerie aż po boczne wyjścia i sufit. Reszta kłębiła się przed trójwymiarowymi telewizorami.

Ankor Jael przedostał się do sali tylko dzięki pomocy policji, której wysiłki zresztą o mały włos nie skończyły się niepowodzeniem. Później przecisnął się przez niewiele rzadszy tłum do miejsca, gdzie siedział Mallow.

Mallow odwrócił się do niego z wyraźną ulgą.

— Na Seldona! — rzekł, — Zdążyłeś w ostatniej chwili. Masz to?

— Jest tutaj, trzymaj — odparł Jael. — Jest wszystko, co chciałeś.

— Dobrze. Jak reakcje ludzi na zewnątrz?

— Są rozwścieczeni — Jael poruszył się niespokojnie. — Nie powinieneś się być zgodzić na publiczne przesłuchanie. Mogłeś ich powstrzymać przed tym.

— Nie chciałem.

— To mi pachnie samosądem. A ludzie Publisa Manilo na innych planetach...

— Właśnie chciałem o to spytać. Podburza przeciw mnie górę kościelną, co?

— Podburza? Jeszcze nigdy nie widziałem takiego rozdrażnienia. Jako minister spraw zagranicznych jest oskarżycielem w sprawach z zakresu prawa międzynarodowego. Jako Wysoki Kapłan i Zwierzchnik Kościoła podburza fanatyczne hordy...

— Dobrze, mniejsza z tym. Pamiętasz to powiedzenie Hardina, które mi zacytowałeś w ubiegłym miesiącu? Pokażemy im, że miotacz atomowy może rzeczywiście strzelać w dwie strony.

Burmistrz zajmował akurat swoje miejsce i członkowie Rady podnieśli się, aby go powitać.

— Dzisiaj moja kolej — szepnął Mallow. — Zobaczysz, jaka będzie zabawa.

Przystąpiono do procedury i piętnaście minut później Hober Mallow przy wrogich pomrukach sali podszedł do pustego miejsca przed ławą burmistrza. Padł na

niego pojedynczy strumień światła i z ekranów w miejscach publicznych oraz tysięcy prywatnych telewizorów we wszystkich prawie domach Fundacji spojrzała wyzywająco na widzów potężna postać.

Zaczął cicho i spokojnie:

— Aby nie tracić czasu, przyznam, że każdy punkt oskarżenia odpowiada prawdzie. To, co oskarżenie powiedziało na temat kapłana i tłumu, zgadza się dokładnie, w każdym szczególe.

W sali zapanowało poruszenie, a na galerii podniósł się triumfalny szmer. Mallow cierpliwie czekał, aż sala ucichnie.

— Jednakże przedstawiony tu obraz wypadków nie jest kompletny. Może na początku to, co powiem, wyda się bez znaczenia. Proszę o wyrozumiałość.

Mallow nie spojrział ani razu w leżące przed nim notatki.

— Zaczę od tego samego momentu, od którego zaczęło oskarżenie — od dnia mojego spotkania z Joranem Suttem i Jaimem Twerem. Co się działo w czasie tych spotkań, wiecie już. Opisano te rozmowy i nie mam tu nic do dodania... chciałbym tylko powiedzieć o tym, jakie refleksje nasunęły mi te spotkania.

A nasunęły mi się podejrzenia, gdyż wszystko, co zdarzyło się owego dnia, było bardzo dziwne. Proszę zważyć — dwóch ludzi, z których właściwie żadnego nie znałem, robi mi niezwykle i trochę nieprawdopodobne propozycje. Jeden z nich, sekretarz burmistrza, prosi mnie, żebym zgodził się przyjąć rolę tajnego agenta w poufnej sprawie, której naturę i znaczenie już na tej sali wyjaśniano. Drugi, samozwańczy przywódca partii politycznej, prosi mnie, abym się zgodził kandydować z ramienia tej partii do Rady.

Naturalnie, zacząłem się zastanawiać, co ich skłoniło do tego. Jeśli chodzi o Sutta, to wszystko wydawało się jasne. Nie ufał mi. Może myślał, że sprzedaje wrogom technologię jądrową i knuje spisek. I może chciał w ten sposób przyspieszyć rozwiązanie tej sprawy. W takim przypadku potrzebował mieć przy mnie swojego człowieka jako szpiega. To jednak przyszło mi do głowy dopiero wtedy, kiedy na scenie pojawił się Jaim Twer.

Proszę zważyć — Twer przedstawia się jako handlarz, który wycofał się z interesów i zajął się polityką, a ja, mimo że znakomicie znam tę dziedzinę, nie wiem nic o jego handlarskiej karierze. Mało tego — Twer chwalił się, że ma świeckie wykształcenie, a nigdy nie słyszał o kryzysie Seldona!

Mallow zamilkł, czekając aż znaczenie tego, co powiedział, dotrze do zebranych. Wrażenie istotnie było wielkie, gdyż po raz pierwszy na sali zapanowała cisza, a widzowie na galerii jak jeden mąż wstrzymali oddech. Tę część przesłuchania słyszeli jedynie mieszkańcy Terminusa. Do ludzi na innych planetach dotarła jedynie okrojona przez cenzurę, zgodna z wymogami religii wersja. Nie usłyszeli nic o kryzysie Seldona. Ale Mallow miał w zanadrzu jeszcze inne niespodzianki, przeznaczone również dla ich uszu.

Podjął wyjaśnienia:

— Czy ktoś z obecnych tutaj może uczciwie powiedzieć, że człowiek ze świeckim wykształceniem może nic nie wiedzieć o naturze kryzysu Seldona? Na Fundacji jest tylko jeden typ szkół, który w programie nauczania nie ma żadnej wzmianki o planowej historii Seldona, a uczonego przedstawia jako na poły mitycznego maga. . .

Od razu się zorientowałem, że Jaim Twer nigdy nie był handlarzem. Potem domyśliłem się, że studiował w szkole teologicznej i być może nawet ją ukończył. Bez wątplenia przez całe te trzy lata, kiedy udawał przywódcę partii handlarzy, był człowiekiem Jorane'a Sutta.

Wtedy jednak grałem w ciemno. Nie wiedziałem, jakie Sutt ma względem mnie zamiary, ale ponieważ wyglądało na to, że mnie nabiera, postanowiłem zrobić to samo. Przypuszczałem, że Twer ma się udać ze mną w podróż jako zamaskowany agent Sutta. No cóż, wiedziałem, że jeśli on nie polecą, to znajdą się inne sposoby. . . a innych mogłem nie wykryć w porę. Wróg, którego się zna, nie jest tak niebezpieczny jak wróg ukryty. Zaproponowałem więc Twerowi, żeby poleciał ze mną. Zgodził się. To, panowie radni, wyjaśnia dwie rzeczy. Po pierwsze, widzicie teraz, że Twer nie jest, jak to usiłuje przedstawić oskarżenie, moim przyjacielem, który świadczy przeciw mnie z wielkimi oporami i tylko dlatego, że chce mieć czyste sumienie. To szpieg, który robi to, za co mu płacą. Po drugie, wyjaśnia to przyczyny pewnych działań, które podjąłem przy pierwszym pojawieniu się kapłana, o którego zamordowanie jestem oskarżony. . . działań, o których dotąd nie wspomniano ani słowem z tej prostej przyczyny, że oprócz mnie nikt o nich nie wiedział.

Wśród radnych podniósł się szmer. Mallow chrząknął teatralnie i podjął wyjaśnienia.

— Wolałbym nie mówić o tym, co czułem, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem na pokładzie misjonarza. W ogóle wolałbym o tym zapomnieć. Przede wszystkim była to rozpaczliwa niepewność. W pierwszej chwili przyszło mi do głowy, że to sprawka Sutta, ale nie wiedziałem, jak mam zareagować. Nic nie przychodziło mi do głowy. Byłem zupełnie skołowany.

Ale mogłem zrobić jedno — pozbyłem się Twera na pięć minut, wysyłając go po oficerów. Podczas jego nieobecności włączyłem ukrytą kamerę, aby wszystko, co się wydarzy, można było później spokojnie przeanalizować. Robiłem to z nadzieją, bezsensowną, ale silną nadzieją, że to, czego nie mogłem wtedy zrozumieć, okaże się jasne po ponownym przeanalizowaniu.

Od tamtej pory obejrzałem ten film chyba z pięćdziesiąt razy. Mam go tutaj ze sobą i obejrzę go po raz pięćdziesiąty pierwszy w waszej, panowie radni, obecności.

W sali zawrzało, a na galerii podniósł się jeden wielki ryk. Burmistrz walił w stół, aby uciszyć zebranych. W pięciu milionach domów na Terminusie podnieceni telewidzowie przysunęli się bliżej odbiorników, a w ławie prokuratora Jorane

Sutt ruchem głowy okazał swą dezaprobatę dla nerwowo kręcącego się Wysokiego Kapłana, a jednocześnie spojrzał jednym okiem na Mallowa.

Zrobiono miejsce pośrodku sali. Przygasły światła. W ławce po lewej stronie Ankor Jael czynił ostatnie przygotowania. Potem dał się słyszeć trzask włączanego guzika i w pustym miejscu pojawił się kolorowy, trójwymiarowy obraz o wszelkich cechach życia, z wyjątkiem życia właśnie.

Między porucznikiem a sierżantem stał zmieszany i sponiewierany misjonarz. Obok czekał bez słowa Mallow. Potem weszli rzędem jego ludzie. Pochód zamykał Twer.

Z głośnika popłynęła rozmowa, odtworzona słowo w słowo. Sierżant został ukarany, wypytano misjonarza. Pojawił się tłum — słyhać było jego wycie, a wielebny Jord Parma, tocząc wokół obłąkanym wzrokiem, błagał o ratunek.

Mallow wyjął miotacz, misjonarz, wyciągany przez oficerów z pomieszczenia, wznosił w górę ramiona rzucając kłatwę. Wtedy pojawił się krótki błysk.

Scena zakończyła się obrazem pokazującym oficerów porażonych grozą sytuacji, Twera zatykającego uszy drżącymi rękoma i Mallowa spokojnie odkładającego miotacz.

Lampy znowu zajaśniały pełnym światłem, a miejsce pośrodku sali opustoszało. Prawdziwy Mallow podjął swą opowieść.

— Incydent, jak widzicie, wyglądał dokładnie tak, jak go przedstawiło oskarżenie — ale tylko przy powierzchownym oglądzie. Postaram się to wyjaśnić jak najkrócej. Nawiasem mówiąc, zachowanie Jaima Twera, jego emocje, w czasie tego całego zdarzenia wyraźnie wskazują na wykształcenie kościelne. . .

Tego samego dnia zwróciłem uwagę Twera na pewne niejasności w tej całej sprawie. Zapytałem go, skąd w samym środku bezludnego obszaru, gdzie wtedy staliśmy, wziął się misjonarz, a także, skąd się wziął ten ogromny tłum, skoro najbliższe większe miasto znajdowało się sto mil od tego miejsca. Oskarżenie w ogóle nie zaprzęta sobie głowy takimi problemami.

Albo weźmy, na przykład, dziwny fakt rzucającego się w oczy ubioru Jorda Parmy. Misjonarz, ryzykujący życiem za pogwałcenie praw zarówno Korelii, jak i Fundacji, paradujący w nowiutkich szatach kapłana. Coś tu nie gra. Wtedy przypuszczałem, że Parma

jest ślepym narzędziem w rękach Komodora, jego nieświadomym współnikiem, który ma sprowokować nas do podjęcia nielegalnych, wrogich działań, które usprawiedliwiłyby w oczach prawa zniszczenie nas i naszego statku.

Oskarżenie przewidziało taką możliwość usprawiedliwienia przeze mnie moich czynów.

Oczekiwano, że będę się tłumaczył względami bezpieczeństwa, moją odpowiedzialnością za bezpieczeństwo statku i jego załogi, za powodzenie mojej misji, która nie mogła być narażona na szwank dla jednego człowieka, szczególnie w sytuacji, kiedy człowiek ten był i tak już skazany na śmierć — samotną albo ra-

zem z nami. Ich odpowiedzią na to jest gadanie o „honorze” Fundacji i potrzebie zachowania „godności” dla podtrzymania wrażenia o naszej przewadze.

Z jakichś dziwnych powodów oskarżenie pominęło jednak całkowicie osobę samego Jorda Parmy. Nie powiedziano tu nic na jego temat — ani słowa o miejscu jego urodzenia, o wykształceniu, o tym, co robił zanim znalazł się w Korelii. Wyjaśnienie tego usunęłoby również owe niejasności, na które wskazałem przy odtwarzaniu zapisu wydarzeń. Te dwie sprawy ściśle łączą się ze sobą.

Oskarżenie nie powiedziało nic na temat Jorda Parmy, bo nie mogło. Scena, którą zarejestrowała kamera, wyglądała nieprawdziwie, bo nieprawdziwy był Jord Parma. Nigdy nie było żadnego Jorda Parmy! Ten proces to największa farsa, jaką kiedykolwiek oglądano, gdyż sprawa, którą tu, panowie, rozpatrujecie, nigdy nie miała miejsca.

Raz jeszcze Mallow musiał przerwać i poczekać, aż sala ucichnie. Potem rzekł wolno, cedząc słowa:

— Pokażę teraz powiększenie pewnego szczegółu tego obrazu. To mówi samo za siebie. Światło, Jael!

Sala pogrążyła się w ciemności, a pusta przestrzeń w jej środku znowu wypełniła się zastygłymi w ruchu, widmowymi postaciami. Oficerowie trwali w sztywnych, nierealnych pozach.

W sztywnej ręce Mallowa tkwił miotacz. Po jego lewej stronie wielebny Parma, z ustami otwartymi do krzyku, wyciągał w górę swe szpony. Rękawy zsunęły mu się do połowy rąk.

A z ręki misjonarza wydobywał się ten nikły promień światła, który w czasie poprzedniej projekcji błysnął na chwilę i zgasł. Teraz, na zatrzymanym obrazie, świecił bez przerwy.

— Patrzcie uważnie na ten błysk na ręku — krzyknął Mallow w ciemności. — Powiększ ten fragment, Jael.

Obraz szybko się rozrastał. Boczne fragmenty znikały z pola widzenia w miarę jak środek obrazu zajmowała postać misjonarza, przeistaczając się w olbrzyma. Potem widać już było tylko głowę i rękę, a w końcu cały obraz zajęło przedramię i zastygło.

Światło na ramieniu misjonarza przeistoczyło się w niewyraźne, jarzące się nikłym blaskiem litery „TPK”.

— To jest tatuaż, panowie — zagrzmiął głos Mallowa. — Przy normalnym oświetleniu jest niewidoczny, ale w świetle ultrafioletowym, z którego korzystałem przy filmowaniu tej sceny, widać go wyraźnie. Przyznaję, że to prymitywny sposób tajnego oznaczania, ale na Korelii, gdzie na rogach ulic nie ma lamp ze światłem ultrafioletowym, zdaje egzamin. Zresztą nawet na naszym statku odkryłem to tylko przez przypadek.

Może część z was już odgadła, co znaczy napis „TPK”. Jord Parma dobrze znał mowę kapłanów i znakomicie odegrał swoją rolę. Gdzie i jak się tego nauczył,

nie jestem w stanie powiedzieć, ale „TPK” znaczy „Tajna Policja Korelii”.

Mallow ryczał, starając się przekrzyczeć powstałą naraz wrzawę:

— Mam dodatkowe dowody w postaci dokumentów przywiezionych z Korelii i mogę je przedstawić, jeśli zajdzie taka potrzeba.

No i jak teraz wyglądają zarzuty oskarżenia? Cały czas oskarżenie uważa, że powinienem się ująć za misjonarzem, pogwałcić prawo i poświęcić swoją misję, statek i samego siebie dla „honoru” Fundacji.

Czy miałem to zrobić dla oszusta?

Czy miałem to zrobić dla korelskiego tajnego agenta, przebranego w szaty kapłańskie i stosującego sztuczki słowne, których się prawdopodobnie nauczył od uciekiniera z Anakreona? Czy Jorane Sutt i Publis Manilo chcieliby, żebym wpadł w pułapkę...

Jego zachrypnięty głos zginął w bezkształtnym wrzasku tłumu. Tłum porwał go na ramiona i uniósł w stronę ławy burmistrza. Przez okno widział potoki oszalałych ludzi płynące w stronę placu, aby zmieszać się ze zgromadzonymi tam już tysiącami.

Rozejrzał się, szukając Jaela, ale z masy twarzy nie sposób było wyłuskać konkretną osobę. Powoli dotarł do niego rytmiczny, przybierający na sile okrzyk:

— Niech żyje Mallow! Niech żyje Mallow! Niech żyje Mallow!

15

Ankar Jael mrugnął powiekami patrząc na Mallowa. W jego twarzy widać było zmęczenie. Dwie ostatnie noce były zupełnie zwariowane. Nie zmrużył nawet oka.

— Mallow, dałeś piękny pokaz, więc teraz nie psuj tego mierząc za wysoko. Nie myślisz chyba poważnie o tym, żeby ubiegać się o urząd burmistrza? Entuzjizm tłumu to potężny atut, ale tłum jest zmienny w nastrojach.

— Właśnie — rzekł Mallow zdecydowanym tonem. — Dlatego musimy go rozpieszczać, a najlepszy na to sposób to kontynuować pokaz.

— Co teraz?

— Masz postarać się, żeby Publis Manilo i Jorane Sutt znaleźli się w areszcie...

— Co?!

— To, co słyszysz. Nakłoń burmistrza, żeby ich aresztował. Nie obchodzi mnie, do jakich się uciekniesz gróźb. Ja mam władzę nad tłumem — w każdym razie dzisiaj. Nie będzie śmiało stawiać ludziom czoła.

— Człowieku, ale na jakiej mamy to zrobić podstawie?

— Powód jest oczywisty. Podburzali przecież kapłanów z zewnętrznych planet do mieszania się w wewnętrzne rozgrywki w Fundacji. Na Seldona, to sprzeczne

z prawem! Oskarż ich o „stwarzanie zagrożenia dla bezpieczeństwa państwa”. Wyrok obchodzi mnie równie mało, jak ich wyrok w mojej sprawie. Po prostu chcę, żebyś wyłączył ich z życia publicznego do czasu aż zostanę burmistrzem.

— Do wyborów jeszcze pół roku.

— Niezbyt daleko! — Mallow podniósł się i nagle ujął mocno Jaela za ramię. — Słuchaj, jeśli będę musiał, to przejmę rządy siłą — w taki sam sposób jak Hardin sto lat temu. Kryzys Seldona za pasem, a kiedy nadejdzie, muszę być burmistrzem i Wysokim Kapłanem. I jednym, i drugim.

Jael zmarszczył brwi. Powiedział cicho:

— Co to będzie? Mimo wszystko Korelia? Mallow skinął twierdząco głową.

— Oczywiście. W końcu wypowiedzą wojnę, chociaż idę o zakład, że zanim to się stanie, minie jeszcze parę lat.

— Będą mieli statki atomowe?

— A jak myślisz? Tych trzech statków handlowych, które straciliśmy w ich rejonie nie zestrzelono z wiatrówki. Jael, oni dostają statki z samego Imperium. Co tak otwierasz usta jak idiota? Powiedziałem — z Imperium. Ono wciąż tam jest. Wycofało się z Peryferii, ale w centrum Galaktyki nadal istnieje. Jeden fałszywy krok i samo Imperium skoczy nam do gardła. Oto dlaczego muszę zostać burmistrzem i Wysokim Kapłanem. Jestem jedynym człowiekiem, który wie, jak wyjść z tego kryzysu.

— Jak? Co chcesz zrobić?

— Nic.

Jael uśmiechnął się niepewnie.

— Ach, tak! I to wszystko?

Mallow odrzekł ze zjadliwym uśmiechem:

— Kiedy zostanę szefem Fundacji, nie zamierzam nic robić. Zupełnie nic — i na tym właśnie polega sekret wyjścia z tego kryzysu.

16

Asper Argo, Ukochany, Komodor Republiki Korelskiej, powitał wejście żony z miną zbitego psa. Przynajmniej jeśli o nią chodziło, jego przydomek nie odpowiadał prawdzie. Nawet on sam o tym wiedział.

Komodora powiedziała głosem gładkim jak jej włosy i zimnym jak jej wzrok:

— Domyślam się, że mój łaskawy pan podjął ostateczną decyzję co do losu tych parweniuszy z Fundacji.

— Tak? — odparł kwaśno Komodor. — A jakie jeszcze domysły powstały w twej mądrej głowie? Domyślasz się jeszcze czegoś?

— Domyślam się dosyć dużo, mój szlachetny mężu. Odbyłeś kolejną z tych swoich pełnych wahania narad. Masz doskonałych doradców. Zgraja bezwolnych,

tępych osłów martwiących się o swe nędzne zyski, gdy mogą się narazić na gniew mego ojca — dodała tonem bezgranicznego lekceważenia.

— A któż to, moja droga — spytał łagodnie Komodor — jest tym znakomitym źródłem, z którego czerpiesz tę całą mądrość?

Komodora roześmiała się.

— Gdybym ci powiedziała, moje źródło byłoby wkrótce bardziej trupem niż źródłem.

— No cóż, jak zawsze, postawisz na swoim — Komodor wzruszył ramionami i odwrócił się. — A jeśli chodzi o niezadowolenie twego ojca, to obawiam się bardzo, że objawia się ono pachnącą skąpstwem odmową dostarczenia nam większej ilości statków.

— Większej ilości statków! — wybuchnęła Komodora. — Przecież masz już pięć! Nie zaprzeczaj. Wiem, że masz pięć, a szósty jest obiecany.

— Już od roku.

— Ale wystarczy jeden, tylko jeden, żeby obrócić Fundację w kupę gruzów. Tylko jeden! Jeden statek może wykurzyć na zawsze ich lilipucie statki z przestrzeni.

— Nie mógłbym zaatakować ich planety nawet gdybym miał tuzin.

— A jak długo może się trzymać ta ich planeta, jeśli ich handel zostanie zrujnowany, a zapasy zabawek i tandety zniszczone?

— Te zabawki i tandeta to pieniądze — westchnął Komodor. — Kupa pieniędzy.

— Gdybyś miał Fundację, to czy nie miałbyś też wszystkiego, co się tam znajduje? A gdybyś zdobył uznanie i wdzięczność mego ojca, to czy nie miałbyś więcej niż kiedykolwiek mogłaby ci dać Fundacja? Minęły już trzy lata — nawet więcej — od czasu gdy ten barbarzyńca przybył tu ze swoimi magicznymi sztuczkami. To dosyć długo.

— Moja droga! — Komodor obrócił się i spojrzał jej prosto w oczy. — Starzeję się. Jestem zmęczony. Brak mi już sił, aby znosić twój ustawiczny jazgot. Mówisz, że wiesz, że się zdecydowałem. Istotnie, zdecydowałem się. To, co było, jest już skończone. Między Korelią a Fundacją jest wojna.

— Nareszcie! — Komodora wyprostowała się, a jej oczy rozbliły. — Przy najmniej na starość nabrałeś rozumu. Teraz, kiedy zostaniesz panem tych dzikich prowincji, twoja pozycja może się okazać wystarczająco wysoka, abyś zyskał uznanie i znaczenie w Imperium. Przede wszystkim moglibyśmy opuścić ten barbarzyński świat i osiąść w stolicy Imperium. Moglibyśmy udać się na dwór imperatora. Naprawdę moglibyśmy.

Zakręciła się na pięcie i wyszła z uśmiechem na ustach i ręką wspartą na biodrze. Jej włosy lśniły w świetle.

Komodor odczekał, aż zamknie drzwi, a potem rzucił za nią ze złością i nienawiścią:

— A kiedy zostanę panem tego, co nazywasz dziką prowincją, moja pozycja może się okazać wystarczająco wysoka, abym mógł wreszcie skończyć z twoim gadaniem i arogancją twego ojca. Skończyć raz na zawsze!

17

Porucznik „Ciemnej Mgławicy” patrzył w ekran z przerażeniem.

„Na Wielkie Galopujące Galaktyki!” — chciał krzyknąć, ale z gardła wydobył się tylko szept. — Co to jest?

Był to statek, ale przy „Ciemnej Mgławicy” wyglądał jak wieloryb przy płotce. Na jego boku widniał statek kosmiczny i słońce — znak Imperium. Na całej „Ciemnej Mgławicy” rozdzwoniły się dzwonki alarmowe.

Wydano rozkazy i „Ciemna Mgławica” przygotowała się do ucieczki na wypadek gdyby okazało się to możliwe, albo do walki — gdyby nie pozostało nic innego. Tymczasem z kabiny ultrafioletowej mknął przez nadprzestrzeń meldunek do Fundacji.

Za nim następny, za tym jeszcze jeden i tak dalej. Było to wołanie o pomoc, ale przede wszystkim było to ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem.

18

Hober Mallow szurał ze zniecierpliwieniem nogami pod biurkiem, przebijając się przez stos sprawozdań. Dwa lata piastowania urzędu burmistrza zmieniły go nieco — stał się trochę bardziej łagodny i cierpliwy — ale pozostała w nim niechęć do sprawozdań i przyprawiającego go o ból głowy języka urzędowego, w którym były pisane.

— Ile wzięli statków? — spytał Jael.

— Cztery zaskoczyli na ziemi. O dwóch brak wieści. Cała reszta bezpieczna. — Mallow chrząknął. — Powinniśmy byli bardziej uważać, ale i tak obyło się bez większych strat.

Słowa te pozostały bez odpowiedzi, więc Mallow uniósł głowę znad papierów.

— Coś cię martwi, Jael?

— Chciałbym, żeby był tu Sutt — odpowiedź nie miała widocznego związku z pytaniem.

— Ach tak, teraz usłyszymy kolejny wykład na temat krajowego frontu.

— Nie, nie usłyszymy — warknął Jael — ale powiem ci, Mallow, że jesteś uparty. Być może politykę zagraniczną opracowałeś w najdrobniejszych szczegółach, ale w ogóle nie dbasz o sprawy wewnętrzne.

— To chyba należy do ciebie, co? Po co zrobiłem cię ministrem oświaty i propagandy?

— Najwidoczniej po to, żebym przedwcześnie znalazł się w grobie. Tak znakomicie układa mi się współpraca z tobą. Przez cały rok mówiłem ci aż do znużenia o rosnącym niebezpieczeństwie ze strony Sutta i jego Religionistów. Na co zdadzą się twoje plany, jeśli Suttowi uda się przeforsować wniosek o wcześniejsze wybory i wyrzucić cię z ratusza?

— Przyznam, że na nic.

— Tymczasem swoim wczorajszym przemówieniem prawie już oddałeś wybory Suttowi. I to z uśmiechem i przyjacielskim uściskiem dłoni. Czy musiałeś być aż tak szczerzy?

— Uważasz, że Suttowi nie można wytrącić broni z ręki?

— Nie — odparł Jael gwałtownie. — Nie w taki sposób, jak to robisz. Utrzymujesz, że wszystko przewidziałeś, a nie wyjaśniasz, dlaczego przez trzy lata handlowałeś z Korelią dla wyłącznej korzyści jej mieszkańców. Jedyne plany, jakie proponujesz, to wycofać się bez walki. Wstrzymujesz cały handel z sektorami przestrzeni sąsiadującymi z Korelią. Otwarcie przyznajesz, że w stosunkach z wrogiem jest sytuacja patowa. Nawet w przyszłości nie zapowiadasz ofensywy. Na Galaktykę, Mallow, co ja mam robić w tej sytuacji?

— To, co robię, jest za mało efektowne?

— Nie przemawia do emocji tłumów.

— Na jedno wychodzi.

— Mallow, obudź się. Masz dwie możliwości — albo przedstawiś ludziom projekt aktywnej polityki zagranicznej, bez względu na to, jakie masz osobiste plany, albo musisz iść na pewien kompromis z Sutte.

— No, dobrze — rzekł Mallow. — Skoro nie udało mi się wykorzystać pierwszej możliwości, spróbujmy drugiej. Właśnie przyszedł Sutt.

Sutt i Mallow nie widzieli się od czasu głośnego procesu sprzed dwu lat. Żaden z nich nie zauważył najmniejszej zmiany w drugim, jedynie specyficzna aura unosząca się wokół nich świadczyła, że role władzy i opozycji zmieniły się.

Sutt usiadł nie podawszy ręki Mallowowi.

Gospodarz poczęstował go cygarem i rzekł:

— Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że Jael tu zostanie? On szczerze pragnie kompromisu. Może występować jako mediator, jeśli poniosą nas nerwy.

Sutt wzruszył ramionami.

— Kompromis urządziłby tylko ciebie. Kiedyś, przy innej okazji, to ja prosiłem, żebyś podał swoje warunki. Przypuszczam, że teraz role się odwróciły.

— Słuszne przypuszczenie.

— A więc moje warunki są takie: musisz zerwać ze swoją dotychczasową, błędną polityką opartą na przekupstwie i handlowaniu drobiazgami i powrócić do sprawdzonych metod naszych ojców.

— Masz na myśli podbój przez religię?

— Tak.

— Bez tego nie ma mowy o kompromisie?

— Oczywiście.

— Hmm — Mallow powoli zapalił cygaro i zaciągał się tak długo, aż rozja-
rzył się jego koniuszek. — W czasach Hardina, kiedy podbój innych państw przy
pomocy misjonarzy był polityką nową i radykalną, tacy ludzie jak ty sprzeciwiali
się temu. Teraz jest to polityka sprawdzona, wypróbowana i uświęcona tradycją
— ma wszystkie cechy, które jakiś Jorane Sutt uważa za dobre. No więc powiedz
mi w jaki sposób wydobyłbyś nas z naszych obecnych kłopotów?

— Twoich obecnych kłopotów. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

— Możesz uważać, że odpowiednio zmodyfikowałem to pytanie.

— Wskazana jest potężna ofensywa. Pat, z którego wydajesz się być zado-
wolony, jest dla nas śmiertelnym niebezpieczeństwem. Utrzymywanie tego stanu
rzeczy byłoby równoznaczne z przyznaniem się wobec wszystkich światów Pery-
ferii, które liczą się tylko z siłą, do słabości. Czyhają już jak sępy i żaden z nich
nie przepuściłby okazji, żeby wyrwać dla siebie kawał ścierwa z naszego trupa.
Powinieneś to rozumieć. Jesteś ze Smyrno, prawda?

Mallow puścił przytyk mimo uszu. Rzekł:

— A gdybyś pokonał Korelię, to co z Imperium? To jest nasz prawdziwy wróg.
Sutt rozciągnął usta w uśmiechu.

— O nie, złożyłeś przecież dokładny raport o swym pobycie na Siwennie.
Wicekról Sektora Normanicznego ma swój interes w wywołaniu zamieszek na
Peryferiach, bo skorzystałby na tym, ale to dla niego sprawa mniejszej wagi. Nie
postawi wszystkiego na jedną kartę, organizując wyprawę na kraniec Galaktyki,
kiedy pół setki nieprzyjaznych sąsiadów i imperator czekają tylko na odpowiednią
okazję, żeby wzniecić bunt. Parafrazuję twoje własne słowa.

— O tak, Sutt, może zorganizować taką wyprawę, jeśli będzie myślał, że jeste-
śmy wystarczająco silni, by mu zagrozić. A może tak pomyśleć, jeśli zniszczymy
Korelię frontalnym atakiem. Musimy działać o wiele bardziej subtelnie.

— Na przykład. . .

Mallow odchylił się do tyłu.

— Dam ci szansę, Sutt. Szczerze mówiąc, nie jesteś mi potrzebny, ale mogę
skorzystać z twoich usług. Powiem ci więc, o co chodzi w tym wszystkim, a potem
wybór należy do ciebie. Możesz wejść w skład mojego gabinetu albo zabawić się
w męczennika i gnić w więzieniu.

— Raz już próbowałeś takiego zagrania.

— Niezbyt mi na tym zależało. Dopiero teraz nadszedł taki moment. A więc
słuchaj. Oczy Mallowa zwężyły się.

— Kiedy pierwszy raz wylądowałem w Korelii — zaczął — zjednałem sobie
Komodora błyskotkami i zabawkami, które należą do normalnego asortymentu

towarów każdego handlarza. Na początku chodziło mi tylko o uzyskanie wstępu do stalowni. Nie miałem żadnych innych planów. Udało mi się — dostałem to, czego chciałem. Dopiero po mojej podróży do Imperium zorientowałem się, jaką potężną bronią w naszych rękach może stać się handel.

To, w obliczu czego teraz stoimy, Sutt, to kryzys Seldona, a kryzysów Seldona nie rozwiązują jednostki, lecz siły historii. Kiedy Hari Seldon wytyczał przyszły kurs naszej historii, nie liczył na bohaterskie czyny herosów, ale na prawa ekonomii i socjologii. A zatem z każdego kryzysu musimy wychodzić korzystając z sił, które w danym momencie są do naszej dyspozycji. Teraz taką siłą jest właśnie handel!

Sutt uniósł sceptycznie brwi i korzystając z tego, że Mallow przerwał, rzekł:

— Myślę, że moja inteligencja mieści się w granicach normy, a nie mogę powiedzieć, żebym wiele zrozumiał z twego niejasnego wykładu. Nie jest zbyt pouczający.

— Ale zaraz będzie — odparł Mallow. — Zauważ, że dotąd nie doceniano potęgi handlu. Uważano, że dał nam kontrolę nad duchowieństwem, które miało się stać potężną bronią w naszych rękach. Stało się jednak inaczej, i to dzięki mnie. Mamy handel bez kapłanów. Sam handel! To wystarczająca siła. Mówiąc krótko — Korelia jest z nami w stanie wojny. Wskutek tego przestaliśmy z nimi handlować. Ale — zauważ, że przedstawiam to najprościej jak mogę — przez ostatnie trzy lata ich gospodarka coraz bardziej uzależniała się od wprowadzonej przez nas technologii jądrowej, której tylko my możemy im nadal dostarczać. Jak myślisz, co się stanie, kiedy te małe generatory jądrowe zaczną wysiadać i cały sprzęt z czasem okaże się niezdatny do niczego?

Najpierw zastrajkuje sprzęt gospodarstwa domowego. Pół roku zastoju, do którego czujesz taką odrazę, i wszystkie panie domu stwierdzą któregoś dnia, że ich noże atomowe nie działają. Zaczną się psuć piece. Zaczną zawodzić pralki. Pewnego upalnego dnia wysiadzie klimatyzacja. I co się wtedy stanie?

Przerwał, czekając na odpowiedź. Sutt powiedział spokojnie:

— Nic. W czasie wojny ludzie zniosą wiele.

— Święta prawda. Zniosą. Poślą synów na pewną śmierć w rozbitych statkach. Nie zniszczy w nich ducha bombardowanie, nawet gdyby mieli się kryć w jaskiniach pół mili pod ziemią i żywić się suchym chlebem i stęchlą wodą. Ale trudno nie upaść na duchu pod wpływem drobnych niewygód dnia codziennego, kiedy nie zagraża żadne niebezpieczeństwo, które by podsycalo patriotyczne uniesienie, A będzie tylko zastój. Nie będzie natomiast ofiar, bombardowań ani bitew.

Będzie tylko nóż, który nie chce kroić, piec, który nie piecze, i dom, który zimą zmienia się, w lodownię. Trudno to będzie znieść i ludzie zaczną szemrać.

Sutt rzekł wolno i ze zdziwieniem:

— I na tym budujesz swoje nadzieje? Człowieku, czego oczekujesz? Buntu

gospodyń domowych? Niespodziewanego powstania rzeźników i sklepikarzy wymachujących toporami rzeźnickimi i nożami do krojenia chleba i krzyczących: „Oddajcie nam z powrotem nasze automatyczne pralki atomowe marki Super-Kleeno”?

— Nie, szanowny panie — przerwał mu niecierpliwie Mallow. — Nie tego. Spodziewam się jednak ogólnego niezadowolenia, które zostanie wykorzystane przez bardziej znaczące osoby.

— A cóż to za osoby?

— Właściciele fabryk i zakładów przemysłowych. Wystarczą dwa lata, żeby zaczęły się psuć maszyny w ich fabrykach. Te gałęzie przemysłu, które całkowicie wyposażyliście w nasze urządzenia jądrowe, zostaną nagle zrujnowane. Cały przemysł ciężki okaże się naraz jedną wielką kupą złomu.

— Fabryki pracowały całkiem dobrze, zanim ty się tam zjawiłeś, Mallow — odparł Sutt

— Owszem, pracowały, ale przynosiły najwyżej jedną dwudziestą tych zysków co teraz. Pomijam już w ogóle sprawę kosztów przywrócenia ich do stanu sprzed wprowadzenia energii jądrowej. Jak długo utrzyma się Komodor przy władzy, mając przeciw sobie zarówno przemysłowców, jak i zwykłych obywateli?

— Tak długo, jak mu się spodoba, jeśli wpadnie na pomysł sprowadzenia nowych reaktorów z Imperium.

Mallow roześmiał się głośno.

— Mylisz się, Sutt — tak samo jak Komodor. Nic nie rozumiesz. Słuchaj, człowieku, Imperium nie jest w stanie nic wymienić. Imperium zawsze miało ogromne zasoby naturalne. Wszystko obliczano tam w skali planet, systemów gwiazdnych, całych sektorów Galaktyki. A ponieważ wszystko planowano w gigantycznej skali, więc ich generatory to również giganty.

Natomiast my — nasza mała Fundacja — samotny świat, niemal całkowicie pozbawiony metali, musieliśmy być niezwykle oszczędni. Nasze generatory nie mogły być większe od mojego kciuka, gdyż tylko na takie wystarczało nam metalu. Musieliśmy wynaleźć nowe technologie i nowe metody — technologie i metody, których Imperium nie jest w stanie ani wynaleźć, ani nawet naśladować, gdyż cofnęło się do stanu, w którym jakikolwiek postęp naukowy jest niemożliwy.

Mają potężne ekrany jądrowe, które mogą chronić statek, miasto czy cały świat, ale nie są w stanie zbudować ekranu, który mógłby chronić jednego człowieka. Dla oświetlenia i ogrzania miast używają maszyn wysokich na sześć pięter — sam je widziałem — podczas gdy nasze mogłyby się zmieścić w tym pokoju. A kiedy powiedziałem jednemu z ich specjalistów od atomistyki, że ołowiany pojemnik wielkości orzecha zawiera generator jądrowy, to mało się nie uduślił z oburzenia.

Mało tego — ci specjaliści nie wiedzą już nawet, na jakich zasadach działają te ich kolosy. Maszyny pracują automatycznie już od wielu pokoleń, a ich obsługa,

która tworzy kastę, gdzie funkcje są dziedziczne, byłaby zupełnie bezradna, gdyby przepaliła się choć jedna lampa D w tym ogromnym mechanizmie.

Obecna wojna jest starciem dwóch systemów — Imperium i Fundacji, olbrzyma i liliputa. Chcąc zdobyć panowanie nad jakimś światem, Imperium przekupuje jego władcę ogromnymi statkami, które mogą co prawda znakomicie prowadzić wojnę, ale pozbawione są jakiegokolwiek znaczenia gospodarczego. My natomiast zjednujemy sobie ludzi drobiazgami, które zupełnie nie nadają się do użycia w walce, ale za to zapewniają dobrobyt i przynoszą zyski.

Owszem, jakiś król czy komodor weźmie statki i może nawet wywołać wojnę. Historia zna wielu despotycznych władców, którzy nie zawahali się poświęcić pomyślności swych podwładnych dla własnej chwały, podboju czy też tego, co zwali swym honorem. Ale tak naprawdę w życiu liczą się drobiazgi... i Asper Argo nie przetrwa kryzysu ekonomicznego, który za dwa lata ogarnie całą Korelię.

Sutt stał przy oknie, tyłem do Mallowa i Jaela. Zaczynało już zmierzchać i tych kilka gwiazd jarzących się słabo, tutaj, na samym skraju Galaktyki, wydawało się drobnymi iskierkami na tle podłużnej soczewkowatej mgiełki kryjącej resztki wciąż jeszcze mimo wszystko ogromnego Imperium, które walczyło przeciw nim.

Wreszcie Sutt rzekł:

— Nie. Nie jesteś odpowiednim człowiekiem.

— Nie wierzysz mi?

— Nie ufam ci. Umiesz gładko mówić. Wystrychnąłeś mnie na dudka podczas twej pierwszej podróży do Korelii, kiedy wydawało mi się, że mam cię cały czas na oku. W czasie procesu, kiedy myślałem, że już cię mam w garści, wywinąłeś się jak piskorz i dzięki chytrej demagogii trafiłeś wprost z sali sądowej na fotel burmistrza. Zawsze kręcisz — za wszystkim, co mówisz, zawsze coś się kryje, wszystko, co mówisz, ma trzy znaczenia.

Przypuśćmy, że jesteś zdrajcą. Przypuśćmy, że twoja wizyta w Imperium przyniosła ci pieniądze i obietnicę władzy. W takiej sytuacji robiłbyś dokładnie to samo, co robisz, teraz. Wzmocniwszy najpierw wroga, doprowadziłbyś do wojny z nim. Zmusiłbyś potem Fundację do bierności. I oczywiście na wszystko miałbyś wiarygodne wyjaśnienie, tak wiarygodne, że przekonałbyś każdego.

— Czy to znaczy, że nie będzie kompromisu? — spytał łagodnym tonem Mallow.

— To znaczy, że musisz odejść z urzędu — dobrowolnie albo pod przymusem.

— Ostrzegłem cię, jaką masz alternatywę. Pod wpływem nagłego wzburzenia twarz Sutta poczerwieniała.

— A ja ostrzegam cię, Hoberze Mallow ze Smyrno, że jeśli mnie uwięzisz, to nie masz co liczyć na litość. Nic nie powstrzyma moich ludzi przed ujawnieniem publicznie prawdy o tobie, a wtedy lud Fundacji zjednoczy się i wystąpi przeciw obcemu władcy. Ten lud ma świadomość swego przeznaczenia, której nigdy nie zrozumie żaden Smyrneńczyk — i właśnie ta świadomość będzie siłą,

która cię zniszczy.

Hober Mallow rzekł spokojnym głosem do strażników, którzy naraz pojawili się w pokoju:

— Wziąć go. Jest aresztowany. Sutt powiedział:

— To twoja ostatnia szansa, Mallow. Mallow odgryzł koniuszek cygara i nawet nie spojrzał na Sutta.

Przez pięć minut po wyprowadzeniu Sutta trwała cisza. Wreszcie Jael poruszył się niespokojnie i rzekł zafrasowanym głosem:

— No, a co teraz, kiedy zrobiłeś już z niego męczennika za sprawę?

Mallow przestał się bawić popielniczką i podniósł głowę.

— To nie jest ten Sutt, którego przedtem znałem. To zaślepiiony dureń. Na Galaktykę — przecież on mnie nienawidzi!

— A więc jest tym bardziej niebezpieczny.

— Bardziej niebezpieczny? Bzdura! On stracił już zupełnie zdolność trzeźwego widzenia.

Jael rzekł ponuro:

— Jesteś zbyt pewny siebie, Mallow. Lekceważysz możliwość wybuchu rebelii.

Mallow spojrzał na niego i rzekł równie ponuro:

— Zapamiętaj to sobie, Jael, raz na zawsze — nie ma takiej możliwości.

— Jesteś bardzo pewien siebie!

— Jestem pewien tego, że mamy kryzys Seldona i że jego rozwiązanie, zarówno w Fundacji, jak i poza nią, jest historycznie słuszne. Nie powiedziałem Suttowi wszystkiego — wiem, że próbował zapanować nad Fundacją przy pomocy religii i że mu się to nie udało. A to jest najlepszym dowodem na to, że w planie Seldona religia już się nie liczy.

Hegemonia gospodarcza opiera się na innych zasadach. I — parafrazując twój ulubiony cytat z Hardina — kiepski to miotacz, którego nie można zwrócić w drugą stronę. Korelia prosperowała dzięki handlowi z nami, ale my też prosperowaliśmy dzięki temu handlowi. Jeśli wskutek restrykcji handlowych z naszej strony podupadnie przemysł Korelii i jeśli w wyniku izolacji handlowej skończy się pomyslność zewnętrznych światów, to nasze fabryki też podupadną i skończy się dotychczasowy dobrobyt.

Tymczasem nie ma w Fundacji fabryki, centrum handlowego czy linii żeglownej, która by nie była pod moją kontrolą i której nie mógłbym zamknąć, gdyby tylko Suttowi udało się namówić załogę do buntu. Postaram się, żeby stało się zupełnie jasne, że tam, gdzie jego propaganda znajduje chętnych słuchaczy, kończy się dobrobyt, a tam, gdzie ludzie nie chcą go słuchać, wszystkim żyje się dobrze. Bo w moich fabrykach nie będzie żadnych redukcji.

A więc to samo rozumowanie, które prowadzi mnie do wniosku, że Korelijczycy zbuntują się w obronie dobrobytu, daje mi też pewność, że obywatele

Fundacji nie zbuntują się przeciw niemu. Ta gra zostanie rozegrana do końca.

— A więc — rzekł Jael — ustanawiasz plutokrację. Robisz z nas kraj handlarzy i potentatów handlowych. A co z naszą przyszłością?

Mallow podniósł głowę i wrzasnął z wściekłością:

— A co mnie obchodzi przyszłość?! Seldon na pewno ją przewidział i przygotował się odpowiednio. W przyszłości, kiedy pieniądze staną się tyle warte, co teraz religia, będą inne kryzysy. Niech moi następcy rozwiązują je, tak jak ja rozwiązałem obecny.

»Korelia — [...] I tak, po trzech latach wojny, która była z pewnością najbardziej bezkrwawą wojną, jaką zna historia, Korelia bezwarunkowo skapitulowała, a Hober Mallow zajął w sercach mieszkańców Fundacji należne mu miejsce, tuż obok Hari Seldona i Salvora Hardina.«

Encyklopedia Galaktyczna